cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #214 06/2024

Jakub A. Maciejewski
REPUBLIKA, CZYLI BOGACTWO MYŚLI

Piotr Lisiewicz
WŁADYSŁAW ZACHARIASIEWICZ – CZŁOWIEK SZLACHETNEGO SERCA

Tomasz Gromadka
MIESZKO I W KRAINIE NIEPOROZUMIEŃ

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

ISSN 1895-4960

PYTEL

człowiek od kontaktów SKW-FSB

OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA, ZBIORY WŁASNE SC | MR

eprasa.pl 48b912c059

TEMAT NUMERU ▼ 4–16

Pytel – człowiek od kontaktów SKW-FSB / 4

IDEE ▼ 18–40

Nauka pod butem klimatycznego lobby... / 18

HISTORIA ▼ 42–69

Człowiek szlachetnego serca. Jak Polacy uratowali tysiące Żydów... / 42

ŚWIAT ▼ 74–98

Taiwan matters. Nowe władze są tego świadome / 74

Spis treści

TEMAT NUMERU

Arkadiusz Puławski
Pytel – człowiek od kontaktów SKW-FSB 4

Piort Grochmalski
Jak ekipa Tuska współpracowała z putinowskim FSB 10

Ryszard Czarnecki
55 do 7 i głośne milczenie o Smoleńsku 16

IDEE

Z prof. Leszkiem Marksem rozmawia Przemysław Obłuski
Nauka pod butem klimatycznego lobby. W tle wielka polityka i zielone interesy 18

Jakub A. Maciejewski
Republika, czyli bogactwo myśli 24

Ewa Polak-Pałkiewicz
Nowa Polska, kraj znikających krzyży 28

Dawid Wildstein
Franciszek – ostateczny blamaż „Kościoła otwartego” 34

Małgorzata Matuszak
Siłownia dla umysłu, czyli po co ta matma 38

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Człowiek szlachetnego serca. Jak Polacy uratowali tysiące Żydów w Związku Sowieckim 42

Agnieszka Kowalczyk
Dzieci „małego Oświęcimia” 48

Dariusz Jarosiński
Niemcy w szponach demonów 54

Tomasz Gromadka
Mieszko I w krainie nieporozumień 60

Jan Kucharzewski
Świeca Iwana Kality 66

ŚWIAT

Hanna Shen
Taiwan matters. Nowe władze są tego świadome 74

Antoni Rybczyński
Figury Putina 78

Stefan Czerniecki
Paraíso, paraíso. Eu prefiro o paraíso! 84

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

Antoni Rybczyński
Śmierć prezydenta Iranu wstrząśnie reżimem ajatollahów? 94

eprasa.pl 48b912c059

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Operacja „Pancerna brzoza 2”
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... mądrość
KATECHIZM INTELIGENTA 17

Marek Kalinowski
Profesor od smutku
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 41

Marcin Wolski
Święci są wśród nas
PAPKULTURA 65

Krzysztof Wołodźko
Chiny w dzisiejszym świecie. Księga dziejowych przemian
DZIENNIK LEKTUR 70

Ryszard Czarnecki
Polskość vs zapach siarki
CZARNECKO TO WIDZĘ 83

Tomasz Sakiewicz
Jedni chcą wolności, drudzy świętego spokoju
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

Katarzyna Gójska

Operacja „Pancerna brzoza 2”

Na naszych oczach właśnie rozgrywa się operacja „Pancerna brzoza 2”. Tamta sprzed 14 lat miała rosyjski zamach na Prezydenta RP przerobić na wielki akt pojednania narodów, a ta trwająca aktualnie ma ukazać ludzi od umowy z FSB i podporządkowujących Polskę woli Putina jako bezwzględnych obrońców przed rosyjską agresją.

Na fali ożywienia premiera Tuska w sprawie obrony granicy RP, Platforma opublikowała spot wyborczy, chwalący pomysł tzw. tarczy wschód. Trzeba przyznać, iż jest on wręcz symboliczny, bo pokazuje prawdziwe podejście partii szefa rządu i jego samego do bezpieczeństwa Polski. Na mapie czerwoną liną zaznaczono przebieg zapowiedzianej fortyfikacji, która wedle tej ilustracji ma odgrodzić Polskę od Litwy zasiekami i pasem zaminowanego terenu, a granicy z Rosją nikt nie będzie już umacniał. Ktoś powie: błąd grafika. A w mojej opinii po prostu zwykła ściema, którą najwyraźniej w PO doskonale rozumieją i wobec tego nawet nie zastanawiali się, gdzie ta „tarcza wschód” będzie i kogo ma chronić. Oni dobrze wiedzą, że to opowieść na kampanię, która ma swoje cele propagandowe, a nie obronne. Jakie zatem na dziś zadanie ma koncepcja fortyfikacji? Ma ochronić nie Polskę, a Tuska i jego partię przed wyborczą klęską. Ma odciągnąć uwagę od prorosyjskości szefa rządu, wedle profesora Sławomira Cenckiewicza najbardziej przychylnego Moskwie polskiego polityka na tym stanowisku w historii III RP. Bo oto Tusk przeprowadzający inspekcje na wschodzie kraju ma się prezentować wyborcom jako niemal nowy Piłsudski. A prawiący o niewpuszczaniu migrantów – ma odsunąć od siebie odpowiedzialność za pakt migracyjny. Sęk w tym, że w całej swojej karierze politycznej dzisiejszy premier nie występował przeciw interesom Kremla, przeciwnie, gotów był – i to czynił – grać bezpieczeństwem Rzeczypospolitej, byle tylko uzyskać poklask w Wschodzie. Natomiast w sprawie wpuszczania do naszego kraju migrantów dosłownie w ciągu kilku miesięcy przeistoczył się z człowieka zatroskanego o ich losy w bezwzględnego przeciwnika. Nie miejmy złudzeń, Tusk nie zboczył z wybranego lata temu resetowego kursu. Jego dzisiejsza antyrosyjska poza to tylko kreacja, którą chce wykorzystać do brutalnej walki ze środowiskami, które od lat realnie zagrażają interesom Kremla w Polsce. Dezinformacją, chaosem informacyjnym, bezwzględną propagandą opartą na najbardziej bezczelnym oszustwie, po prostu gwałtem na debacie publicznej – dąży do wykreowania ludzi Moskwy w Warszawie na skutecznych tropicieli jej aktywności. Na naszych oczach właśnie rozgrywa się operacja „Pancerna brzoza 2”. Tamta sprzed 14 lat miała rosyjski zamach na Prezydenta RP przerobić na wielki akt pojednania narodów, a ta trwająca aktualnie ma ukazać ludzi od umowy z FSB i podporządkowujących Polskę woli Putina jako bezwzględnych obrońców przed rosyjską agresją. ■

W całej swojej karierze politycznej dzisiejszy premier nie występował przeciw interesom Kremla, przeciwnie, gotów był – i to czynił – grać bezpieczeństwem Rzeczypospolitej, byle tylko uzyskać poklask w Wschodzie.

eprasa.pl 48b912c059

Pokazał brzuch wierchuszce FSB w Kadynach, zrobił zawrotną karierę w SKW w czasach resetu z Rosją i ma zdjęcie w czapce z „Aurory" z Petersburga. Kim jest gen. Piotr Pytel, ostatni szef kontrwywiadu wojskowego za drugiego rządu Donalda Tuska, który wraca do gry jako zajadły „tropiciel" rosyjskiej agentury w szeregach PiS?

Arkadiusz Puławski

PYTEL – człowiek od kontaktów SKW–FSB

ILU: MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA, ZBIORY WŁASNE SCI MR

eprasa.pl 48b912c059

eprasa.pl 48b912c059

Jest 29 listopada 2023 roku. Późne popołudnie. W porządku obrad Sejmu, gdzie większość ma już liberalna lewica, znajduje się punkt dotyczący odwołania członków Państwowej Komisji do spraw badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2007–2022. Wiadomo co najmniej od kilku dni, że ich losy są policzone. Trwa wyścig z czasem, by przed odwołaniem zdążyć przedstawić wyniki pracy komisji. W takich okolicznościach opinia publiczna poznaje raport, który opisuje, jak ścisłe kierownictwo polskiego kontrwywiadu wojskowego uległo operacji wpływu ze strony rosyjskiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa.

Raport jest miażdżący m.in. dla Piotra Pytla, który w okresie przebadanym przez komisję, tj. 2010–2014, zajmował w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego stanowiska kierownicze, m.in. zastępcy dyrektora Gabinetu Szefa SKW, dyrektora Zarządu Operacyjnego, a potem szefa służby. Przez te cztery lata był on jednym z głównych uczestników procesu fraternizacji między SKW i FSB. Procesu sprowokowanego przez Rosjan po i na kanwie tragedii smoleńskiej i w pełni przez nich kontrolowanego. Jak czytamy w raporcie, „z materiałów udostępnionych Komisji wynika, że z Rosjanami spotykali się w siedzibie SKW i na terenie Warszawy głównie dwaj funkcjonariusze (P. Pytel i K. Dusza). Oznaczało to, że wiedza na temat kontaktu z Rosjanami była świadomie ściśle limitowana, więc funkcjonariusze Zarządu Operacyjnego SKW mogli dowiedzieć się o jakichkolwiek szczegółach tylko wtedy, gdy szef podjął taką decyzję, ale jedynym pośrednikiem mógł być ówczesny dyrektor Zarządu Operacyjnego, którym był P. Pytel […]". Spotkania odbywały się jednak nie tylko w siedzibie SKW i w stolicy. Było też co najmniej kilka spotkań wyjazdowych (w tym dwu- i trzydniowe) na terenie Polski i w Rosji, w których uczestniczył Pytel. Głównym akordem rosyjskiej operacji wpływu było podpisanie przez obie służby we wrześniu 2013 roku w Petersburgu porozumienia o współpracy i współdziałaniu w obszarze kontrwywiadu wojskowego. Porozumienie to ośmieszyło SKW jako służbę kontrwywiadowczą i było sprzeczne ze zobowiązaniami Polski wobec NATO. Stąd wieńcząca raport komisji rekomendacja, by Pytel i inni z kierownictwa SKW nigdy więcej nie zajmowali stanowisk związanych z bezpieczeństwem państwa.

„Brzuchomówca" z Kadyn…

Szczególnie kompromitujące nie tylko dla SKW, lecz także dla samego Pytla były dwa epizody z okresu bratania się z FSB. Chodzi, po pierwsze, o wydarzenia z restauracji „Srebrny Dzwon" w Kadynach nad Zalewem Wiślanym z października 2012 roku. Trzyosobowa delegacja Służby Kontrwywiadu Wojskowego odbyła tam „spotkanie na szczeblu eksperckim" (jak napisano w późniejszym dokumencie audytowym SKW) z wierchuszką FSB obwodu kaliningradzkiego. Jaki był jego przebieg i ile miało ono wspólnego z eksperckością, wszyscy mogli zobaczyć w serialu dokumentalnym „Reset". Jego twórcy – Michał Rachoń i Sławomir Cenckiewicz – dotarli do zapisu wideo z kamer monitoringu restauracji i wyemitowali fragment trwającego aż pięć godzin nagrania. Widać na nim, jak ppłk Piotr Pytel, w towarzystwie dyrektora gabinetu szefa SKW płk. Krzysztofa Duszy i komandora Tomasza Siejka, biesiadują tam z wysokim rangą oficerem FSB obwodu królewieckiego i jego świtą. Uczta jest zakrapiana. W pewnym momencie Pytel wstaje i… pokazuje współbiesiadnikom swój brzuch. Na koniec Rosjanie otrzymują od Polaków symbol polskiego oręża – szablę oficerską, którą wręcza Dusza. Po latach od tego wydarzenia Pytel napisze na platformie społecznościowej X, że „służby nawet wrogich krajów załatwiają sprawy, których nie załatwią politycy. I to nie było »picie wódki«, tylko spotkanie służbowe, na którym wznoszono toasty, to charakterystyczne dla kultury rosyjskiej". Jeden obraz jest jednak wart więcej niż tysiąc słów. Ale nawet jeśli przychylić się do wyjaśnień Pytla, to służbowe mogło być ono przede wszystkim dla Rosjan. Komisja ds. badania wpływów rosyjskich stwierdziła bowiem, na podstawie korespondencji pomiędzy Gabinetem Szefa SKW a Biurem Prawnym SKW wytworzonej po tym spotkaniu, że przedstawiciele FSB zaproponowali wówczas pierwszą wersję skandalicznego porozumienia. Zresztą alkoholowa impreza w restauracji w Kadynach jest tylko fragmentem całego ciągu spotkań, rozmów i wspólnych eskapad mazurskich, bowiem kierownictwo SKW wspólnie z FSB spędziło wówczas razem prawie dwie doby.

…w czapce z „Aurory"

Niecały rok po Kadynach delegacja SKW udała się do Petersburga na uroczyste podpisanie porozumienia. Jej skład różnił się nieco od tego z restauracji i hotelu „Srebrny Dzwon". Obok ppłk. Pytla i płk. Duszy był w niej sam szef gen. Janusz Nosek. Jest fotorelacja z oficjalnej części tego wydarzenia. Ale po latach znalazły się jeszcze inne zdjęcia z Petersburga. Były trzymane w siedzibie CEK NATO – inicjatywy, która miała być szalupą ratunkową dla Pytla (wówczas już gen.), płk. Duszy i innych po niekorzystnym dla nich zwycięstwie PiS w wyborach w 2015 roku. W każdym razie gdy ludzie szefa MON Antoniego Macierewicza weszli tam w grudniu 2015 roku, ujawnili fotografie, i to szczególne, z wycieczki, jaką szefostwu SKW

eprasa.pl 48b912c059

w 2013 roku w Petersburgu zorganizowali Rosjanie. A zabrali ich na krążownik „Aurora" – bez względu na liczne fałszerstwa historyczne Sowietów, symbol wybuchu rewolucji bolszewickiej. Tam Nosek, Pytel i Dusza założyli historyczne czapki majtków tej jednostki i pozowali do wspólnych zdjęć z funkcjonariuszami FSB. Wszyscy trzej – polscy oficerowie – otrzymali więc na pamiątkę zdjęcia z okrętu, z którego wystrzał armatni dał sygnał do rozpoczęcia rewolucji październikowej. I je zachowali. W czymś, co można nazwać odruchem pewnej autorefleksji, gen. Nosek przyznał w jednym z wywiadów, że „może to było mało zręczne, ale naturalne". Pytel takiego odruchu nie miał, wystawiając w 2018 roku czapkę marynarską z napisem „Aurora" na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy i pisząc przy tym w mediach społecznościowych: „Witam! Przekazuję na aukcję WOŚP czapkę ze zdjęcia cieszącego się dużą popularnością w mediach »prawej strony«. TO TA CZAPKA".

Niejasna dziura w karierze

Piotr Pytel (ur. w 1967 roku) rozpoczął swoją karierę w służbach specjalnych od pracy w Urzędzie Ochrony Państwa. Było to w latach 1994–1999. W roku 1998 ukończył z wyróżnieniem kurs oficerski UOP. Aż tu nagle wylądował w Generalnym Inspektoracie Celnym na niskim stanowisku głównego specjalisty w Regionalnym Inspektoracie Celnym Kraków. Do służby, już nie w UOP, lecz w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, wrócił w 2003 roku. Te cztery lata kariery Pytla poza tajnymi służbami stały się przedmiotem zainteresowania byłych posłów PiS Marka Opioły i Tomasza Kaczmarka. W jednym z wywiadów z 2013 roku Kaczmarek stwierdził wprost, że Pytel został „wydalony z UOP, ponieważ nie potrafił wytłumaczyć swoich niejasnych kontaktów właśnie z przedstawicielami rosyjskich służb specjalnych". Również w 2013 roku Maciej Lew-Mirski, współtwórca Służby Kontrwywiadu Wojskowego i były członek komisji weryfikacyjnej WSI, przekazał w wywiadzie prasowym, że Pytla z UOP usunął płk Grzegorz Reszka, który pełnił wówczas funkcję zastępcy dyrektora „bezpieki" tej służby. Dodał, że gdy Reszka, będąc już na emeryturze, dowiedział się, że ppłk Pytel został nominowany na dyrektora Zarządu Operacyjnego SKW (1 stycznia 2011 roku), wystosować miał odezwę do ówczesnego koordynatora służb specjalnych Jacka Cichockiego, by ten to zablokował. Z kolei poseł Opioła w jednej z interpelacji z 2014 roku zapytał, czy „zweryfikowano informacje o kontaktach Piotra Pytla z przedstawicielami rosyjskich służb specjalnych?" w kontekście doniesień o „rzeczywistych powodach zakończenia służby w UOP w związku z kontaktami z przedstawicielami służb specjalnych Federacji Rosyjskiej".

Szybkie awanse

Gdy na czele Służby Kontrwywiadu Wojskowego stanął gen. Nosek, pociągnął za sobą Pytla. Było to w 2008 roku, a Pytel miał wówczas stopień porucznika. W trzy lata awansował do stopnia podpułkownika – czyli trzy „szczebelki" w górę. To też wzbudziło podejrzenia posła Kaczmarka, ponieważ zgodnie z ustawą regulującą służbę funkcjonariuszy SKW i SWW taka droga powinna w normalnym trybie zająć 12 lat, a w ścieżce przyspieszonej – minimum sześć lat. A awans odbył się dwa razy szybciej. Kaczmarek złożył więc pod koniec 2013 roku interpelację, w której zapytał m.in. o to, „jaka była podstawa prawna awansowania Piotra Pytla o trzy stopnie oficerskie w ciągu trzech lat (2008–2011)?". Ówczesny polityczny nadzorca ppłk. Pytla – minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak – stwierdził w odpowiedzi na interpelację, że wszystko odbyło się zgodnie z literą prawa. Pytel pełnił już wówczas funkcję p.o. szefa SKW po odchodzącym z tego stanowiska gen. Nosku. W styczniu 2014 roku był już pełnym szefem służby, a w maju następnego roku z rąk prezydenta Bronisława Komorowskiego odebrał stopień generalski.

Ucieczka do CEK (nie)NATO

Długo się nie nacieszył. Jesienią 2015 roku wybory wygrało Prawo i Sprawiedliwość i w jednym z pierwszych ruchów wymieniło kierownictwo służb specjalnych. Generał Pytel obmyślił jednak wcześniej plan ewakuacyjny dla siebie i swojego zastępcy – płk. Krzysztofa Duszy. Podległa im służba miała zostać współgospodarzem – razem ze Słowakami – Centrum Eksperckiego Kontrwywiadu NATO. Porozumienie o jego utworzeniu zostało podpisane we wrześniu 2015 roku w siedzibie sojuszniczego dowództwa ds. transformacji w amerykańskim Norfolk. Pełnomocnikiem ds. utworzenia Centrum został płk Dusza. Gdy w listopadzie gen. Pytla odwołano z funkcji szefa SKW, ten przeszedł do CEK NATO na zastępcę Duszy. Cała inicjatywa została pomyślana tak, by być właśnie szalupą ratunkową dla ustępującego kierownictwa SKW. Według ich planu, w momencie otrzymania akredytacji ze strony NATO, CEK miało zostać wyłączone spod kompetencji Służby Kontrwywiadu Wojskowego i zostać placówką wyłącznie natowską. Plan ten jednak spalił na panewce, bo Centrum tej akredytacji w 2015 roku nie

eprasa.pl 48b912c059

otrzymało. Obiekt uzyskał bowiem negatywną opinię od SKW w zakresie bezpieczeństwa fizycznego według norm NATO, przez co przedstawiciele sojuszniczego dowództwa ds. transformacji odwołali swój przyjazd. W grudniu 2015 roku do obiektu wkroczyła Żandarmeria Wojskowa i ludzie ministra obrony narodowej A. Macierewicza w związku z podejrzeniami, że przetrzymywane tam są w sposób nieuprawniony dokumenty niejawne. I były. W kartonie po butach (sic!). Ale na miejscu znaleziono także m.in. wiszące godło Federalnej Służby Bezpieczeństwa – tej samej, z którą Pytel i Dusza prowadzili w poprzednich latach współpracę zwieńczoną haniebnym porozumieniem. Były tam również projekty interpelacji poselskich do wykorzystania przez parlamentarzystów z ówczesnej opozycji. W jednym z odcinków serialu „Reset" autorzy zwrócili uwagę, że poseł na Sejm Krzysztof Brejza z Platformy Obywatelskiej złożył w owym czasie interpelację, która miała treść identyczną z treścią interpelacji „in blanco" znalezionej w sejfach Centrum. Ujawniono także butelki alkoholu oraz opisane wcześniej zdjęcia w czapkach z „Aurory". W wielu późniejszych wypowiedziach medialnych Pytel przedstawiał odebranie mu i płk. Duszy „kluczy" do CEK NATO jako zamach na placówkę sojuszniczą, mający na celu osłabienie mocy obronnej RP.

Tryptyk Pytla

Po 2016 roku gen. Pytel znalazł się de facto poza Służbą Kontrwywiadu Wojskowego i, na kilka lat, na celowniku prokuratury, zwłaszcza w związku z zarzutami o przekroczenie uprawnień funkcjonariusza publicznego wskutek podjęcia współpracy ze służbą obcego państwa bez zgody prezesa Rady Ministrów. Chodzi, rzecz jasna, o opisaną w raporcie komisji ds. badania wpływów rosyjskich współpracę między SKW i FSB. Komisja zresztą odniosła się w swoim raporcie do działań prokuratury w tej sprawie, potwierdzając „zasadność zarzutów postawionych w grudniu 2017 r. przez Prokuraturę Okręgową w Warszawie – 8. Wydział Do Spraw Wojskowych wobec kierownictwa SKW o to, że zataiło „przed Prezesem Rady Ministrów pełny zakres podjętej współpracy (…), obejmujący szerszy zakres współpracy niż wnioskowane i udzielone wadliwe zgody, w sytuacji, kiedy największe zagrożenie dla obronności państwa i bezpieczeństwa Sił Zbrojnych RP wynikało ze strony służb specjalnych Federacji Rosyjskiej, a cele FSB pozostawały w sprzeczności z celami Polski i NATO".

Z życia publicznego były szef SKW bynajmniej nie zniknął. W mediach, jako komentator, zajmował się – i nadal się zajmuje – zwłaszcza „nawalaniem" w prawicę i rzucaniem pod jej adresem fałszywych oskarżeń o sprzyjanie Putinowi. Najbardziej rozpoznawalny z serii wielu wystąpień medialnych Pytla jest „tryptyk" wywiadów z red. Donatą Subbotko. Dwa z nich ukazały się na łamach „Gazety Wyborczej", a jeden, po zmianie przez tę dziennikarkę redakcji, w „Newsweeku". Można pokusić się o stwierdzenie, że to jeden wywiad-rzeka podzielony na trzy części. Każda wychodziła w innym roku. I tak w lipcu 2021 roku ukazała się część zatytułowana „Generał Piotr Pytel: Rosjanie nas penetrują". We wrześniu 2022 roku opublikowano: „Gen. Pytel: Rosja już tu jest. Jej największym sukcesem w Polsce jest PiS". A w maju bieżącego roku wyszła część pt. „Gen. Pytel: PiS służy Rosji". Do każdej z tych rozmów Pytel zapozował w mundurze galowym, a więc tym najbardziej okazałym. To zabieg, który ma przygotować czytelnika na poważną ucztę intelektualną z nie byle kim. Ale owe trzy rozmowy, składające się na mega-wywiad, są niczym innym jak kłębowiskiem insynuacji, niedopowiedzeń i kłamstw, które na Zjednoczoną Prawicę mają rzucić cień podejrzeń o prorosyjskość i agenturalność. W myśl zasady „obrzuć błotem, a na pewno coś się przyklei". A im więcej i częściej się rzuca, tym więcej błota zostaje. Problem jest jednak poważniejszy – tryptyk Pytla ma znamiona świadomej dezinformacji, którą obce służby mogą wykorzystywać w walce informacyjnej wymierzonej w RP. A jak? W oparciu o dostarczone przez Pytla narracje, mogą projektować własne operacje informacyjne obliczone na pogłębienie polaryzacji polskiego społeczeństwa lub dyskredytację naszego państwa na arenie międzynarodowej. W „Rosja już tu jest….." Pytel zasugerował, że poprzez agenturę wpływu Putin sprawę ataku na Ukrainę miał w pewnym sensie dogadaną z polskim rządem. Przecież taki wywód to prezent dla rosyjskiej propagandy. Do tego skrajnie niebezpieczny, bo ma potencjał poróżniania społeczeństwa polskiego i ukraińskiego. Z kolei w „Gen. Pytel: PiS służy Rosji" jest głównie tylko o tym, że PiS to rosyjska agentura rozgrywająca i oszukująca Polaków. Efektem promowania takiej narracji może być tylko separacja, osłabiająca zaufanie polskiego społeczeństwa do klasy politycznej, co oczywiście jest zbieżne z celami Rosjan.

„Kanał do komunikacji z Kremlem"

Pytel przebił jednak sam siebie w ostatnim tygodniu maja bieżącego roku, gdy wystąpił jako komentator w programie publicystycznym Doroty Wysockiej-Schnepf – do niedawna gwiazdy „Gazety Wyborczej" – na antenie TVP Info. Wyraźnie przez dziennikarkę

eprasa.pl 48b912c059

naprowadzany Pytel zasugerował, że A. Macierewicz, M. Morawiecki i J. Kaczyński mogą mieć związki z rosyjskimi służbami specjalnymi. Tezy, które wygłosił, były tak absurdalne, że stały się przedmiotem pośmiewiska ze strony dużej części publicystów na prawicy. W następstwie tego sporu Pytel napisał w mediach społecznościowych, brnąc dalej w „prorosyjskość PiS", że prawica przez osiem lat swoich rządów nie rozwiązała porozumienia SKW–FSB z 2013 roku, bo „kierownictwo PiS traktowało oparty na umowie kanał kontaktu z FSB jako medium do komunikacji z Kremlem". W tej insynuacji Pytel tak się zapamiętał, że nie zauważył, iż dotknął istoty sprawy – porozumienie o współpracy między SKW i z rosyjską służbą z 2013 roku, w którego wypracowaniu brał udział, rzeczywiście było „kanałem kontaktu z FSB". Warto przypomnieć, że w styczniu 2014 roku, a więc kilka miesięcy po podpisaniu porozumienia, Pytel, już jako szef SKW, skorzystał z okoliczności obowiązywania tej umowy, by stronie rosyjskiej zadeklarować „wsparcie informacyjne SKW dla Departamentu Kontrwywiadu Wojskowego FSB w związku z organizacją Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Soczi w »zakresie zagrożeń terrorystycznych«".

Reżyser czy aktor?

Takie duże wywiady z Pytlem czy jego „wrzutki" medialne zawsze wywołują nową falę ataków na PiS i okolice ze strony mediów i środowisk partii tej nieprzyjaznych. To tak, jakby były szef SKW spuszczał ujadające psy ze smyczy. Dlatego błędem byłoby lekceważenie go jako kogoś, kto realizuje tylko wendetę w imię własnej przeszłości. Przeszłości, która skądinąd powinna przekreślić jego przyszłość, ale jednak ostatecznie raczej tego nie zrobi. Okazuje się bowiem, że – jak sam przyznaje Pytel – został on zaproszony przez nowego rektora-komendanta Akademii Sztuki Wojennej gen. Mieczysława Gocuła „do grupy, która będzie funkcjonowała w ramach akademii i doradzała MON". Możliwe, że ziści się to, co zapowiedział niedawno portal niezalezna.pl – Pytel będzie jednym z architektów nowego think tanku na tej uczelni. To zaś może być początkiem jego drogi do odzyskania dostępu do informacji niejawnych i zamazania przeszłości naznaczonej resetem z Federalną Służbą Bezpieczeństwa. Ale do rzeczy: trzeba zupełnie poważnie zastanowić się, czy Pytel nie jest wprzęgnięty w proces kształtowania nastrojów społecznych w Polsce. Wiele przemawia za taką tezą. Trudno powiedzieć jednak, na jak wysokim pułapie. Fałszywą narrację o prorosyjskości i agenturalności PiS człowiek ten serwuje od dawna, z żelazną konsekwencją i wykorzystując swoje dobre umocowanie w silnych mediach liberalnych. Od niedawna także w publicznej telewizji. I chociaż, jak powiedział inny były członek komisji ds. badania wpływów rosyjskich, prof. Andrzej Zybertowicz w niedawnym wywiadzie dla jednego z dzienników, „trzeba być prawdziwym kretynem, by święcie wierzyć w prorosyjskość Jarosława Kaczyńskiego", to Pytel jedzie z tym przekazem jak walec. A przekaz ten akurat pasuje do obecnej agendy rządu Tuska, którą jest rozbicie PiS i środowisk patriotycznych (cel rzeczywisty) pod pretekstem tropienia w Polsce wpływów i agentury rosyjskiej białoruskiej (cel fasadowy). W ramach swojej aktywności medialnej w ostatnich latach Pytel rozrysował, i to w szczegółach własną, obszerną mapę rzekomych wpływów rosyjskich i tak się składa, że punktami na tej mapie są ludzie bardziej lub mniej związani z obecną największą partią opozycyjną. Utworzona przez Tuska komisja do spraw badania wpływów rosyjskich i białoruskich na bezpieczeństwo i interesy w ostatnich 20 latach może wygodnie po nią sięgnąć, uznać ją za rzetelną, przepisać jej treść do zapowiadanego raportu „cząstkowego", by następnie uruchomić aparat państwa do uwiarygodnienia tego spektaklu. A potem prawicę czekają rozliczenia za rzeczy, z którymi nie ma i nie miała nic wspólnego.

Aktywna obrona

Diagnoza już jest. Teraz należy pomyśleć, jak się przed tym zidentyfikowanym, realnym zagrożeniem obronić. Pierwsze, co przychodzi na myśl, to stałe demaskowanie rzeczywistych intencji rządzących wobec opozycji. Z tym związane bezpośrednio jest drugie – zwalczanie prawdą fałszywego przekazu o prorosyjskości PiS. Reakcja rządu Zjednoczonej Prawicy na rosyjską napaść zbrojną na Ukrainę w lutym 2022 roku i podjęte w następstwie tych zdarzeń działania zadają przecież kłam narracjom Pytla. Dane o rozmiarze i intensywności pomocy materialnej, humanitarnej, wojskowej czy dyplomatycznej udzielonej wówczas przez Polskę Ukrainie są po stronie poprzedniej władzy. Ale ktoś musi je zebrać i narzucić tempo komunikacji w przestrzeni informacyjnej. Trzecia rzecz to wykorzystanie potencjału opowieści o resecie z Rosją z lat 2007–2014 do rzucania nim w twarze tych, którzy ten reset robili, a dziś znów rządzą. Na koniec należy podważać wynurzenia Pytla faktami na temat jego samego oraz jego roli w brataniu się między SKW i FSB. A to rozpisane zostało „na nuty" w raporcie komisji do spraw badania wpływów rosyjskich. Trzeba pamiętać, że pomimo silnego umocowania w obecnym układzie ten człowiek jest skompromitowany, a proces jego kompromitacji został rzetelnie opisany w państwowym dokumencie. ■

eprasa.pl 48b912c059

Jak ekipa Tuska współpracowała z putinowskim FSB

Piotr Grochmalski

Miliony Polaków poznały gen. Pytla dzięki filmowi dokumentalnemu „Reset" i jego głośnemu zdjęciu w czapce marynarza krążownika „Aurora", z którego wystrzały miały rozpocząć rewolucję październikową. W ostatnim odcinku serialu ukazana jest jego szczególna rola w budowaniu relacji z putinowskim FSB. Tak wygląda wiarygodność człowieka, który na łamach „Newsweeka" (nr 21/2024) chce ukazać siebie jako osobę zatroskaną o losy ojczyzny.

To była wielka operacja dezinformacyjna, w stylu klasycznych działań Kremla. Zdumiewa przy tym koincydencja wydarzeń. Oto nagle na początku maja z Polski ucieka szpieg rosyjsko-białoruski, sędzia Tomasz Szmydt. Uaktywnia się Marek Dukaczewski, ostatni szef Wojskowych Służb Informacyjnych, instytucji ocenianej jako najbardziej podatna na agenturalne wpływy Rosji. W radiowej „Trójce", przejętej przez koalicję 13 grudnia, sugeruje, że Szmydta wycofano, bo agent mógł być zagrożony dekonspiracją. Ale dziwnym trafem wydarzenie to natychmiast stało się najważniejszym elementem kampanii Donalda Tuska. W czwartek 9 maja z sejmowej mównicy wrzeszczał, że Zjednoczona Prawica to „płatni zdrajcy, pachołki Rosji". Potem 20 maja gen. Piotr Pytel, ten od libacji z elitą rosyjskich służb, w wywiadzie dla „Newsweeka" oskarżył PiS, że partia ta chce sprzedać Polskę Rosji, a dzień później Tusk powołał swoją komisję rzekomo do badania rosyjskich wpływów w Polsce. Być może jej celem będzie przygotowanie materiałów do tego, co klarownie wyraził 22 maja Borys Budka, przekonując, że wyobraża sobie delegalizację Prawa i Sprawiedliwości.

Gadzinówka uderza w Polskę

W całej tej układance ogromną rolę odegrali ludzie byłego WSI i SKW i ów skandaliczny wywiad Pytla. Miliony Polaków poznały go dzięki filmowi dokumentalnemu „Reset" i jego głośnemu zdjęciu w czapce marynarza krążownika „Aurora", z którego wystrzały miały rozpocząć rewolucję październikową. W ostatnim odcinku serialu ukazana jest szczególna rola gen. Pytla w budowaniu relacji z putinowskim FSB. Tak wygląda wiarygodność człowieka, który na łamach „Newsweeka" nr 21/2024 chce ukazywać siebie jako osobę zatroskaną o losy ojczyzny. Wystrojony w generalski mundur, patrzy rzekomo groźnie i wyzywająco spod polskiego orła na czapce. Chyba nie zdaje sobie sprawy z krzykliwego kontrastu i dysharmonii.

To samo pismo, również na swojej okładce, zbezcześciło godło Polski, umieszczając w miejscu orła koguta. Ale też ten sam tytuł, który jest własnością koncernu intensywnie wspierającego przez lata strategiczną oś Berlin–Moskwa, w grudniu 2020 roku przygotował Tuskowi grunt do powrotu do polityki w Polsce. Chodziło o jasny sygnał dla ludzi z PO, że mają mu oddać partię, bo taka jest jasna wola naszego zachodniego sąsiada. Wielki tytuł na okładce „Newsweeka" nr 50/2020, na tle zdjęcia zaufanego człowieka Merkel, krzyczał: „DONALD TUSK – ZDRADA ALBO GŁUPOTA". Już wówczas biła dwuznaczność tego przekazu, w którym nawoływał nieomal wprost do siłowego obalenia polskiego rządu. Twierdził, iż grozi nam katastrofa, jeśli nie zniszczymy PiS, „bo to jest zło. Bezdyskusyjne i z fatalnymi skutkami dla Polski". Co zdumiewało – w nachalnie długim wywiadzie nie pojawiło się ani jedno słowo, które dotyczyłoby Niemiec i kanclerz Merkel. Wywiad gen. Pytla jest w warstwie propaganowo-narracyjnej rozbudowaną kopią owej operacji medialnej Tuska z grudnia 2020 roku. Jego zasadniczą tezą jest przekonywanie czytelnika, że PiS jest zły i służy Rosji. Znów paradoksalnie, mimo że artykuł ukazał się przecież w niemiecko-szwajcarskim piśmie, nie ma w nim ani jednego słowa o Niemcach. Dziwny to rodzaj intelektualnej ułomności w świetle decyzji zapowiedzianej 18 kwietnia przez szefa Bundeswehry generała Carsten Breuera, że Niemcy „przejmują odpowiedzialność za wschodnią flankę NATO".

Pytel a kłamstwo smoleńskie

Ale Tuska i Pytla wiąże na śmierć i życie Smoleńsk. Dzięki ujawnionym dokumentom przez prof. Sławomira Cenckiewicza i raportowi komisji Antoniego Macierewicza wiemy, że kluczowe polskie służby nie tylko nie podjęły jakichkolwiek działań operacyjnych 10 kwietnia 2010 roku, aby zbierać materiały dowodowe, lecz wręcz je blokowały. A gdy tego dnia do Ambasady RP w Moskwie zgłosiła się osoba posiadająca wiedzę na temat zamachu jako przyczyny katastrofy Tu-154M, ówczesny szef Agencji Wywiadu wydał „z uwagi na toczące się w Rosji śledztwo" polecenie przekazania danych tego człowieka, który być może ryzykował swoje życie, rosyjskim służbom FSB. Szokuje też wówczas postawa samego Pytla, który zbagatelizował meldunek z 9 kwietnia 2010 roku, przesłany przez Centrum Antyterrorystyczne ABW, dotyczący planowanego uprowadzenia samolotu należącego do jednego z państw Unii Europejskiej. Z tak kluczowym dokumentem, zawierającym informacje operacyjne, ówczesny płk Pytel, który był wówczas dyrektorem Zarządu Operacyjnego Służby Kontrwywiadu Wojskowego, zapoznał się dopiero 12 kwietnia 2010 roku!

Dziś dzięki ujawnionym dokumentom wiemy, że Smoleńsk został natychmiast wykorzystany przez ekipę Tuska i SKW do radykalnej fraternizacji z ludźmi Putina. Już to, co zostało dotąd ujawnione, budzić może przerażenie. Wszystkiego tego nie wiedział gen. Sławomir Petelicki, który rzekomo popełnił samobójstwo 16 czerwca 2012 roku – długa seria samobójstw związanych ze Smoleńskiem dopadła również jego, po tym, jak zaczął się domagać dymisji rządu Tuska. On też ujawnił treść szokującego SMS-a, który był rozsyłany przez polityków PO tuż po zamachu. Była to gotowa instrukcja, zgodnie z którą każdy działacz miał twierdzić, że wszystkiemu winni są polscy piloci

FOT. ZE ZBIORÓW A. STANKOWSKIEGO

eprasa.pl 48b912c059

Tu-154. Wiadomość tekstowa sugerowała też współwinę prezydenta Kaczyńskiego. W jednym z wywiadów gen. Petelicki stwierdził: „Z wojskowego punku widzenia mogę powiedzieć, że jesteśmy jedynym krajem, w którym w dwóch identycznych katastrofach samolotów wojskowych najpierw straciliśmy prawie całe dowództwo lotnictwa, a następnie całe dowództwo sił zbrojnych z ich zwierzchnikiem prezydentem RP na czele. Tylu polskich generałów, ilu zginęło za rządu Donalda Tuska i kadencji Bogdana Klicha jako szefa MON, nie zginęło podczas II wojny światowej. Po dwóch wielkich katastrofach lotniczych usłyszałem z ust Bogdana Klicha, że państwo polskie zdało egzamin, a procedury stosowane w wojsku są tak znakomite, że on się nimi podzieli z innymi resortami. Szef MON chwalił się po śmierci jednych z najlepszych generałów, jakie miało całe NATO, a którzy zginęli w katastrofie CASY i Tu-154M, że ich zastępcy bardzo płynnie przejęli obowiązki".

Kłamstwo smoleńskie było tym spoiwem, które połączyło ekipę Tuska z ludźmi pokroju Pytla. Dlaczego nie dziwi, że pierwszą decyzją ekipy 13 grudnia było przywrócenie kłamstwa smoleńskiego – filaru, na którym opiera się od 2010 roku operacja informacyjna wymierzona w społeczeństwo polskie. Przerażająca socjotechniczna makromanipulacja, która znów aktywowała setki ruskich agentów. Ale też w jej tle dokonywało się skuteczne przejmowanie przez skompromitowanych byłych ludzi SKW i WSI struktur kontrwywiadu.

Gen. Bohatyrewicz dałby w pysk Pytlowi

Pytel, „paradując" w generalskim mundurze z orłem na czapce na okładce „Newsweeka", pisma, które tak otwarcie zbezcześciło polskie godło, widać nie obawia się, że generał Bronisław Bohatyrewicz, zamordowany w Katyniu, wstanie z grobu, aby przypomnieć mu po żołniersku, co to znaczy honor polskiego żołnierza. Ale od lat okładki pisma niemieckiego koncernu (ze współudziałem szwajcarskich pieniędzy) wbijają do polskiego języka neologizmy, które mają deprecjonować Polaków, polski naród. Z perspektywy takich Niemiec, które stoją za propagandą realizowaną przez „Newsweek", Polak-patriota to obrzydliwa małpa, która winna w pełni podporządkować się Niemcom, co jasno sugeruje „jedynka" tego pisma z 2017 roku. Określa Niemcy mianem „Naszego ostatniego sojusznika", który w tym czasie realizował energetyczną oś z Putinem, zabójczo niebezpieczną dla Polski i Europy, która otworzyła Rosji drogę do agresji na Ukrainę. Pytanie, dlaczego Niemcy – podczas okupacji – nie odważali się, w mediach wydawanych przez siebie, na tak antypolską retorykę, jak czynią to obecnie media niemieckie w Polsce?

Tuż po wybuchu wojny na Ukrainie premier Mateusz Morawiecki, wicepremier Jarosław Kaczyński i szefowie rządów Czech, Petr Fala, i Słowenii, Janez Jansza, przybyli 16 marca 2022 roku do Kijowa na spotkanie z prezydentem Zełenskim. Kijów był nadal bombardowany. Była to pierwsza oficjalna misja Zachodu w stolicy Ukrainy. To wówczas, komentując to wydarzenie, Dmitrij Rogozin, szef giganta zbrojeniowego Roskosmosu, były wicepremier tego kraju ds. przemysłu obronnego i kosmicznego, tak napisał do Jarosława Kaczyńskiego: „Przyjedź do Smoleńska, porozmawiamy". Była to pierwsza tak czytelna aluzja, pochodząca z najbliższego kręgu Putina, mówiąca o tym, że mord smoleński to ich robota. Była to też oczywista groźba, że Jarosław Kaczyński skończy jak jego brat. W odpowiedzi na to wydarzenie kolejnym prorosyjskim skandalem popisał się niemiecko-szwajcarski koncern. Wydawany przez niego „Newsweek", w numerze z 20 marca 2022 roku, na okładce ukazał Putina i Kaczyńskiego, sugerując ich sojusz. To szwajcarsko-niemieckie pismo stwierdzało: „Zamiary prezesa PiS. Wojna na Ukrainie nie zatrzymała putinizacji Polski". Trudno o większe medialne barbarzyństwo, wymierzone przy tym w polską rację stanu i wpisującą się w narrację propagandy rosyjskiej. Forsowała ona wówczas pogląd, że Polska chce dokonać rozbioru Ukrainy. A pierwszy kwietniowy numer z 2022 roku niemiecko-szwajcarskiego „Newsweeka", koncernu blisko związanego z niemieckim rządem, ma skandaliczną okładkę, na której prezydent Joe Biden prowadzi za rączkę znacznie pomniejszonego Andrzeja Dudę. Główny podpis: „Nowy pan prezydenta". Poniżej dodatkowy podpis pod okładką stwierdza, iż prezydent RP, „dziś jest sterowany przez administrację Joe Bidena". Ten propagandowy, gadzinowy komunikat nie tylko powielał propagandę Putina, lecz także realizował interesy tych elit niemieckich, które dążą do wypchnięcia USA z Europy, co byłoby zabójcze dla naszego bezpieczeństwa.

Pytel i długie ramię Moskwy

W wywiadzie dla „Newsweeka" Pytel ogłasza, iż „Polska powinna się liczyć z tym, że plan zamachu na Tuska leży u Putina na stole". Nie plan, lecz teczka smoleńska. Nie leży ona jednak na stole, lecz jest przechowywana w tajnym kremlowskim archiwum. Spełnia taką samą współcześnie rolę jak teczka katyńska – jest instrumentem oddziaływania na część elit polskich utopionych po uszy w kłamstwie smoleńskim. Dla Putina Tusk na czele Polski to strategiczny

eprasa.pl 48b912c059

sukces. W ciągu zaledwie kilku miesięcy zmasakrowane zostały wszystkie kluczowe elementy państwa, a ludzie z byłego WSI przejęli faktyczną kontrolę nad armią. Lincz na generale Gromadzińskim był elementem fali czystek, która śmiertelnie osłabi polska armię. Pytel widać zapomniał, jak po wyborach Łukaszenka otwarcie cieszył się z ich rezultatu: „Polacy spisali się naprawdę dobrze. Nie spodziewałem się takiego wyniku. Po prostu odmówili udziału w tej grze z PiS. Kibicuję Polakom. Dobra robota!". Ma więc Pytel głęboką rację w jednym – Rosja już tu jest. Serial „Reset" dokładnie to potwierdza.

Każdy kolejny krok Tuska daje cichą satysfakcję na Kremlu – jak atak na gen. Gromadzińskiego, co wywołało szok u naszych sojuszników z NATO, czy atak na polskiego ambasadora w Sojuszu, Tomasza Szatkowskiego. Każde z tych posunięć demontuje naszą geopolityczną pozycję. Ale Pytel przekonuje w „Newsweeku", że „Ludzie już wiedzą, że Rosja to znak firmowy rządów PiS". Problem znów sprowadza się do kwestii fundamentalnej – teczki smoleńskiej. Gdyby powtórzył się scenariusz agonii ZSRS i Rosja, tak jak Związek Sowiecki – aby uwiarygodnić nowe władze po eliminacji Putina – ujawniłaby „gorące" materiały, doświadczylibyśmy odkrycia prawdy o mordzie smoleńskim. A ci, którzy w Polsce oparli swoją władzę na tym kłamstwie, trafiliby na śmietnik historii.

Jeśli spojrzymy na wywiad Pytla dla „Newsweeka" z perspektywy rosyjskich korzyści operacyjnych, to nagle wszystko wydaje się jasne i dobrze wkomponowane w szerszy kontekst wojny mentalnej prowadzonej przez Rosję wobec Polski. Jessikka Aro, fińska dziennikarka, w książce „Światowa wojna Putina" ukazuje Smoleńsk jako jedną z kluczowych operacji Rosji. W wywiadzie dla „Gazety Polskiej" nr 21/2024 stwierdza: „W pierwszych minutach po katastrofie Rosjanie rozpoczęli kampanię, której dotychczas nigdy nie widziałam. Od razu zaczęli oskarżać polskich pilotów i dowódcę sił powietrznych. Kiedy przeglądałam zarówno rosyjskie media publiczne, jak i te w cudzysłowie »wolne, prywatne«, jedyne co widziałam, to rosyjskich urzędników, generałów. […] Ta kampania dezinformacyjna trwa w najlepsze do dzisiaj. […] Istnieje też wyjątkowo przerażająca warstwa rosyjskich, kiedyś sowieckich, komunistycznych agentów wpływu i szpiegów, którzy próbują zahamować jakikolwiek przekaz prawdziwych informacji na temat tej tragedii". Na tym tle dziwnie znajomo wygląda narracja Pytla, gdy w wywiadzie stwierdza: „Co w zamian za władzę lub udział w interesach mają do zaoferowania Kaczyński i jego ludzie? Mają do sprzedania Polskę. Sprzedać Polskę to znaczy przygotować ja do połknięcia przez Rosję. […] Wygląda na to, że w jego otoczeniu [J. Kaczyńskiego] znajdują się ludzie, którzy chodzą na pasku Rosji i podsuwają rozwiązania. Ale Kaczyński jest świadomy, że działa na rzecz Rosji. Zjednoczona Prawica na każdej możliwej płaszczyźnie – politycznej, światopoglądowej, społecznej – pchała nas w objęcia Putina. Godził się na to, żeby mieć władzę, która zatka dziury w jego duszy. Polska stała się ofiarą jego prymitywnych potrzeb, a PiS liczyło na bezkarność".

▶ Pytel chce chwycić za pysk dziennikarzy i prawicę

Pytel mówi, że PiS zdradził Polskę. Wskazuje też na media. Stwierdza: „Teraz utracili TVP, ale pozostaje kwestia szerokiego grona dziennikarzy, którzy współpracowali z PiS. Wielu rzeczy nie wiemy, jeżeli chodzi o mechanizmy, które funkcjonują w mediach, także na szczeblach zarządczych. Dzięki tym, którzy byli łagodnie nazywani symetrystami, PiS mogło trwać osiem lat. Determinacja mediów, żeby nie rozliczyć się ze swoich Suwartów, jest jak walka o życie, widocznie ich relacje z tamtą władzą były głębokie. Ale dezinformacja, kłamstwa i rozmywanie odpowiedzialności za zło będą skrzeczeć. Nie wierzę, że symetryzm przetrwa". Otwarcie zapowiada, że „Nasze służby się odbudowują i środowisko Zjednoczonej Prawicy będzie zapewne jednym z głównych kierunków ich działań". A więc po to jest owa fala ludzi, o których mówiła Jessikka Aro, którzy zalewają SKW i inne służby, aby spacyfikować media i zniszczyć PiS – by już raz na zawsze zniknęła kwestia smoleńska i można było wyczyścić trefne dla PO dokumenty, pokazujące skalę współpracy ekipy Tuska z Putinem.

▶ Porażające konkluzje raportu komisji ds. wpływów rosyjskich

Według jednego z realnych scenariuszy przedstawionych przez prof. Anrew Michtę, wybitnego amerykańskiego analityka, w ciągu trzech–pięciu lat Rosja może dokonać agresji na Polskę. W tak krytycznym momencie na czele polskiego rządu stoi człowiek potężnie uwikłany w relacje z ekipą Putina. Ujawnił to cząstkowy raport komisji do spraw wpływów rosyjskich. Jego konkluzje są porażające: „W odniesieniu do […] premiera Donalda Tuska oraz ministrów Jacka Cichockiego, Bogdana Klicha, Tomasza Siemoniaka i Bartłomieja Sienkiewicza Komisja rekomenduje niepowierzanie im zadań, stanowisk i funkcji publicznych związanych z odpowiedzialnością za bezpieczeństwo państwa".

eprasa.pl 48b912c059

Równie zdecydowane zalecenia padają wobec byłych szefów Służby Kontrwywiadu Wojskowego, gen. Janusza Noska, gen. Piotra Pytla oraz zastępcy szefa SKW, płk Duszy. Oni także powinni być objęci zakazem powierzania im „zadań, stanowisk i funkcji związanych z odpowiedzialnością za bezpieczeństwo RP". Wszystko to jest konsekwencją zebranej i ujawnionej dokumentacji, ukazującej skrajny stopień zażyłości między elitą SKW a FSB, a także skalę wpływów Federacji Rosyjskiej na Służbę Kontrwywiadu Wojskowego, co skutkowało skrajnym zagrożeniem bezpieczeństwa państwa polskiego. To, co wydarzyło się po Smoleńsku, musi przerazić każdego, kto sięgnie do zgromadzonej dokumentacji. Niewiele wydarzeń w naszej najnowszej historii równie spektakularnie odkrywa i dokumentuje kulisy tajnej wojny, jaką Rosja prowadziła przeciwko Polsce, wykorzystując w niej elity skupione wokół Tuska.

Środa, 29 listopada – gdy prof. Sławomir Cenckiewicz, przewodniczący Państwowej Komisji do spraw badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2007–2022, ujawnił raport cząstkowy opracowany przez zespół badaczy – była jak eksplozja atomowej bomby. W oparciu o zebrane dowody, w tym dokumenty podpisane przez D. Tuska, raport udowadnia, że „Służba Kontrwywiadu Wojskowego, będąc instytucją, której jednym z podstawowych zadań jest ochrona Sił Zbrojnych RP przed zagrożeniami ze strony obcych służb specjalnych, uległa wpływom Federacji Rosyjskiej". Odbyło się to „z przyzwolenia ze strony kierownictwa państwa". Kilka godzin po przedstawieniu Raportu, dokładnie w 193. rocznicę wybuchu wojny polsko-rosyjskiej w 1830 roku, ludzie postawieni w Raporcie w stan oskarżenia, przeforsowali w Sejmie, na podstawie uchwały, usunięcie członków Komisji. Zdenerwowany Tusk przypominał swym zachowaniem Lecha Wałęsę z czerwca 1992 roku. Podczas obalania wówczas rządu premiera Olszewskiego przez układ postkatyński, agent „Bolek" z trudnością panował nad emocjami. Aktywną rolę podczas „nocy teczek" odegrał wówczas Donald Tusk. Jego słynne „Panowie, policzmy głosy", przeszło do historii narodowej hańby. Konkluzje Raportu, w innej formie, przedstawił już pod koniec 2021 roku sam Tusk w książce „Wybór". Jest to publikacja ukazująca człowieka, który przekroczył ostateczną granicę moralną. Stwierdził w niej: „Kiedy idę ulicą, myślę czasami, że co piąta osoba, którą mijam, uważa, że być może to ja do spółki z Putinem zabiłem prezydenta. A przynajmniej, że jestem w to zamieszany".

Smoleński zamach a SKW i FSB

Przy lekturze Raportu poraża ogrom kontaktów i spotkań z agentami rosyjskiego FSB. To była swoista orgia, istne szaleństwo pozbawione ze strony SKW nawet elementów profesjonalizmu. A wszystko działo się pod swoistym parasolem ochronnym owej ekipy – z przyzwolenia ze strony kierownictwa państwa. Jeden z członków usuniętego zespołu, prof. Przemysław Grajewski vel Żurawski, analizując zgromadzone materiały, zwraca uwagę, iż „Obok dokumentów istniejących trzeba wskazać tę zadziwiającą okoliczność, że dokumenty, które powinny być wytworzone, nie istniały". Gigantyczna w swej skali liczba spotkań elity SKW z agentami FSB odbywała się bowiem najczęściej w formule zdumiewającej. Drobny fragment raportu ze strony 32: 8 lutego 2011 roku odbywa się spotkanie Wiaczesława Kołotowa, agenta FSB. Nie ma żadnych notatek służbowych po stronie SKW określających, co było tematem rozmów. Nic. To samo dotyczy 17 lutego 2011 roku, 17 marca i 24 marca, gdy Władimir Juzwik z FSB spotykał się z polskimi oficerami SKW. Lektura Raportu ukazuje, iż miażdżąca większość owych niemal 100 kontaktów między oficerami SKW a elitą agentury FSB odbywała się w ten sam sposób – poza pomieszczeniami Służby Kontrwywiadu Wojskowego i bez jakichkolwiek notatek z ich przebiegu. Co gorsza, według Raportu fakt odbytych spotkań udawało się czasami ustalić jedynie na podstawie „dokumentacji finansowej", a więc rachunku za jedzenie opłacane z pieniędzy polskich podatników. Tak było w przypadku rozmów 4 kwietnia 2011 roku w restauracji „Dom Polski" niedaleko ambasady Rosji. Dobrze się żyło agentom FSB w Polsce. Ale takie rachunki to jedyny dowód spotkania oficerów SKW z przedstawicielami FSB. Nie ma bowiem żadnych notatek służbowych. Szokujące jest – co mocno akcentuje Raport – iż „Między kwietniem 2010 r. a grudniem 2011 r. współpraca SKW–FSB prowadzona była bez formalnej zgody prezesa Rady Ministrów i potwierdzonej w dokumentach wiedzy ministra obrony narodowej". Przypomnijmy, iż dzieje się tak między służbą państwa NATO-owskiego a agentami FSB, którzy mieli już wówczas na swoim koncie wiele mordów dokonanych na Zachodzie. Na przykład Aleksandr Litwinienko, były agent FSB, został zamordowany w 2006 roku na terenie Wielkiej Brytanii. Był pierwszą osobą na świecie zamordowaną z wykorzystaniem alfa-polonu-210. A więc był to atak na państwo NATO-owskie z wykorzystaniem terroryzmu nuklearnego.

Czy to znaczy, że SKW poszło na współpracę z rosyjskim wywiadem po Smoleńsku samowolnie, bez wiedzy Tuska i jego otoczenia? Przypomnijmy, iż w zamachu zginęła wówczas elita Rzeczypospolitej, w tym

eprasa.pl 48b912c059

dwaj prezydenci RP – prof. Lech Kaczyński i Ryszard Kaczorowski, ostatni prezydent RP na uchodźstwie. Służba Kontrwywiadu Wojskowego winna chronić nie tylko siły zbrojne przed zagrożeniami ze strony obcej agentury, lecz także jej zwierzchnika. Ale w Smoleńsku zamordowane zostało całe dowództwo polskich sił zbrojnych. W długiej historii NATO żadne państwo Sojuszu nie doświadczyło większej katastrofy. Przypomnijmy – śmierć ponieśli: „czterogwiazdkowy" gen. Franciszek Gągor, szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, gen. dyw. Tadeusz Buk, dowódca Wojsk Lądowych RP, gen. broni pil. Andrzej Błasik, dowódca Sił Powietrznych RP, wiceadmirał Andrzej Karweta, dowódca Marynarki Wojennej RP, gen. dyw. Włodzimierz Potasiński, dowódca Wojsk Specjalnych RP, gen. broni Bronisław Kwiatkowski, Dowódca Operacyjny Sił Zbrojnych RP. Ale polegli także trzej inni generałowie: gen. bryg. Kazimierz Gilarski, dowódca Garnizonu Warszawa, bp. gen. dyw. Tadeusz Płoski, katolicki biskup polowy WP, abp gen. bryg. Miron Chodakowski, prawosławny ordynariusz WP. Zostali zamordowani także: ks. Płk Adam Pilch, p.o. ewangelickiego biskupa wojskowego, i ks. ppłk pil. Jan Osiński, Ordynariat Polowy WP. Dopiero 11 listopada 2022 roku Sąd Okręgowy w Warszawie wydał postanowienie o tymczasowym aresztowaniu płk. Pawła Plusnina, majora Wiktora Ryżenki i porucznika Nikołaja Krasnokutskiego, którzy 10 kwietnia 2010 roku kierowali ruchem lotniczym na lotnisku Smoleńsk-Siewiernyj. Są oskarżani o umyślne spowodowanie katastrofy w ruchu powietrznym, w wyniku której śmierć poniosła cała 96-osobowa delegacja państwa polskiego. Innymi słowy sąd III RP oficerów rosyjskiej armii oskarżył po 12 latach, w świetle zgromadzonych dowodów, o zamach, którego celem było zabicie elity polskiego państwa. Dziś wiemy, że był to początek realnej wojny Rosji z narodem polskim. Ale też szokującego i szybkiego zbliżenia SKW z FSB, które stało za tym zamachem.

▶ Najlepsza rosyjska agentura rozpracowywała Polskę

To ci ludzie będą stali za ową falą dezinformacji mających ukazywać fałszywą narrację o Rosji, a służyć będzie do tego owa komisja Tuska do spraw badania wpływów rosyjskich i białoruskich w Polsce w latach 2004–2024. Na jej czele stoi szef SKW, gen. Stróżyk, który ma już za sobą spektakularną akcję z gen. Gromadzińskim, która wywołała szok w NATO, ale spotkała się z pozytywną oceną mediów rosyjskich. Problem w tym, iż jego zastępcą w SKW jest płk. Krzysztof Dusza, jeden z głównych negocjatorów umowy zawartej przez SKW z rosyjskim FSB za czasów „resetu" Tuska, która zobowiązywała nas do współdziałania z Rosją w działaniach wymierzonych przeciw NATO! Co jeszcze bardziej kuriozalne, to dzięki Stróżykowi Dusza został wybawiony z poważnych tarapatów. Naczelny Sąd Administracyjny umorzył bowiem, toczące się od 2021 roku, postępowanie kasacyjne. Jego skutkiem mogło być pozbawienie go stopnia oficerskiego. Umorzenie nastąpiło tylko dlatego, że w styczniu 2024 roku Stróżyk cofnął sprawę kasacyjną mimo twardych ustaleń raportu komisji prof. Cenckiewicza. A przecież to ten raport wprost wymienia grupę agentów FSB skierowaną do rozpracowywania Polaków – gen. Aleksandra Bezwierchnego, szefa Departamentu Kontrwywiadu Wojskowego FSB, gen. Mikołaja Juriewa, jego zastępcę, płk. Władimira Juzwika, płk. Siergieja Kumienkę i gen. Jurija Szepielenkę. A to oznacza, że przeciwko SKW Rosjanie rzucili najlepszych swoich ludzi. Kluczowa jest tu postać asa FSB, najwybitniejszego specjalisty od rozpracowywania struktur NATO, gen. Bezwierchnego. Od momentu gdy Putin doszedł do władzy w 2000 roku, radykalnie zwiększył możliwości Kontrwywiadu Wojskowego FSB i postawił na jego czele tego sprawdzonego w czasach bolszewickich agenta KGB. Bezwierchny stał za serią najbardziej spektakularnych sukcesów Kontrwywiadu Wojskowego FSB w walce z NATO – w tym rozpracowania Siergieja Skripala. On też doprowadził do skazania płk. Walentina Szabaturowa, który za szpiegostwo na rzecz NATO otrzymał 12 lat więzienia. Jego sukcesem było również rozpracowanie płk. Wasilija Chitruka, współpracownika państwa NATO-owskiego, Litwy, skazanego na 7,5 roku więzienia. Jednym z najważniejszych jego sukcesów w walce z Sojuszem i USA było rozpracowanie płk. Władimira Nestereca, starszego inżyniera doświadczalnego, który pracował na Kosmodromie Plesieck – najbardziej wysuniętym na północ z wszystkich kosmodromów na świecie. Miał przekazywać informacje dotyczące rakiet Topol-M. Został zatrzymany w styczniu 2010 roku na terytorium Ukrainy i skazany 10 lutego 2012 roku na 13 lat więzienia. Dwa miesiące po tym jego sukcesie Bezwierchny gościł u siebie w Moskwie w kwietniu 2012 roku delegację SKW w składzie: gen. bryg. Janusz Nosek, płk Dariusz Pilarz, płk Krzysztof Dusza i ppłk Piotr Pytel. Ekipa ta spotkała się przy okazji z szefem FSB, gen. Aleksandrem Bortnikowem, który odgrywa dziś kluczową rolę w wojnie hybrydowej przeciwko RP i który kontrolował i nadzorował rosyjską agenturę podczas październikowych wyników w Polsce. Raport ukazuje też wykorzystanie aktywności gen. Noska i gen. Pytla do działań dezinformacyjnych, które miały lansować narrację, iż PiS jest przesiąknięty agenturą rosyjską. ■

eprasa.pl 48b912c059

Ryszard Czarnecki

55 do 7 i głośne milczenie o Smoleńsku

Za rządów Prawa i Sprawiedliwości w ciągu ośmiu lat według oficjalnych danych złapano 55 rosyjskich szpiegów. Przez analogiczny ośmioletni okres rządów Platformy i PSL zdemaskowano ich… siedmiu.

Nie zajmuję się służbami specjalnymi – z nadzieją na wzajemność. Wiem, że płonna to nadzieja. Nie zajmuję się, ale sporo czytam (mam ten nawyk z czasów, kiedy nauczyciele jeszcze kazali dzieciom uczyć się też w domu). I wiem, że rosyjscy szpiedzy to nie postaci z filmów o Jamesie Bondzie.

W ostatnich latach, a zwłaszcza po napaści na naszego wschodniego sąsiada, Rosja zintensyfikowała aktywność szpiegowską w krajach UE i NATO. Tak było zawsze, jednak w ostatnich parędziesięciu miesiącach szpiedzy Kremla mają skupić się nie tylko na poszukiwaniu informacji, lecz przede wszystkim na sabotażu. O to oskarżono ostatnio aresztowanych agentów w Polsce, ale też w Niemczech (Bawaria). Rzeczywiście Moskwa funduje dodatkowe zajęcie dla służb specjalnych krajów Zachodu, a szczególnie naszego regionu. Rosyjskich agentów spektakularnie aresztują nawet państwa historycznie i religijnie bardziej powiązane z Rosją niż inne – jak Bułgaria.

Kreml wie, co robi. Afera szpiegowska w Czechach? Akurat w kraju, którego premier Petr Fiala był razem z Jarosławem Kaczyńskim, Mateuszem Morawieckim i premierem Słowenii Janezem Jansą w pierwszej grupie szefów rządów, którzy zdecydowali się na wyjazd do Kijowa wtedy, gdy wymagało to naprawdę bardzo dużej odwagi, a nie było PR-owską ustawką, jak wiele późniejszych wizyt zachodnich polityków. Rząd w Pradze (z główną partią koalicyjną ODS – partnerem PiS w grupie Europejskich Konserwatystów i Reformatorów) jest sojusznikiem Polski w organizowaniu „czerwonego światła" Zachodu dla Rosji (inaczej niż dwa inne kraje Grupy Wyszehradzkiej, czyli Słowacja i Węgry). I stąd intensyfikacja akcji szpiegowskiej Rosjan nad Wełtawą. Gdy rząd w Bułgarii premiera Kiriła Petkowa forsował w parlamencie przekazani broni i amunicji Kijowowi – natychmiast Kreml wystawił mu szpiegowski rachunek. Skądinąd agentem Rosji okazał się tam… bułgarski dyplomata, i to jeszcze wykładowca akademii dyplomatycznej. Podobnie jest z zagęszczeniem rosyjskiej siatki szpiegowskiej w Niemczech, co ewidentnie nastąpiło po wymuszonej zmianie stanowiska Berlina wobec Moskwy po 24 lutego 2022 roku.

A Polska? To oczywiste, że w kraju, który graniczy jednocześnie z Rosją, Ukrainą i Białorusią, jako jedyne zresztą państwo w UE i NATO, agenci Kremla muszą być i są aktywni. Pytanie, na ile intensywnie potrafimy ich łapać? Za rządów Prawa i Sprawiedliwości w ciągu ośmiu lat według oficjalnych danych złapano 55 rosyjskich szpiegów. Przez analogiczny ośmioletni okres rządów Platformy i PSL zdemaskowano ich… siedmiu. Gdy powiedziałem to w jednym z programów telewizyjnych, przedstawiciel obozu 13 grudnia odpowiedział, że lata 2007–2015 „to były inne czasy". Odparowałem, że w tych innych czasach Rosja napadła na Gruzję (sierpień 2008), a następnie przyczyniła się do śmierci przedstawicieli polskich elit polityczno-militarnych pod Smoleńskiem (kwiecień 2010).

Narracja, że Rosja zaczęła źle postępować, dopiero napadając na naszego wschodniego sąsiada przed dwoma laty, jest bardzo wygodna dla tych polityków obecnego obozu władz, którzy wcześniej mówili o Putinie, że to „nasz człowiek w Moskwie", zapraszali Ławrowa jako guru na coroczne spotkanie ambasadorów RP w Warszawie czy też domagali się zniesienia sankcji na eksport do Rosji. O ile dwa pierwsze skandale dotyczyły PO, o tyle ten trzeci – PSL i jednego z jego ministrów.

Generał Piotr Pytel w ostatnim wywiadzie dla „Newsweeka" stwierdził, że „Polska powinna się liczyć z tym, że plan zamachu na Tuska leży u Putina na stole". To czternaście lat i jeden miesiąc po tym, jak w Rosji zginęli prezydent Polski i dowódcy sił zbrojnych, kwiat naszej elity. Ale o tym już w tym wywiadzie nie przeczytałem. Cóż, powiedz mi, co mówisz publicznie w kwestiach najważniejszych – a powiem ci, kim jesteś… ■

eprasa.pl 48b912c059

Małgorzata Matuszak

Czym jest... mądrość

Pewne słowa, a nawet pojęcia, do niedawna jeszcze posiadające niekwestionowane znaczenie i szanowane, niczym rodzinne portrety w opuszczonym zamku pokrywają się warstwą kurzu, która gasi ich blask. Ośmielę się powiedzieć, że tak właśnie dzieje się ze słowami mądrość i sacrum" – pisał w latach 60. XX wieku filozof Gabriel Marcel. W dzisiejszych czasach ta warstwa kurzu na słowie „mądrość" stała się jeszcze grubsza. Stało się ono czymś niepopularnym, anachronicznym wręcz, bo – zbyt trudnym?

Dzisiaj zamiast terminu „mądrość" używamy raczej pojęć inteligencja, wiedza, kompetencje. Mądrość nie jest jednak tym samym co inteligencja. Inteligencja bez mądrości może istnieć, mądrość bez inteligencji – nie. Mądrość ma wiele wspólnego z wiedzą, ale nie jest z nią tożsama. Inteligencja, wiedza i kwalifikacje nie wystarczają, by kogoś nazwać człowiekiem mądrym. One go mądrym nie czynią. Mądrość to coś więcej.

Źródłowo, od Arystotelesa, rozdzielamy mądrość na teoretyczną i praktyczną. Pierwsza („sofia") odnosi się do poznawania pierwszych zasad oraz ich rozumienia, czyli dociekania, czym jest to, co jest, i dlaczego jest takie, jakie jest; druga („fronesis") – to wiedza o środku, czyli właściwej mierze i tym, co powinne w postępowaniu człowieka, dla namiętności, które targają człowiekiem, i dla samego działania. Choć Arystoteles wskazuje na prymat życia teoretycznego nad praktycznym, to jednak przyznaje, że te dwa aspekty życia nie mogą istnieć niezależnie od siebie – nie można wszak żyć życiem tylko teoretycznym, oddalając moment praktyczny, jako że nie może być teoria w pełni sobą, jeśli nie jest aplikowana w praktyce, ale i wieść życia praktycznego w pełni nie można bez zbliżania się ku teoretycznemu, bo nie może obyć się praktyka bez teorii. Oba sposoby życia prowadzą nas zaś do celu najwyższego – szczęścia.

Człowiek mądry potrafi żyć w czasie nie tylko teraźniejszym, lecz także ogarnia swoim spojrzeniem przeszłość i przyszłość – przeszłość, gdyż czerpie wiedzę z całej mnogości swoich wcześniejszych doświadczeń, zarówno złych, jak i dobrych; przyszłość, bo zdolny jest do podejmowania decyzji i przeformułowania własnych sądów w kontekście tego, co może się wydarzyć. Działa przez wzgląd na przeszłość i ze względu na przyszłość. Człowiek mądry jest człowiekiem pokornym, nie „mądrzy się" w potocznym tego słowa znaczeniu. Ma głęboką świadomość tego, czego nie wie. Wie, że nic nie wie, jak mawiał Sokrates. Człowiek mądry jest człowiekiem cierpliwym. Wie, że to, co ważne, przychodzi nieśpiesznie, a każda umiejętność wymaga cierpliwego się w niej ćwiczenia. Człowiek mądry panuje nad swoimi emocjami. Wie, że są one złymi doradcami, dlatego lepiej jest mieć je na wodzy. Człowiek mądry potrafi poprosić o radę. Wiedząc, że nie wszystko wie, pragnie poszerzać swą wiedzę o doświadczenia innych ludzi. Te cechy mądrości unaoczniają trudności, jakie napotyka ona w dzisiejszych czasach, które stają się coraz bardziej niepokorne, niecierpliwe i hołdujące samowystarczalności. Żyjemy wszak „tu i teraz", w epoce szybkiej prawdy, szybkiego rozwiązywania problemów i jeszcze szybszego ich pozostawiania samym sobie, jeśli ich rozwiązanie wymagałoby dłuższego nad nimi namysłu czy czasu ich realizacji. Żyjemy w epoce, którą cechuje kultura indywidualizacji, zachęcającej nas do skupiania się na sobie: samowystarczalności, samorozwoju i umiejętnego zarządzania sobą.

> Człowiek mądry jest człowiekiem cierpliwym. Wie, że to, co ważne, przychodzi nieśpiesznie, a każda umiejętność wymaga cierpliwego się w niej ćwiczenia.

Mądrość nie cieszy się dzisiaj właściwym jej miejscem również dlatego, że uznając kogoś za człowieka mądrego, równocześnie musielibyśmy uznać, że zdecydowana większość ludzi mądra nie jest, a to – w dzisiejszych czasach – byłoby niepoprawne, także politycznie. Nie zmienia to faktu, że tym bardziej potrzebujemy dzisiaj ludzi mądrych, rozważnych, mających głęboki wgląd w rzeczywistość nas otaczającą, a sama mądrość winna świecić należytym jej blaskiem. To mądrość właśnie jest fundamentalną potrzebą współczesnego świata. Przede wszystkim w kontekście wychowywania kolejnych pokoleń. ■

eprasa.pl 48b912c059

Forsowanego przez Międzyrządowy Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC) „dogmatu", którego istotę stanowi teoria ocieplenia antropogenicznego, „nie podziela większość geologów, a także wielu naukowców innych specjalności" – twierdzi prof. Leszek Marks. Jednocześnie – jak dodaje – nie wszyscy z nich chcą to deklarować publicznie w obawie o granty, ostracyzm, a nawet utratę pracy. Geolog przyznaje, że klimat „niewątpliwie się zmienia", jednak podkreśla, iż decydującym czynnikiem tych zmian są procesy naturalne, a zagrożenie dwutlenkiem węgla poleca „włożyć między bajki".

Rozmawia **Przemysław Obłuski**

NAUKA POD BUTEM KLIMATYCZNEGO LOBBY. W TLE WIELKA POLITYKA I ZIELONE INTERESY

eprasa.pl

▶ Komunikat Państwowego Instytutu Geologicznego (PIG) z okazji Dnia Ziemi, w którym padły stwierdzenia przeczące tezom o istotnym wpływie człowieka na klimat, wywołał ogromne zainteresowanie, a niewielu ludzi na co dzień interesuje się geologią.

Nawet bardzo mało. Wiele osób myli geologię z archeologią, a nawet – kiedy w swoim czasie pracowałem w terenie – jak powiedziałem, że mam doktorat, to już w ogóle… Jak doktor, to musi być lekarz.

▶ Wywołał Pan – bo to Pan był autorem tego komunikatu – spore zamieszanie, interweniowało nawet Ministerstwo Klimatu. I to się przebiło do mediów, dlatego że ten komunikat nie pojawił się tylko na stronie PIG, lecz opublikowała go Polska Agencja Prasowa. Można powiedzieć, że dokonał Pan drobnego wyłomu w obowiązującej narracji. Jednocześnie można odnieść wrażenie, że przedstawionej przez Pana diagnozy nie podziela zbyt wielu naukowców.

Jeżeli chodzi o geologów, to zdecydowana większość – i to nie tylko w Polsce, lecz także na świecie – stanowczo opowiada się za opcją zbliżoną do mojej wersji. Są oczywiście różnice, ale generalnie większość geologów neguje, że tylko człowiek wpływa na zmiany klimatyczne. Dostałem propozycję, aby opracować komunikat Państwowego Instytutu Geologicznego, wyrażający opinię na temat klimatu. Ponieważ w ostatnich kilkunastu latach wygłaszałem liczne referaty dotyczące zmian klimatu, więc moje stanowisko znane jest nie tylko wśród geologów i wiadomo było, jaki będzie wydźwięk tekstu przygotowanego przeze mnie. Prawdę powiedziawszy, od kilkunastu lat działam już na tym forum. To zaczęło się przypadkowo w 2009 roku, z okazji Dni Ziemi. Zostałem wówczas poproszony o wygłoszenie referatu na temat zmian klimatu w przeszłości. Wtedy nie wchodziłem głęboko w te zagadnienia dotyczące polityki klimatycznej. Takim guru od klimatu był wówczas Al Gore, były wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, ale ja jego działań w tej kwestii nie śledziłem. W swoim referacie skoncentrowałem się na geologicznych metodach badania klimatu w przeszłości i ich przyczynach, nie odnosząc się w ogóle do polityki klimatycznej. Dwie młode osoby zaatakowały mnie wówczas, ponieważ wyraziłem sceptycyzm co do roli człowieka we współczesnych zmianach klimatu. Od tego czasu zacząłem głębiej wchodzić w zagadnienia związane ze współczesnymi zmianami klimatu, zapoznałem się z wieloma publikacjami i raportami. Z mojej inicjatywy Komitet Nauk Geologicznych Polskiej Akademii Nauk (którego byłem członkiem) zajął stanowisko w sprawie zmian klimatu. Jeżeli chodzi o środowisko geologów, to zdecydowana większość akceptuje, że zmianami klimatu sterują procesy naturalne. Część naukowców innych specjalności także podważa obowiązujący dogmat o dominacji wpływu człowieka na zmiany klimatu, ale nie wszyscy z nich chcą to deklarować publicznie.

▶ Twierdzenia o wpływie człowieka na zmiany klimatu nazwał Pan dogmatem. Nauka nieustannie idzie do przodu, czy wobec tego jest miejsce w tej przestrzeni na istnienie dogmatów?

Oczywiście że tak. Obecny dogmat klimatyczny został zainicjowany w 1988 roku, kiedy Światowa Organizacja Meteorologiczna (WMO) i Organizacja Narodów Zjednoczonych wystąpiły z projektem utworzenia Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC). Jego zadaniem było udowodnienie wpływu człowieka na zmiany klimatu. IPCC stworzył kolejne raporty (w sumie sześć). Pierwszy z nich ukazał się w 1990 roku (jest dostępny na stronie IPCC) i przedstawiał ówczesny stan wiedzy o klimacie w przeszłości, z ociepleniem średniowiecznym i następującą po nim małą epoką lodową. Zmieniło się to w trzecim raporcie (w 2001 roku), kiedy Amerykanin Michael Mann określił na podstawie słojów drzew temperaturę na Ziemi w ciągu ostatniego tysiąclecia. Zastosowana przez niego metodyka i przedmiot badań pozwalają jedynie na określenie wielkości opadów w lecie i przemarzania w zimie. Mann miał niewątpliwie świadomość karkołomności swoich wniosków, co wynika z ujawnionej w 2010 roku korespondencji mailowej z Uniwersytetem Wschodniej Anglii. Jednocześnie pojawiło się sporo artykułów, które kwestionowały podejście Manna, wskazując, że temperatury nie da się określić na podstawie słojów drzew, a ponadto że Mann zastosował nieprawidłowe metody statystyczne w analizie danych.

▶ Ale to chyba nie mogło przejść bez echa?

Mann nigdy się z tego nie wycofał jednoznacznie, ale ostra krytyka ze strony świata naukowego spowodowała, że kilka lat później opublikował artykuł, w którym stwierdził, że ocieplenie średniowieczne zaznaczało się tylko lokalnie. Ponieważ nie chciał mówić o ociepleniu średniowiecznym, to zastosował wybieg, nazywając to ocieplenie „średniowieczną anomalią klimatyczną". Anomalia w terminologii klimatologicznej odnosi się do okresów trwających nie

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 48b912c059

dłużej niż 30 lat. Wiemy, że ocieplenie średniowieczne trwało około 300 lat.

▶ I dzisiaj na te dane powołują się politycy, którzy urządzają nam życie?

Politycy najczęściej sięgają do streszczenia dla polityków, które ma około 100–150 stron i jest opracowywane przez polityków, teoretycznie na podstawie materiałów naukowych, które są zgromadzone w trzech grubych opracowaniach cząstkowych przygotowanych przez wieloautorskie grupy robocze (przy każdym raporcie IPCC). Jedno z takich opracowań cząstkowych dotyczy naturalnych zmian i procesów w środowisku, drugie – adaptacji do zmian klimatu, trzecie – łagodzenia zmian klimatu. W opracowaniu grupy roboczej zajmującej się procesami naturalnymi w 4. raporcie IPCC z 2007 roku był rozdział mówiący o paleoklimacie, napisany przez geologów. Szefem tego zespołu był Peter Clark, profesor uniwersytetu w Oregonie w Stanach Zjednoczonych – błyskotliwy i o dużej wiedzy naukowiec. Ten rozdział był napisany tak, że właściwie można by było się zgodzić z zawartymi w nim wnioskami. Opierał się na danych geologicznych i nie wynikało z nich, że obecne zmiany klimatu są wyjątkowe, że są spowodowana przez człowieka. W kolejnych dwóch raportach IPCC (2013-2014, 2021) ten rozdział już się nie pojawił.

▶ Mówił Pan, że duża część naukowców (także w łonie PIG) z tym klimatycznym dogmatem się nie zgadza, a z drugiej strony bardzo niewielu ma odwagę o tym mówić głośno.

Tak. Kiedy byłem już dojrzałym naukowcem, starałem się nie ukrywać swojej wiedzy i swoich poglądów na tematy naukowe. Uznałem, że powinienem jasno wyrażać swoją opinię wynikającą z doświadczenia i zdobytej wiedzy, ponieważ uzyskałem to ze środków publicznych, kiedy pracowałem na Uniwersytecie Warszawskim oraz w Państwowym Instytucie Geologicznym, i powinienem się nią podzielić ze społeczeństwem. W Polsce pracownicy naukowi nie zawsze chcą występować z kontrowersyjnymi tezami w stosunku do obowiązujących poglądów. Mogliby potem nie dostać grantu albo nawet stracić pracę. Mam przyjaciół i znajomych na różnych uniwersytetach w Europie i oni mi mówią wyraźnie, że nie zgadzają się z tezami przeważającej narracji o przyczynach zmian klimatu, ale jeżeliby powiedzieli to publicznie, to spotkałby ich ostracyzm i nie pozyskaliby finansowania dla swoich badań, a jeszcze mogłoby to mieć inne reperkusje. Dopiero po przejściu na emeryturę mówią otwarcie, co myślą.

▶ Al Gore, o którym Pan wspominał, zapowiadał w zasadzie koniec świata, wskazując m.in. na topniejące lodowce, czapę lodową na szczycie Kilimandżaro. Ja już w swoim życiu takich „końców świata" przeżyłem kilka. Pamiętam klimatyczną awanturę dotyczącą używania freonu, w tym m.in. dezodorantów itd. Końca świata, póki co, nie widać, a liczne jego zapowiedzi zdążyły się zestarzeć. Dlaczego zatem opinia publiczna – pamiętajmy tu o roli mediów i popkultury – kupuje te opowieści i nie próbuje drążyć, mimo że istnieją na ten temat poważne opracowania naukowe?

Przede wszystkim jeśli chodzi o klimat, to największe przebicie do sfery publicznej mają ludzie, którzy nie są klimatologami i nigdy nie zajmowali się badaniami klimatu. Al Gore jest politologiem, więc o klimacie wie niewiele. Gdy czasem widzę eksperta klimatycznego występującego w telewizji, to sprawdzam w internecie, jakie on ma kwalifikacje. I bardzo często wypowiadają się ludzie, którzy o badaniach klimatu nie mają zielonego pojęcia. To są często ekolodzy w szerokim rozumieniu, ale za ekologa może się uważać każdy, bo nie potrzeba do tego żadnego wykształcenia. Natknąłem się nawet na taką „ekspertkę klimatyczną", która była filozofką. Niektórzy ludzie uczynili sobie z wypowiadania się na temat klimatu w zgodzie z tezami polityki klimatycznej sposób na życie. Przykładem takiej osoby jest Greta Thunberg, która nie reprezentuje żadnej wiedzy, od początku była sterowana przez określone lobby, które z tego żyje. U nas w Polsce też są ludzie, którzy zrobili karierę na „walce z klimatem". Mniej więcej dziesięć lat temu brałem udział w panelu, zorganizowanym przez ówczesnego prezesa Polskiej Akademii Nauk prof. Michała Kleibera, w którym brały udział osoby z zagranicy, m.in. z GeoForschungsZentrum w Poczdamie, zajmujące się klimatem. I w czasie tego panelu okazało się, że w prezydium, w którym zasiadało chyba pięć osób, i wśród panelistów nie było żadnego klimatologa. I faktycznie byli tam ludzie reprezentujący zupełnie inne dziedziny. Co ciekawe, niektórzy orędownicy współczesnego ocieplenia antropogenicznego robią po latach woltę, opowiadając się za naturalnymi przyczynami obecnej zmiany klimatu. To są takie powroty do rzetelności niektó-

eprasa.pl 48b912c059

rych osób, które w momencie, w którym nie są już od niczego zależne, zaczynają zmieniać poglądy. A może zawsze tak myślały, tylko ze względów koniunkturalnych mówiły kiedyś inaczej?

▶ Z tego co Pan mówi, wyłania się dosyć smutny obraz współczesnej nauki, dlatego że konsekwencje tych dogmatów ponosimy wszyscy. I to bez względu na to, czy jesteśmy rolnikami, ślusarzami, kowalami itd. Wszyscy będziemy za to płacić, jeżeli się nic nie zmieni. Chowanie głowy w piasek przez dużą część naukowców uwiarygadnia twierdzenia, które są prawdopodobnie inspirowane przez różnego rodzaju grupy interesów. Czy to w ogóle można jakoś zmienić?

Wydaje mi się, że jeżeli zaczyna się mówić o czymś, to nawet jeżeli przekona się tylko kilka czy kilkadziesiąt osób, to może to doprowadzić do zmiany, bo te osoby mogą przekonywać kolejne.

▶ Czyli taki rodzaj naukowej „ewangelizacji"?

Można to robić tylko w takiej formie, że neguje się te twierdzenia, które uważa się za nieprawdziwe, i pokazuje się alternatywę z uzasadnieniem. W badaniach geologicznych jest to porównywanie z tym, co było kilkaset czy kilka tysięcy lat temu. Wiele procesów geologicznych powtarza się cyklicznie i w sposób w miarę uporządkowany. A w polityce jest tak, że z jednej strony działa się od ściany do ściany, w zależności od tego, czego oczekują wyborcy, a z drugiej strony nie wychodzi się na ogół poza pewien pozorny konsensus.

▶ Pan wychodzi poza ten „konsensus". Skutki autoryzacji „nieprawomyślnego" komunikatu PIG odczuł Pan na własnej skórze. I nie ma wątpliwości, że to napiętnowanie miało charakter polityczny, bo rozmawiałem o tej sprawie z przedstawicielami Ministerstwa Klimatu.

Wiceminister Urszula Zielińska powiedziała, że nie wie nic o naciskach na Instytut dotyczących sprostowania, ale ich nie wykluczyła, bo to, co przedstawiono w komunikacie, to były jej zdaniem brednie. Rzecznik tego resortu stwierdził, że nie było żadnego zastraszania czy groźby utraty stanowiska, ale przyznał, że konsultował treść tego sprostowania. I mamy efekt taki, że o twierdzeniach profesora Marksa mówi się jak o pogodowych anomaliach. Aberracje naukowca, który zwariował na starość… (śmiech).

▶ W „cancelowaniu" podobnych Panu poglądów uczestniczą też różni medialni celebryci. Jeden z bardziej znanych zwolenników atropogenicznej teorii zmian klimatycznych każdemu, kto zasugeruje choćby, że działa on na rzecz jakiegoś lobby, wysyła natychmiast wezwania przedsądowe i grozi pozwami.

Wiem, znalazł sobie taki sposób na funkcjonowanie, chociaż nie ma odpowiedniego wykształcenia, aby się wypowiadać w sposób autorytatywny. A poza tym należy pamiętać, że takie zachowania wynikają z obawy o utratę lukratywnego biznesu.

▶ Panie Profesorze, z dwutlenku węgla zrobiono w powszechnym odbiorze straszak. Jak Pan ocenia skutki takich działań dla gospodarki, dla naszego życia w ogóle?

Gospodarki są odporne na tego typu działania. Wszyscy chcielibyśmy żyć w czystym środowisku. Na pewno nie chcemy smogu, do czego paliwa kopalne się przyczyniają. Można to ograniczyć przez większe wykorzystywanie energii odnawialnej. Jeżeli chodzi o wydobywanie węgla w Polsce, to ono jest coraz bardziej kosztowne, więc trzeba szukać alternatywy. Ostatnio w jednym z wywiadów pytano mnie o wybudowaną na Islandii instalację do odzyskiwania z powietrza dwutlenku węgla i o to, jaki ta technologia będzie miała wpływ na klimat. Wpływ będzie miała żaden, dlatego że dwutlenek węgla w atmosferze jest w równowadze z dwutlenkiem węgla rozpuszczonym w oceanach, więc dwutlenek węgla odprowadzony z powietrza zostanie natychmiast uzupełniony odpowiednią ilością dwutlenku węgla z oceanu. To są działania bezsensowne, a poza tym bardzo kosztowne. Trzeba mieć świadomość, że ograniczanie ilości dwutlenku węgla w atmosferze spowoduje zmniejszenie wegetacji roślinnej. Dwutlenek węgla jest najważniejszym „nawozem" dla roślinności. Ocenia się, że gdyby czterokrotnie spadła zawartość dwutlenku węgla w atmosferze, to praktycznie wegetacja na Ziemi by ustała. Wtedy dopiero moglibyśmy mówić o katastrofie, przede wszystkim żywnościowej.

▶ Europa w tej chwili funduje sobie ogromne koszty, a próbujemy – jak rozumiem – walczyć z wiatrakami. Tym bardziej że jej gospodarka odpowiada za zaledwie około 7 proc. światowej emisji CO_2.

A inne kraje nie mają takich ograniczeń i czasem nawet tę emisję zwiększają. I to takie kraje jak Stany Zjednoczone, Chiny, Indie, Rosja. Jeżeli się policzy, ile

eprasa.pl 48b912c059

tego dwutlenku węgla produkują poszczególne gospodarki w przeliczeniu na mieszkańca, to na Polskę przypada mniej niż na Niemcy, Holandię, Hiszpanię i Stany Zjednoczone, nie mówiąc już o krajach arabskich z rejonu Zatoki Perskiej.

▶ Czy rzeczywiście Pana zdaniem klimat się zmienia i czy idzie to w jakimś zatrważającym kierunku?

Zmienia się niewątpliwie, jesteśmy w ociepleniu. To ocieplenie zaczęło się 200 lat temu i cały czas postępuje, tyle że nie w sposób jednostajny. Są fazy cieplejsze i fazy chłodniejsze. Kiedy obecne ocieplenie rozpoczęło się około 1830 roku, to potem mieliśmy epizod ochłodzenia, a następnie mniej więcej dwudziestoletni ciepły w latach 80. XIX wieku. Kolejne epizody ciepłe (rozdzielone chłodniejszymi), to lata 30. i 40. wieku XX, lata 80. i wreszcie ostatnie kilkanaście lat. To jest taka wznosząca się krzywa temperatury, czyli kolejne ocieplenia i ochłodzenia są na coraz wyższym poziomie temperaturowym. Gdyby przyjąć, że wyłącznie człowiek wpływa na klimat i na wzrost temperatury, to nie mielibyśmy tych fluktuacji, tylko mielibyśmy cały czas krzywą wznoszącą się zdecydowanie do góry. Kryzys gospodarczy w okresie międzywojennym był związany z wyraźnym ociepleniem i zmniejszeniem opadów, co przede wszystkim wpłynęło na rolnictwo. Natomiast jeżeli chodzi o wzrost temperatury, to nadal nie osiągnęliśmy poziomu, który był w średniowieczu. Okres średniowiecza pod względem gospodarczym był czasem rozkwitu, bo wtedy mieliśmy do czynienia z nadmiarem żywności, wobec tego część ludzi mogła się poświęcić innym zajęciom, umożliwiając wyraźny postęp cywilizacyjny. Potem mieliśmy ochłodzenie tzw. małej epoki lodowej, które zaczęło się mniej więcej w XV wieku i był to okres bardzo niekorzystny dla rozwoju cywilizacyjnego. Spadła produkcja żywności, bo spadek temperatury o 1 skraca okres wegetacyjny o jeden tydzień w ciągu roku. To była przyczyna wymarcia Wikingów na Grenlandii, bo nie potrafili przestawić się na inny sposób gospodarowania w miarę postępującego ochłodzenia. Natomiast Eskimosi przystosowali się do nowych warunków i przeżyli.

▶ Teraz może się okazać, że takimi Eskimosami bardziej przystosowanymi do współczesnych warunków będą Chińczycy, którzy podobno w ciągu czterech dni wydobywają tyle węgla, co Polska w ciągu roku.

W Chinach jest problem zanieczyszczenia środowiska, który narasta, i nie można tak działać w nieskończoność. W latach 80. w Europie, a szczególnie w Polsce, występowało bardzo duże zanieczyszczenie powietrza związkami siarki, częste były tzw. kwaśne deszcze. W przemyśle i energetyce nie było filtrów i związki siarki pochodziły ze spalania paliw kopalnych. Potem zostały założone filtry i problem się skończył. Co ciekawe, związki siarki w atmosferze sprzyjają kondensacji pary wodnej i powodują powstawanie chmur. Chmury odcinają powierzchnię Ziemi od promieniowania słonecznego, czyli siarka w powietrzu powoduje ochłodzenie. Natomiast jeżeli tej siarki nie ma, tworzy się mniej chmur i następuje ocieplenie. I to też jest pewna relacja charakteryzująca zauważalne ocieplenie w latach 90. i na początku XXI wieku, bo było ono spowodowane ograniczeniem ilości związków siarki w powietrzu.

▶ To brzmi jak jakiś niebywały paradoks. Krótko mówiąc, kiedy Polska węglem stała i spalała ten zabójczy węgiel wszędzie, gdzie tylko było to możliwe, to dzięki generowaniu siarki w atmosferze klimat się ochładzał. Czy tak?

No tak. To nie znaczy, że mamy spalać więcej węgla, tylko że wzajemne relacje są bardzo skomplikowane.

▶ Rozumiem, ale zmierzam do tego, że ten paradoks podważa przekonanie laików takich jak ja, że spalanie węgla i emisja dwutlenku węgla powodują ocieplenie klimatu.

Mówi się nawet, że dwutlenek węgla jest trujący. Chcielibyśmy, żeby świat był taki biało-czarny, binarny, zerojedynkowy, a cały czas się obracamy w sferze szarości, bo działanie w jednym kierunku, który wydaje się nam korzystny, może powodować zmiany zupełnie nieoczekiwane.

▶ Organizacje takie jak Greenpeace twierdzą, że jeśli do 2030 roku nie wycofamy się ze spalania paliw kopalnych, to nasza planeta zginie. Unia Europejska w imię ratowania planety proponuje zamordystyczne wprost rozwiązania. Być może wkrótce jakieś „trójki robotniczo-chłopskie" będą plądrowały nasze domy, żeby sprawdzić, czy są one dostatecznie zaizolowane i czy ogrzewamy je we właściwy ich zdaniem sposób. To jest daleko idące ograniczenie wolności.

Myślę, że to jednak nie dojdzie do skutku. Każdy przecież dba, żeby mieć dobrze ocieplony dom, choćby po to, żeby ponosić mniejsze koszty. Na ogół ludzie sami o to zabiegają. Kiedyś mieliśmy byle jakie okna i teraz prak-

eprasa.pl 48b912c059

tycznie wszyscy je sobie powymieniali, żeby właśnie nie było ucieczki ciepła. Było to nawet przez pewien czas wspierane poprzez ulgi w podatku. Każdy racjonalnie myślący człowiek będzie dbał, żeby ponosić mniejsze koszty.

▶ Ale można też manipulować kosztami, obkładając na przykład pewne produkty czy surowce podatkiem. Wymyślono w tym celu nawet – moim zdaniem zupełnie kuriozalny – podatek od emisji CO_2.

Oczywiście że tak jest, ale z tego państwo żyje, spójrzmy na opodatkowanie paliw. Jak by pan mniej jeździł, a więcej chodził, to by pan mniej płacił. To jest pewien wybór i trzeba wybrać pomiędzy pewną wygodą a kosztami. Z pewnością pewne rzeczy można zracjonalizować.

▶ Pan Profesor mówi o wolnym wyborze, popartym rachunkiem ekonomicznym. A ja mówię o przymusie powodowanym poprzez sztuczne zawyżanie cen na przykład surowców energetycznych, kosztów ogrzewania systemowego itp. Wydaje się więc, że mamy do czynienia z manipulacją podpartą rzekomo naukowym konsensusem, której celem jest nabijanie kabzy zielonego lobby.

Ten, kto ma większą siłę przebicia, wygrywa. Nie możemy też ukrywać, że jest lobby węglowe, które opowiada się za opcją przeciwną. I to też należałoby w jakimś stopniu zracjonalizować.

▶ Czy rzeczywiście grozi nam „jakiś" koniec świata, a jeśli tak, to co może być jego przyczyną?

Kiedyś pewnie nastąpi, tylko że spowodują to prawdopodobnie procesy naturalne. Ziemia za kilka miliardów lat zostanie pochłonięta przez powiększające się Słońce. To, co może nam grozić (i warto o tym wiedzieć), to na przykład wybuch superwulkanu. To jest dość realne zagrożenie. Jest taki superwulkan w rejonie Neapolu i on cały czas jest monitorowany. Gdyby wybuchł, to na pewno obszar śródziemnomorski doświadczyłby drastycznych skutków tego wydarzenia. Mielibyśmy wówczas do czynienia z zimą, która mogłaby trwać nawet przez kilkadziesiąt lat. Tego typu wulkany są także w innych miejscach. Jest na przykład superwulkan Toba w Indonezji. Wybuchł 73 tys. lat temu i sprawił, że ludzkość na Ziemi niemal całkowicie wymarła, bo jak się ocenia, zostało zaledwie około 5 tysięcy par. Prawie cała Azja, cała Europa, część Ameryki Północnej to były obszary, gdzie przez 40 lat panowała zima. Zaznaczyło się to również, ale w mniejszym stopniu, w Afryce. Ocenia się, że średnia globalna temperatura spadła około 20 stopni, więc jeżeli temperatura w Afryce z 40 czy 35 stopni spadła do 20 stopni, to dało się tam jeszcze przeżyć.

▶ Na terenie parku Yellowstone jest też taki superwulkan.

Tak. W geologii taki obszar nazywa się obszarem hot spot, czyli gorącą plamą. Pod nią znajduje się komora magmowa superwulkanu. A superwulkan różni się tym od zwykłego wulkanu, że średnica jego krateru może mieć nawet 100–200 km i ma dość głębokie zasilanie. I kiedy wybuchnie, to praktycznie prawie cała Ameryka Północna będzie zasypana popiołem, tak jak to bywało w przeszłości. To jest rzeczywiste zagrożenie, które w którymś momencie nastąpi. Pewnie jak będziemy się do tego momentu zbliżać, to już będą jakieś sygnały, bo te rejony są cały czas monitorowane.

▶ Tylko że i tak nic nie będziemy mogli zrobić, żeby temu przeciwdziałać.

No tak. Można się w pewnym sensie jakoś do tego przygotować, robiąc zapasy żywności, schronienia itp., ale w rejonie, który zostanie objęty bezpośrednimi skutkami takiego wybuchu, niewiele da się zrobić. Drugie zagrożenie to kolizja z asteroidą albo kometą. Gdyby taka kometa wbiła się w obszar oceaniczny, to mogłaby powstać fala tsunami o wysokości nawet 2 kilometrów. Wiadomo, że zmiotłaby większość tego, co jest na Ziemi. Tu skuteczne mogłoby być użycie broni jądrowej do rozbicia takiej nadlatującej komety, ale to wymaga współpracy międzynarodowej. Wreszcie trzecie zagrożenie to wojna nuklearna bez ograniczeń wszystkich ze wszystkimi. Tu też efekt końcowy (niezależnie od skażenia) byłby taki, że nastąpiłaby zima nuklearna, bo wówczas byłoby bardzo duże zapylenie w atmosferze i nie docierałoby promieniowanie słoneczne. To są możliwe, realne przyczyny katastrofy klimatycznej, które powinniśmy w jakiś sposób brać pod uwagę, mimo że wydaje się, iż są mało realne. Ale w którymś momencie może to się zmienić.

▶ I to jest to, co może nam realnie zagrażać, a nie dwutlenek węgla?

Zagrożenie dwutlenkiem węgla należy włożyć między bajki. Nieżyjący już prof. Zbigniew Jaworowski podkreślał, że o dwutlenku węgla nie można mówić, że to jest „gaz trujący" czy „gaz śmierci", tylko że jest to „gaz życia", właśnie z tego powodu, że bez niego życie na Ziemi byłoby niemożliwe. ■

eprasa.pl 48b912c059

Republika, czyli bogactwo myśli

Jakub Augustyn Maciejewski

eprasa.pl 4

Nawet w czasach gdy szkoła średnia zapewniała przyzwoite wykształcenie humanistyczne, to jednak polska myśl polityczna pojawiała się tam jedynie w historii kilku postaci, jakby cały dorobek narodowej państwowotwórczości zamykał się w pięciu–sześciu dziełach.

FOT. WIKIPEDIA

Kiedyś maturzysta – ten z prawdziwego zdarzenia – znał pisma Andrzeja Frycza Modrzewskiego, potem być może słyszał o tym strasznym Andrzeju Maksymilianie Fredro, który pozwolił w 1652 roku zerwać sejm jednym głosem sprzeciwu (liberum veto), dalej może znamy już pakiet oświeceniowy: Stanisława Konarskiego, Stanisława Staszica czy Hugona Kołłątaja z szerszym podkreśleniem istoty Konstytucji 3 Maja. Później niewiele więcej uczą się nawet studenci historii, mało kto sięga głębiej, jakby pomiędzy Modrzewskim (może jeszcze ks. Piotrem Skargą) zionęła w narodowych dziejach intelektualna wyrwa. Podkreślają to dalej slogany o XVII wieku jako jedynie tym, który polegał na walce, i o czasach saskich, kiedy tylko „za króla Sasa pij, jedz i popuszczaj pasa".

Rozgorączkowani Polacy chwytają za pióra

Może jest oczekiwaniem zbyt wielkim zakładać, że Polacy powinni znać więcej twórców pism politycznych dawnych wieków, ale warto chociaż pochylić się nad refleksją, że w takim kraju jak Rzeczpospolita głowy szlacheckie kipiały nie tylko od wojen, sejmów i handlu zbożem, lecz także od dyskusji właśnie! Przecież w dobie największego rozkwitu (1618 rok) państwo polsko-litewskie liczyło prawie milion kilometrów kwadratowych, a jego najbardziej świadoma warstwa nie była zbita w miastach i pałacach, tylko w tysiącach, dziesiątkach tysięcy dworów i dworków, zagrodach i przykościelnych domach. Pomiędzy sejmikami (czyli posiedzeniami szlachty wojewódzkiej) polityka była tam nie mniej drastyczna jak i w obecnej Polsce, a po całym kraju latały tzw. pisma ulotne, czyli nie regularne czasopisma, a szersze broszury i dyskusje polityczne. Raz trafiwszy na biurko jednego szlachcica, były odpisywane w całości lub we fragmentach, były posyłane dalej, czasem powielały je drukarnie Krakowa, Warszawy, Lwowa, Torunia czy Wilna.

Publicystyka staropolska była często anonimowa, by się albo nie narazić jakiejś wpływowej grupie politycznej (dworowi królewskiemu, klice hetmana, biskupom), albo by nie pozwolić czytelnikowi skupiać się na autorze, a tym bardziej podkreślać tekst i tezy w nim zawarte.

Lepiej znani w Ameryce niż w Polsce

I w tym morzu luźniejszych broszur, często – owszem – o dość banalnej retoryce, wyrastały czasem traktaty polityczne, które śmiało można by zestawić z pismami Staszica czy Kołłątaja, ale które do dziś leżą w archiwach czasem nawet nieprzetłumaczone z łaciny. Z tych mniej znanych publicystów i pisarzy politycznych, na szczęście jako tako opracowanych, można wymienić

eprasa.pl 4b912c059

Wawrzyńca Goślickiego czy Mateusza Białłozora, przy czym tego pierwszego czytali zarówno William Szekspir, jak i ojcowie założyciele Stanów Zjednoczonych, którzy ponoć z jego traktatu „O senatorze doskonałym" zaczerpnęli kilka inspiracji do amerykańskiej konstytucji. No to jak jest? Amerykanie znają, a my nie znamy?

Ale sięgając jeszcze głębiej, to pisarzy politycznych jest doprawdy jeszcze więcej, a byli to jednocześnie ludzie, których życiorysy pozwoliły im poznać politykę od kuchni, byli bardziej obeznani z mechanizmami rządzenia niż taki powszechnie znany Rousseau! Miał swoje koncepcje Paweł Palczowski, który zachęcał iść swoim rodakom zdobywać Moskwę, był ks. Wojciech Dembołęcki przesadnie plasujący Rzeczpospolitą wśród najważniejszych państw historii świata, był potężny prymas Andrzej Olszowski, byli: Pakosławski, Kryski, Chabielski – lista byłaby długa i niemożliwa do spamiętania. Skoro kilkaset tysięcy obywateli potrafiło czytać i pisać, a połowa z nich pisała przynajmniej do szuflady, czasem wysyłając broszurę do druku lub do sąsiedztwa, tak dawna Polska po prostu tryskała politycznymi koncepcjami, z których rodziły się i te wybitniejsze – a dziś nieznane.

W burzy myśli zrodzona republika

To przydługie wprowadzenie pisarskiej atmosfery trzech stuleci (XVI–XVIII) stało się nieco przypadkowo opisem fundamentu polskiej drogi rozwojowej, zapewne bliskiej czytelnikom „Nowego Państwa", drogi REPUBLIKAŃSKIEJ. Republikanizm szlachecki istniał bowiem właśnie na kanwie tej wymiany zdań, kotłujących się sporów i syntezy różnych wizji państwa, to znaczy tylko wolność słowa i funkcjonowanie niezależnego od władzy przekazu gwarantowało, że szlachta nie była li tylko tłumem sterowanym przez rząd centralny w stolicy czy przez dwór monarszy. Gdy dziś mówimy, że Rzeczpospolita Obojga Narodów była królestwem – dawniej niezupełnie tak na to patrzono. W najlepszym razie mówiono: monarchia mixta, czyli ustrój królewski mieszany z innymi formami (senatem i izbą poselską), ale w tych „pismach ulotnych" o królu w nazwie czasem w ogóle nie wspominano, pisząc wprost o „republice". Król bywał tu *primus inter pares*, „pierwszy wśród równych", a nie jako władca, a szlachta widziała często mankamenty tego ustroju, wbrew dzisiejszym uproszczeniom tamtych czasów.

Głębię i bogactwo myśli republikańskiej widać nie tylko u wielkich autorów, lecz także u tych mniej znanych, którzy dołożyli cegiełkę do debaty publicznej, gdy zaś ci bardziej znani dodali spektakularne zdobienia. Spójrzmy na takiego Stanisława Dunina Karwickiego (1640–1724), którego zapewne czytelnik nie zna i znać nie musi. Jego pismo „De ordinanda Republika" („O potrzebie urządzenia Rzeczpospolitej albo o naprawie defektów...") zostało z łaciny przetłumaczone dopiero 30 lat temu – prawie po 300 latach od napisania! Zanim przyjrzymy się temu niepozornemu dziełku, zobaczmy, jaki życiorys, jakie przygody i doświadczenia państwowe doprowadziły autora do propozycji reformy kraju – zwłaszcza urzędu króla, hetmana i całej izby poselskiej.

Doświadczenie wielkości i upadku

Gdy Karwicki się rodził, Rzeczpospolita miała ponad 900 tys. kilometrów kwadratowych, smakowała pokoju i ogromnego prosperity w handlu zbożem, a król Władysław IV mógł sobie rozważać, czy pokonać Szwecję, Moskwę czy muzułmańskie Imperium Osmańskie. Gdy Karwicki umierał, mógł wspominać, jak jego kraj zniknął z mapy Europy w czasie „potopu" szwedzkiego, pamiętał dwa najazdy szwedzkie, pięć tatarskich, dwa rosyjskie, jeden turecki, jeden węgierski, jedno wielkie powstanie kozackie, dwie królewskie abdykacje, dwie wojny domowe i dwie zagraniczne interwencje w sprawie obsadzenia tronu polskiego. Te 84 lata wystarczyłyby do opisania historii pięciu królestw – a dotknęły jednej Rzeczypospolitej. Karwicki wszędzie był aktywny – walczył i szablą – nawet pod Wiedniem w 1683 roku, i liczydłem – gdy jako egzaktor zbierał podatki w województwie sandomierskim, i piórem – gdy pisał polityczne traktaty, i krzyżem – gdy reformował swój kalwiński kościół w Małopolsce.

Ten życiorys miał też swoje polityczne paradoksy. Otóż Karwicki za monarchią nie przepadał i był czcicielem republiki – w Rzeczypospolitej widział potencjał do jeszcze większego osłabienia roli króla, a zwiększenia znaczenia w sejmu, a w zamian za to okroiłby *liberum veto*. Króla broń Boże nie chciał dziedzicznego, bo poczułby się nie gospodarzem swojej ojczyzny (który wybiera króla), ale jej poddanym – a na to był zbyt pracowity, uczciwy i wykształcony. Zatem był Karwicki gorącym republikaninem, który przez dwadzieścia lat... gorliwie wzmacniał króla! Jak to możliwe? Karwicki widział bowiem, że dla zdrowego państwa zagrożeniem są także magnacka oligarchia i tyrania przedstawicieli zepsutych elit, którzy mając i władzę, i pieniądze, chcą – jak to ujął później Sienkiewicz – rozszarpać ojczyznę jak postaw czerwonego sukna. Ten epizod, w którym Karwicki będąc republikaninem, popiera reformy Jana III Sobieskiego, które miały wzmacniać nie republikę, a monarchię, pokazuje, że nasz pisarz polityczny nie był dogmatykiem, lecz w różnych kontekstach politycznych widział odmienne recepty. Autor „De ordinanda Republica" widział to tak: w trójkącie król–magnaci–szlachta, ci ostatni są za słabi na zmiany, a ci drudzy zbyt zdemoralizowani – trzeba było więc sprzymierzyć się z monarchą, a że był nim akurat człowiek o szerokich horyzontach i nadzwyczajnej charyzmie – Jan Sobieski, to Karwicki na

eprasa.pl 48b912c059

dwie dekady zawiesił swój republikanizm na rzecz wspólnej sprawy. I Karwicki omal nie doczekał tu kolejnej wojny domowej, bo w 1688 roku sam stawił się w Opatowie i zadeklarował gotowość pójścia na wojnę… z litewską dynastią Sapiechów. Tak wtedy wyglądały polityczne emocje.

Traktat na stare lata

Mając 70 lat, Karwicki był świadkiem III wojny północnej (1700–1721), czyli kolejnego wtargnięcia Szwedów do Rzeczpospolitej. Kraj miał dwóch zwalczających się królów (Stanisław Leszczyński i August II), a przez niego przechodziły wojska tureckie, moskiewskie, szwedzkie i saskie, jedynie te polsko-litewskie nic nie znaczyły. A stary szlachcic mieszkał tam, gdzie 300 lat później miało się „wygrywać wybory" – w Końskich, Sielcach, Sieczkowie i Karwicach – spory był jego majątek, choć plądrowany przez kolejne wojska. Był on świadkiem i wielkich momentów dziejowych, i strasznych upadków kraju. Za stary na wojaczkę, zbyt bezradny na ocalenie majątku przed Szwedami czy Sasami, zasiadł do pisania. „Albo królestwo absolutne, albo absolutna republika" – czytamy w jego traktacie. Uważał jednak, że Polacy na silną władzę jednoosobową nigdy się nie zgodzą, więc proponował „absolutną republikę". Jako najgorszy ustrój widział więc rządy arystokracji, oligarchii, magnatów, senatu.

Bał się nadużywania władzy i naruszenia wolności, ale wiedział, że wolność musi mieć swoje ograniczenia, by państwo działało sprawnie. Jak to więc rozwiązać? Najpierw trzeba było zbudować zaufanie do króla, które można było oprzeć na zmianie jego roli. „Władza królewska jest albo gorąca, albo zimna, to znaczy albo cała władza państwa wraz ze wszystkimi prawami majestatu zostaje przekazana królowi […] albo przeciwnie – tworzy się republikę, a władza królewska będzie ściśle ograniczona przez [opisane traktaty]. […]. Kogo się nie boję – temu ufam".

Republika absolutna

Królowi nie podobało się *liberum veto* szlachty, ale szlachcie nie podobało się rozdawnictwo urzędów przez króla. Przed sejmem monarcha miał zawsze kilkadziesiąt stanowisk do rozdania, a każde z nich było mniej lub bardziej prestiżowe, dochodowe, a przede wszystkim – dożywotnie. Król więc budował stronnictwo takim rozdawnictwem, dlatego szlachta – bojąc się takiego przekupstwa – wolała zatrzymać jednomyślność, wierząc, że zawsze ten jeden sprawiedliwy przekonać się synekurą nie da. I tutaj Karwicki proponuje – jeśli król nie będzie rozdawał urzędów, to sejm powinien ograniczyć *liberum veto*. Jednomyślność ma niekiedy obowiązywać dalej, ale przede wszystkim w sprawie podatków i uchwalania nowych praw, ale w przypadku wyboru sędziów (trybunały) czy formowania wojska – już nie. Poza tym jednym „vetem", jak dotychczas, nie można by zrywać całego sejmu, a jedynie blokować poszczególne decyzje. Usprawniłoby to sejm, ale pod jednym warunkiem – król musiałby zrezygnować z rozdawania urzędów, a będzie to robić od tej pory izba poselska. Była to propozycja, która majaczyła w wyobraźni szlachty od lat, ale Karwicki był jej najdobitniejszym przedstawicielem. Właściwie ustrój Rzeczypospolitej zbliżyłby się bardziej do formuły republiki parlamentarnej (tylko że z dożywotnim prezydentem – królem, i wymogami jednomyślności w niektórych sprawach) niż do ówczesnych europejskich państw.

W swoim traktacie Karwicki opowiada jeszcze o innych szczegółach „urządzenia Rzeczpospolitej", badając przy tym uważnie, co w warunkach polskich działało, co nie działało, co było patologią, a co zdało egzamin. Dodatkowo wykazuje się znajomością historii nie tylko własnego kraju, lecz także państw Europy (na przykład analizuje ustrój w Danii), a także rzymskich klasyków piszących o republice.

To dzieło zostało wydane dopiero po jego śmierci i w niewielkiej liczbie zostało rozprowadzone zwłaszcza wśród lokalnych elit, znajdując swoje echa w propozycjach sejmiku opatowskiego dla całego kraju. Traktat pełen erudycji, filozoficznego podejścia do wolności obywatelskiej oraz uwzględniania warunków polskich był odpisywany we fragmentach, cytowany, a po dekadach wznawiany w języku łacińskim w różnych drukarniach, pozostawiając pamiątkę po propaństwowym i wizjonerskim podejściu do reformy Rzeczypospolitej.

Idea niedoceniona

Ale opisujemy tu tylko jeden traktat jednego z wielu pisarzy politycznych. Ileż idei reformatorskich i prawnych pojawiało się w listach, w instrukcjach sejmikowych, diariuszach sejmowych, pismach ulotnych czy obszerniejszych traktatach, ileż nazwisk trzeba by tu wymienić, ilu Chabielskich, Dzieduszyckich, Górnickich, Herburtów, Iwickich, Leszczyńskich, Lubomirskich, Opalińskich, Orzelskich, Orzechowskich, Ossolińskich, Pakosławskich, Przyłuskich, Rzewuskich, Siennickich, Starowolskich, Szczuków, Warszewickich! Mamy też debaty polityczne anonimowe, sejmowe i sejmikowe dyskusje, całą mądrość zbiorową najbarwniejszej szlachty ówczesnej Europy – sarmatów I Rzeczypospolitej. Wciąż to wszystko jest nie do końca znane, niezbadane, bez stworzenia syntezy tej myśli politycznej, która nas tak bardzo ukształtowała, a o której korzeniach tak zapomnieliśmy. ■

eprasa.pl 48b912c059

Ewa Polak-Pałkiewicz

Nowa Polska, kraj znikających krzyży

Dziwne czasy nastały. Przychodzi nam w Polsce po raz kolejny bronić najważniejszego znaku naszej wiary. Po okresie zaborów, po okupacji sowieckiej. Także po doświadczeniach okupacji niemieckiej, podczas której mordowano księży, deptano krzyże.

Dziwne jest także to, że zarówno przeciwnicy krzyża w sferze publicznej, jak i wielu jego „obrońców" powołuje się na tolerancję i prawa człowieka. Co krzyż Chrystusa ma wspólnego z tolerancją i prawami człowieka? Czy stając przy krzyżu bronimy swojego przywiązania do symboli, czy bronimy panowania prawdy, tak w naszym życiu osobistym, jak i w sferze społecznej, w naszym państwie? Bronimy prawa Boga do obecności publicznej Jego symboli w państwie, które od tysiąca lat jest katolickie.

Dziwne także jest, że jedynym jak dotąd człowiekiem, który zabierając głos w tej sprawie, wskazał na uniwersalny i nadprzyrodzony aspekt krzyża w sferze publicznej, był Jarosław Kaczyński. To on podkreślił, że człowiek jest przez Boga stworzony i ma nieśmiertelną duszę. Polscy biskupi wystąpili [do dnia, gdy pisany był ten tekst, 22 maja] nie w obronie wiary, lecz w obronie tolerancji. To jakaś nowa religia?

Bądźmy poważni. Nie obronimy krzyży w ratuszu warszawskim, w Sejmie i na placach naszych miast, gdy będziemy się z naszą wiarą ukrywać za polityczną poprawnością – nawet w tym jej „lepszym", bardziej „tolerancyjnym" wydaniu – czy za neutralnością światopoglądową. Nie ten język, nie ten sens.

Co tak naprawdę stało się 60 lat temu

Trudności w bronieniu krzyża jednoznacznie i w sposób prosty – wszystkiego tego, co on symbolizuje i niesie – pojawiły podczas ostatniego Soboru, gdy wiele prawd naszej wiary usiłowano zdefiniować na nowo. A nade wszystko zaakceptować zniwelowanie różnic między ludzkim a Boskim, między człowiekiem a Bogiem. Część hierarchów Kościoła przyjęła jako zasadę dostosowanie się Kościoła do świata. Paweł VI, który wszystkie te zmiany w samodefiniowaniu się Kościoła i w jego nauczaniu, zwłaszcza w dogmatyce, akceptował i popierał, krótko przed śmiercią, patrząc na skutki soborowych reform, nie zawahał się z wielką goryczą stwierdzić, że były one przejawem „autodestrukcji" Kościoła. Zaś Jan XXIII, którego entuzjazm dla Soboru i optymizm co do aggiornamento początkowo nie miał sobie równych, na łożu śmierci 6 czerwca 1963 roku, świadom, jaka lawina ruszyła, prosił: „Zatrzymać go! Zatrzymać!". Dla wielu biskupów stawało się już wówczas jasne, że Sobór lansuje i uprawomacnia rewolucję w Kościele, wybiera strategię religijnego i filozoficznego modernizmu, który miesza porządek naturalny z nadprzyrodzonym.

Trudno ukryć fakt, że od czasu Soboru coraz rzadziej słyszymy w kościołach naukę o grzechu, o sądzie, o ofierze, o znaczeniu cierpienia, o społecznym panowaniu Jezusa Chrystusa. Słowa dla wielu dziś rażące dosłownością, pełne przesady. Dziś takich słów używać nie wypada… Nie może być zaskoczeniem, że wielu ludzi – przyznających się jeszcze do wiary, uważających się za katolików – zaczyna dziś traktować krzyż jako gadżet religijny, w najlepszym razie rodzaj talizmanu.

Skutki ujawniają się dziś, gdy wobec groźby usuwania krzyży z miejsc publicznych w naszym kraju biskupi zapominają o przywoływaniu głównych elementów doktryny katolickiej. A biskupi są przecież powołani nade wszystko do utwierdzania katolików w wierze. Nie w wierze „w obojętnie co i kogo", jak każe postulat wolności religijnej i tolerancji oraz sankcjonuje „państwo neutralnie światopoglądowe", lecz w wierze w Zbawiciela świata, drugą Osobę Trójcy Świętej. Zwycięstwo Chrystusa na krzyżu spowodowało, że ten w świecie starożytnym znak przekleństwa stał się symbolem chwały Króla Nieba. Nawrócił do Boga i przeobraził cały pogański świat. Mówienie, że mamy prawo do obecności krzyża w biurach i na ścianach urzędów w imię tolerancji, jest kpiną z tego faktu.

Co więc stało się z katolicką wiarą w ostatnich dziesięcioleciach, po Soborze, który miał być „nowym humanizmem", głoszącym zaufanie Kościoła wobec świata, skoro słowa takie jak grzech, prawda (filozoficzna i teologiczna) jedyna prawdziwa – objawiona przez Boga – religia oraz społeczne panowanie Chrystusa – zostały wyklęte? Nie pojawiają się w języku publicznym, jakby prawdy, które wyrażają, były niebezpieczne albo „nieaktualne"… Coraz rzadziej goszczą w kazaniach. Zastępuje je pseudoreligijna nowomowa. (Na szczęście w Polsce mamy wciąż grupę wspaniałych kaznodziejów.) Zastępuje je nadużywane słowo miłość. Mówi się nam, że mamy być jako katolicy mili, otwarci, tolerancyjni, uśmiechnięci; mamy być „fajnokatolikami" w „fajnokatolickim" Kościele, gdzie się radośnie śpiewa i tańczy, bo czasy inkwizycji i stosów przeminęły! Teraz mamy się bratać ze wszystkimi, jednoczyć, bez względu na różnice, słowem nieustannie dialogować i być elastyczni. I broń Boże niczym się nie gorszyć.

Czy nie jest też szyderstwem z krzyża Chrystusa i szczytem hipokryzji nazywanie dostępu do pornografii – wszystkich, łącznie z najmłodszymi – wolnością słowa, wolnością wyboru, czyli w istocie laicką świętością?

Czy kult krzyża, kult ofiary Chrystusa nie został zdeprecjonowany także poprzez kult aktywno-

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 48b912c059

ści, sukcesu i postępu, a sam krzyż nie stał się jedynie wspomnieniem czegoś minionego, dalekiego od rzeczy, którymi powinniśmy żyć na co dzień, czymś sentymentalnym, przy czym można się jedynie wzruszyć i popłakać, w rodzaju rodzinnych pamiątek?

Czyż owocem Soboru jest też huczne obchodzenie – przy udziale hierarchów Kościoła – świąt niekatolickich, a nawet niechrześcijańskich? W ten sposób potwierdza się główną tezę liberalizmu, że wiara katolicka to kwestia indywidualnego sumienia, wolnego wyboru, nie ma co się napinać, obnosić z nią, bronić ani jej propagować.

Humanizm zamiast krzyża

Elementy doktryny katolickiej, które zostały w wyniku soborowej rewolucji usunięte z liturgii i zdeprecjonowane w nauczaniu Kościoła lub traktowane jako mniej istotne, to rzeczy ostateczne: niebo, piekło, sąd Boży, gniew Boży, miłosierdzie sprzymierzone ze sprawiedliwością Boga, doczesne i wieczne kary za grzech, konieczność czynienia pokuty, czyściec, modlitwa za dusze w czyśćcu, Kościół wojujący, Królestwo Chrystusa na ziemi, obcowanie świętych i zasługi świętych, nawrócenie innowierców. Podstawowe prawdy wiary zostają spychane w cień, pomijane, uznawane za „niezrozumiale surowe" albo kompletnie nieadekwatne do wymogów nowoczesnego życia, którego warunkiem jest optymizm, aktywność i postęp. A jednak Kościół przez 2 tys. lat właśnie uparcie głosił te niemodne prawdy, z całą niewzruszoną konsekwencją i powagą oraz doprecyzowywał te pojęcia, formułując kolejne dogmaty wiary.

Ale to nie koniec zmian. W myśl posoborowej koncepcji kapłaństwa kapłan jest przewodniczącym zgromadzenia wiernych, Kościół ich wspólnotą. Kapłan składający ofiarę Mszy świętej z całą pewnością nie jest już zatem ofiarnikiem, „drugim Chrystusem", tak jak był zawsze określany przez Kościół, „osobiście stojącym w miejscu Boga, który stał się człowiekiem, i reprezentującym Go na ziemi. […] Nowa Msza […] będąc posiłkiem, potrzebuje przewodniczącego – podczas gdy tradycyjna Msza, będąc ofiarą, potrzebuje kapłana do jej złożenia" (ks. Peter Scott). Księża swoim sposobem życia, zachowaniem, strojem coraz bardziej upodobniają się do świeckich – w Polsce na szczęście ma to miejsce zdecydowanie rzadziej niż gdzie indziej. Czy może być inaczej? Sobór służbę Bogu zrównał ze służbą człowiekowi. „Krzyż, dzięki któremu darzymy miłością swą własną duszę, posiadając równocześnie prawdziwą, nadprzyrodzoną miłość bliźniego, zastąpiony został humanizmem".

Nie jest tajemnicą, że wiele wspólnot zakonnych po Soborze za swój cel obrało służbę człowiekowi w kategoriach czysto materialnych, humanitarnych (nakarmić, wyedukować, wyleczyć, zapewnić dostęp do wody i przyzwoite warunki zamieszkania…). Indywidualizm, samorządność, aktywizm zastąpiły życie wspólnotowe, kontemplacyjne…

Jesteśmy „wspólnotą", bo jesteśmy „różnorodni"

Stąd coraz bardziej niezrozumiały, zawiły i dwuznaczny język wielu hierarchów, gdy publicznie wypowiadają się w sprawach wiary. Zabierając głos po tym, jak zapadł wyrok na krzyże w postaci rozporządzenia prezydenta Warszawy, biskupi bronili „tolerancji", praw człowieka, „różnorodności", „wspólnoty ludzi" i tego, by w ramach tych wspólnot „ludzie, którzy mają jakąś własną tożsamość", mogli się „ze sobą w tych różnych tożsamościach spotkać", jak próbował wyjaśniać metropolita łódzki kard. Grzegorz Ryś. Powołał się on przy tym na przykład Anglii: „[…] neutralność religijna w modelu brytyjskim polega na tym, że państwo finansuje wszystkie szkoły państwowe i prywatne, w tym także prywatne wyznaniowe, czyli: katolickie, anglikańskie, a jeśli są, to również muzułmańskie oraz każdego innego wyznania czy religii". I dodał: „Neutralność polega na wspieraniu każdego. Tak się buduje wspólnota między ludźmi". Gdy hierarcha Kościoła katolickiego broni krzyża, powołując się na neutralność światopoglądową, brzmi to kuriozalne. „[…] neutralność, która domaga się tego, żeby każdy wyzerował się ze swoich przekonań i poglądów, nie buduje wspólnoty międzyludzkiej […] Ufam, że Duch Święty prowadzi nas do zupełnie innego doświadczenia wspólnoty" – zaznaczył, dodając, że „wspólnota jest tam, gdzie jest różnorodność i gdzie każdy w tej różnorodności jest szanowany. Nikt nie jest tym bardziej zainteresowany niż sam Kościół, który głosi prawdę o wolności religii, sumienia i wyznania" – powiedział (naturalnie, nie zaznaczając przy tym, że głosi te prawdy dopiero od 60 lat, a wcześniej je zdecydowanie zwalczał).

Metropolita warszawski kard. Kazimierz Nycz zwrócił z kolei uwagę, że „były już państwa, które próbowały dokonać absolutnego wyzerowania, natomiast – jak stwierdził – do niczego dobrego to nie doprowadziło". Dodał, że „Pluralizm, który uznajemy – każe szanować każdego, wszystkie

eprasa.pl 48b912c059

grupy społeczne ze swoimi poglądami, zwyczajami, także znakami religijnymi".

Rzecznik Archidiecezji Warszawskiej w wydanym oświadczeniu przestrzegał przed zaostrzaniem „niszczącej dialog polaryzacji", w sytuacji międzynarodowej, gdy „potrzeba konsolidacji społeczeństwa i budowania jedności ponad podziałami, a przede wszystkim podejmowania pilnych, kluczowych dla naszego bezpieczeństwa decyzji". Podkreślał, że „neutralność religijna nie może prowadzić do dyskryminacji osób wierzących, których prawa gwarantuje Konstytucja RP".

Jarosław Kaczyński nie używa tego dziwacznego języka. Nie próbuje ukrywać, że decyzja Rafała Trzaskowskiego to rozpętanie „wojny religijnej" i że będzie nam ona towarzyszyć, „póki oni będą rządzić". „Ta opcja europejska jest właśnie taka: zniszczyć religię, zniszczyć to, w co ludzie wierzą, że są czymś więcej niż tylko *homo sapiens*, że są ludźmi, którzy mają duszę, że są ludźmi, którzy zostali stworzeni na obraz i podobieństwo Boga [...]. Że są ważni i – jeśli chodzi o to, co najważniejsze, co w naszym wnętrzu, w naszych sercach, duszach – nieśmiertelni" (wypowiedź prezesa Prawa i Sprawiedliwości w Dąbrowie Białostockiej).

▶ Powtórka z rewolucji

Nie możemy wykręcać się, że nie wiemy, o co tak naprawdę autorom „nowego ładu" w Polsce, w tym prezydentowi Warszawy, chodzi. Rewolucje były opisywane wiele razy. Wysyp tekstów na ich temat pojawiał się jeszcze w drugim obiegu w latach 70. i 80. Wszystko setki razy przywoływane: rewolucja zamienia znaczenia słów, kłamstwo staje się prawdą, zbrodnia sprawiedliwością, niewola wolnością, lud – Bogiem. Rewolucja likwiduje własność prywatną, odbiera poczucie bezpieczeństwa rodzinom, prześladuje Kościół. Rewolucja z nieletnich robi swoich żołnierzy (dzisiejsi młodociani aktywiści ekologiczni to dawni komsomolcy). Rewolucja pożera własne dzieci, każdy z jej szeregów posądzany o nielojalność staje się jej ofiarą... Polacy czytający „bibułę", nie mieli wątpliwości.

Tylko jedno nam umknęło: Wszystko, co nosiło znamiona niemoralności, zła i brudu, zaczęło być w Polsce postkomunistycznej gorliwie usprawiedliwiane przez liberałów, także liberalnych katolików, gdy tylko zajęli odpowiednie miejsca w polityce i mediach: szerzenie kłamstw, demoralizujące, obsceniczne spektakle i wystawy... Bo przecież „jesteśmy państwem neutralnym światopoglądowo", bo „różnorodność" jest cenna! Każdy mógł robić co chce, mówić co chce... Kłamstwo i deprawacja szerzyły się bez ograniczeń. Państwo liberalne, neutralne światopoglądowo, Polska lat 90., w dużej mierze też początku XXI wieku – choć w przekonaniu wielu Polaków wciąż katolicka, chrześcijańska – okazała się wobec kolejnej, liberalnej tym razem, rewolucji całkowicie bezbronna. Dziś jakoś dziwnie zniknęły parady równości, już są niepotrzebne... Tę lekcję powinniśmy zapamiętać.

▶ Wojna domowa w białych rękawiczkach, czyli kłamstwo upudrowane

„Wielka Rewolucja Francuska nie była żywiołowym buntem mas. Jej przywódcy byli ludźmi wykształconymi. Na ich myśleniu odcisnął piętno utopijny mit o pierwotnie dobrej i całkowicie plastycznej naturze człowieka" – pisał Jacek Trznadel.

W Pałacu Królewskim w Łazienkach – siedzibie ostatniego króla Polski, który zdradził ojczyznę, wchodząc w rozległe związki z Rosją, za obietnice protektoratu carycy nad swoją osobą i krajem – pojawiło się wiosną 2010 roku wielu profesorów i artystów, prominentnych postaci polityki i kultury. Można by rzec: śmietanka. Spotkanie było uroczyste, eleganckie i wytworne. Był to hołd osobistości deklarujących poparcie dla kandydata PO na prezydenta po śmierci Lecha Kaczyńskiego, złożony Donaldowi Tuskowi. Jedna z tych osobistości ogłosiła wówczas „wojnę domową". Wzięto to rzecz jasna za dobry żart, przenośnię, *licentia poetica*. Ale miejsce i czas spotkania – krótko po śmierci prezydenta i najważniejszych osób w państwie – były wymowne. Podobnie jak główne hasło ówczesnego kandydata PO: „Zgoda buduje".

Ponad 200 lat temu sale Pałacu na Wodzie także zaludniali wyfrakowani i przypudrowani, mówiący staranną francuszczyzną panowie i panie. Ozdobą towarzyskich rautów były spektakle i koncerty. Być może ci reprezentanci beau monde nie zauważyli nawet, że poklepując rozchwianego intelektualnie i moralnie króla, prawiąc mu komplementy i opowiadając anegdoty, sami gotowi już do zdrady, wprowadzają do Polski obcą cywilizację.

Okoliczności katastrofy pod Smoleńskiem nie wpłynęły na postawę rządzących po 10 kwietnia 2010 roku wobec wschodniego sąsiada. Okazali wobec Rosji skrajną uległość. Bale i teatry w Łazienkach oraz słaby, pozbawiony wiary, uległy wobec Rosji władca – oraz spotkanie w Pałacu na Wodzie „najwybitniejszych ludzi kultury" jako przybocznych ówczesnego premiera – te obrazy nie mogą się na siebie nie nakładać, tworzą jeden obraz. Profesorowie i artyści milczeli zgodnie, gdy oddane zostało Rosji śledztwo w sprawie Smoleń-

eprasa.pl 48b912c059

ska. Rodziny ofiar bezskutecznie upominały się, by to Polska, nie Rosja kształtowała naszą wiedzę o tym, co się tam stało. Dlaczego zginął prezydent, generalicja, senatorowie? Dlaczego państwu „odcięto głowę"? Jeżeli zacznie się rozmawiać o przyczynach katastrofy, to nieuchronnie trzeba będzie mówić o polskiej racji stanu.

A także o historii. I o prawdzie, która nie istnieje, gdy z historii wypreparuje się kategorie moralne. Zło i dobro są realnością. Tak jak istnieje grzech, piekło i niebo. Ale o tym „ludzie wykształceni", „ludzie kulturalni" dotknięci ślepotą czasów oświecenia, czasu triumfu rewolucyjnej świadomości nie zwykli rozmawiać.

Czym jest państwo

Takie „rządy", taka koncepcja władzy, która abstrahuje od kategorii dobra i zła, nie jest jednak możliwa do utrzymania. Chyba że posłuży się na dłuższą metę terrorem. Potwierdza to cała historia.

Jest w Polsce wielu ludzi, którzy potrafią posługiwać się dobrą polszczyzną i normalnie myśleć, którzy rozumieją znaczenie słów. Którzy czytają książki. Tak jak po rewolucji we Francji w pierwszych dekadach XIX wieku, gdy wydawało się, że kraj stał się definitywnie duchową pustynią, ziemią jałową. I nagle znalazło się tak wielu światłych, wykształconych ludzi – także intelektualistów – którzy, wzorem François-René de Chateaubrianda (autora „Geniuszu chrześcijaństwa", książki, która po zbrodniach i zniszczeniach rewolucji przywróciła wielu Francuzom chrześcijańskie sumienie), stanęli odważnie w obronie prawdy. Wielu wróciło wtedy z emigracji. Powróciły krzyże, odbudowano zdewastowane ołtarze w katedrach, otwarto splądrowane i pozbawione dzieł sztuki kościoły, wyremontowano królewskie sarkofagi, pochowano zbezczeszczone zwłoki…

Dzięki coraz śmielszym inicjatywom i decyzjom nowej władzy w Polsce wielu rodaków odzyskuje dziś jasny pogląd na rzeczywistość i trzeźwe myślenie. Rozpoznaje prawidłową treść pojęć, takich jak państwo, prawo, władza. Zawłaszczonych i zniekształcanych przez liberałów i neomarksistów przez wiele dziesiątków lat.

Gdyby nie popisy cynizmu, stawianie na głowie porządku prawnego, próba zmiany ustroju, zastraszanie polityków opozycji i społeczeństwa, walka z religią katolicką – czyli faktyczna próba zniszczenia państwa – nie potrafilibyśmy najprawdopodobniej w pełni zrozumieć, co się w Europie wydarzyło w ciągu ostatnich 250 lat. Bo tu przeszkadza nie tylko Polska, lecz także państwo jako takie. Państwo, które nie jest tworem „umowy społecznej", jak chciał Rousseau, ale jest bytem naturalnym.

Państwo jest instytucją naturalną – i służyć ma nie tylko dobrostanowi obywateli, ich bezpieczeństwu i temu, co nazywamy demokracją. Ma także cele ważniejsze, utrzymuje tożsamość, przywraca pamięć i – o ile nie staje się do cna „neutralne światopoglądowo", o ile dba, by Dekalog był przestrzegany – pomaga rozróżnić dobro i zło. Nie pamiętalibyśmy o tym, gdyby nie dzisiejsza koalicja, która chciałaby państwa jako tworu chroniącego interesy oligarchii, państw sąsiednich oraz narzędzia represji wobec pozostałych.

Potrzeba rozróżnień

Dziś nade wszystko trzeba pilnować ścisłości myślenia, prawideł logicznego rozumowania i wskazywać na rozróżnienia – „począwszy od pierwszego rozróżnienia między Bogiem a człowiekiem, oraz wszystkich innych, które z tego wynikają" (ks. Dawid Pagliarani). Rolą Kościoła i papieża zawsze było szerzenie prawdy, a zatem zwalczanie błędu. Tylko w ten sposób można przyczynić się do „odbudowania porządku zburzonego przez grzech – oraz niszczonego na przestrzeni wieków przez rewolucje. Na tym polega misja Kościoła katolickiego". Moralność jest owocem dogmatów wiary.

W Polsce sprzeciw wobec traktowania społeczeństwa jako towaru na giełdzie czy bezwładnej masy, którą można popychać w dowolną stroną, jest wyraźny. Potrafimy bronić uwięzionych bezprawnie posłów, solidaryzujemy się z rolnikami przed odebraniem im możliwości wykonywania zawodu. Uczymy się bronić szkół przed uczynieniem z nich ideologicznego młota na wychowanków. Upominamy się – w wyborach samorządowych – o podstawowe dla każdej społeczności prawa i dobra cywilizacyjne.

Czasem jednak umyka fakt, że jednym z najważniejszych celów rewolucji jest odbieranie znaczenia podstawowym pojęciom. Zawłaszczenie słów, przeinaczenie ich sensu, pozbawienie ludzi narzędzia dla myśli, przed czym tak przestrzegał Orwell, to operacja strategiczna.

Ślepota intelektualna – jak podkreśla ks. Dawid Pagliarani – jest dziś niezwykle rozprzestrzeniona. Jednym z jej symptomów jest nazywanie przestarzałymi prawd, które głosił zawsze Kościół. Niestety czynią to niejednokrotnie także sami duchowni.

„Zgoda buduje"

Gdyby Polska miała stać się krajem znikających krzyży, zgodnie z najnowszą wersją rewolucji, to

eprasa.pl 48b912c059

trzeba przypomnieć, że „koalicja uśmiechu" świadomie nawiązuje w ten sposób do rewolucji październikowej i francuskiej (zwanej „wielką"). Już na początku nowych rządów z różnych miejsc i instytucji w Polsce zaczęły znikać krzyże. Zabiera się je z reguły pod osłoną nocy. Przypomina to czas po 10 kwietnia 2010 roku, znikały wtedy nocą liczne krzyże przy drogach. Tłumaczono, że przeszkadzają kierowcom.

„Na francuskiej prowincji i w Paryżu, między innymi [...] na Place de la Revolution (dzisiaj Place de la Concorde [czyli Zgody – przyp. E.P.P.] spadło ponad piętnaście tysięcy głów pod ciosami ostrza gilotyn. Dokonywano egzekucji pod iluzorycznymi często oskarżeniami o wyznawanie poglądów kontrrewolucyjnych, pod koniec wielkiego terroru nawet bez formalnego prawa do obrony" – przypomina Jacek Trznadel we wstępie do „Kłamstwa Bastylii" Andrzeja M. Ciska.

Co budowała „zgoda" z wyborczego hasła Platformy? Była kryptonimem rewolucyjnego szyderstwa, zwykłą kpiną.

„Wspólną cechą obu rewolucji [francuskiej i bolszewickiej – przyp. E.P.P.] była ich zaciekła nienawiść do Kościoła i chłopstwa" – pisze w swojej książce o rewolucji francuskiej Andrzej M. Cisek. „Przywódcom rewolucji Kościół nie przeszkadza jako instytucja religijna, lecz jako dobrze zorganizowana siła polityczna o dużym autorytecie. Dlatego Kościół staje się zawsze pierwszą ofiarą rewolucji. Żadna rewolucja, jak dotąd, nie dała rady zniszczyć Kościoła. Mimo wielkich strat, Kościół pozostawał wciąż siłą zdolną do skutecznego działania. Nierzadko po okresie prześladowań odradzał się silniejszy, co miało miejsce na przykład w Meksyku".

Nie gasząc ducha walki

Polska została dziś wytypowana, by stać się szczególnym polem doświadczalnym. W naszym kraju prowadzony jest eksperyment zniszczenia państwa, które jeszcze w jakiejś mierze opierało się przez ostatnie 100 lat (poza czasami PRL- u) na fundamencie prawd i zasad wywodzących się z chrześcijaństwa – by wtopić je w chimeryczną strukturę złożoną z dawnych państw narodowych, o totalitarnym ustroju i neomarksistowskiej ideologii, podporządkowaną Niemcom i Rosji.

Wódz rewolucji francuskiej Maksymilian Robespierre – uczeń J.J. Rousseau – za swoim mistrzem nazywał politykę „wojną ludzkości przeciwko swym nieprzyjaciołom". J.J. Sartre definiował politykę jako „wojnę ludzkości przeciwko złu". Czy nie stąd pochodzą także inspiracje przywódców formacji, która na czele państwa polskiego widzi D. Tuska? Rewolucja wybiera zawsze narzędzie fizycznego eliminowania „zła".

Wracając do dziwacznej, pełnej ekwilibrystyki słownej obrony krzyża pod hasłami tolerancji i wolności religijnej. Jak trafnie zauważył jeden z wiernych tradycji Kościoła biskupów: „W sferze polityki katolicy liberalni dostrzegają w zasadach 1789 roku wartości chrześcijańskie, rzecz jasna nieco wyuzdane, ale koniec końców te nowoczesne ideały po odpowiednim ich oczyszczeniu mogą być przyswojone przez Kościół: wolność, równość, braterstwo, demokracja (jako ideologia) i pluralizm. [...] Czego chcecie? – mówią liberalni katolicy. – Nie można przecież w nieskończoność sprzeciwiać się ideom swoich czasów; nie można nieustannie wiosłować pod prąd, pokazywać się jako reakcjoniści i wstecznicy. Antagonizm między Kościołem a duchem liberalnym, laickim i bezbożnym nie jest już pożądany...". To przedsięwzięcie, dodaje autor tych słów, gasi ducha walki za wiarę, oddala nas od prawdy, przypieczętowuje niejako wymyśloną tezę, że świat ludzi nie może należeć do Chrystusa.

W średniowieczu nie było mediów katolickich, nie było konferencji, rekolekcji, dostępnych na każdym kroku książek, a ludzie mieli wiarę. Prostą i mocną. Wznosili katedry; miasta pełne były bractw kościelnych, dzięki niebywale rozwiniętej dobroczynności nędza, kalectwo, samotność nie stawały się wyrokiem. Ludzie czcili krzyż, potrafili pokutować i walczyć. Wiedzieli, że ich życie jest krótkie, a ostatnie słowo należy do Boga.

Warto zadać sobie pytanie, kim bylibyśmy jako ludzie, jako Polacy, jako chrześcijanie, gdybyśmy nie obronili krzyża, gdybyśmy pozwolili na zdejmowanie go ze ścian. Albo „bronili" go nie w imię prawdy, a w imię tolerancji. Rządząca dziś w Polsce koalicja otwiera nam oczy na to wszystko i przypomina – niechcący i wbrew sobie – wydarzenia z roku 2010 oraz wszystkie historyczne rewolucje. Koalicja, która usiłuje rządzić, kierując się zasadami, które są przeciwieństwem zasad moralnych – dokładnie à rebours – prawu, sprawiedliwości, wolności i zdrowemu rozsądkowi.

Jak pisał Charles Louis de Montesquieu: „Każdy obywatel ma obowiązek umrzeć za ojczyznę, ale nikt nie ma obowiązku kłamać dla niej". Nie udawajmy, że prawda jest problematyczna albo są „różne prawdy". Uważajmy na słowa. Walczmy o prawdę wypowiadanych słów. W ten sposób obronimy krzyż. ■

eprasa.pl 48b912c059

Dawid Wildstein

Franciszek

– ostateczny blamaż „Kościoła otwartego”

eprasa.pl 48b912c059

Jedno trzeba przyznać papieżowi Franciszkowi. W Polsce łączy on ponad podziałami politycznymi. Poza nielicznymi wyjątkami, jego prorosyjskie wypowiedzi są krytykowane przez najróżniejsze środowiska, od katolickich tradycjonalistów po lewicę. Jednymi z największych oponentów Franciszka okazali się też kapłani i publicyści stojący po stronie tzw. Kościoła otwartego i postępowego. Ludzie tacy jak Kramer, Sowa, Mądel czy Terlikowski wręcz prześcigają się w pełnych oburzenia odezwach, w których piętnują prorosyjskość papieża. Dowcip jednak polega na tym, że Franciszek jest idealnym reprezentantem i „produktem" wspomnianego „Kościoła otwartego".

FOT. AA/PAP/ABACA

Najbardziej przerażającym elementem kolejnych wypowiedzi papieża Franciszka, dotyczących inwazji Rosji na Ukrainę, jest to, że układają się one w spójną całość. Trudno tu mówić o pomyłce, wyrwaniu z kontekstu czy manipulacji. Akurat w sprawach geopolitycznych papież okazuje się być zaskakująco konsekwentny, dużo bardziej niż w kwestii doktryny chrześcijańskiej.

Chrześcijaństwo usprawiedliwiające zbrodnie

Z perspektywy Polski wypowiedzi głowy Kościoła jawią się jako coś obrzydliwego. Z jednej strony mamy do czynienia ze stwierdzeniami czysto politycznymi, o charakterze wprost prorosyjskim, wspierającym Putina, takimi jak komentarze po śmierci córki Dugina, zachwyty nad rosyjską myślą imperialną czy wyjątkowo durne uwagi o NATO. Z drugiej strony, papież robi coś jeszcze gorszego. Głowa Kościoła usiłuje stworzyć symetrię między agresorem i ofiarą, używając do tego chrześcijaństwa. Instrumentalizuje on więc, w celach czysto politycznych, wiarę, jednocześnie wypłukując ją z treści, interpretując najważniejsze prawdy tej religii w sposób nieprawdopodobnie wręcz powierzchowny. Regularnie więc możemy od Franciszka usłyszeć o tym, że nikt nie jest bez winy i grzechu, że każdy jest ofiarą, że powinniśmy opłakiwać wszystkich skrzywdzonych. Poza tym nie wolno nam zapominać, że nie można złem odpowiadać na zło, że zawsze należy nadstawić drugi policzek, być gotowym wybaczyć, etc. Co ciekawe, owe „chrześcijańskie mądrości" kierowane są głównie do Ukraińców.

Niezależnie jednak od tego, jak bardzo postawa ta wydaje się skandaliczna z naszej perspektywy, sprawa wygląda zupełnie inaczej, jeśli spojrzymy na to, skąd wywodzi się papież. Czy nam się to podoba czy nie, w Ameryce Łacińskiej są to nie tylko tezy obecne w tamtejszej debacie publicznej, są to wręcz polityczne prawdy wiary środowisk progresywnych, lewicowych. Patrząc na obecne działania Franciszka, okazuje się on być typowym przykładem tamtejszej lewicy chrześcijańskiej, ichniejszego „Kościoła otwartego". Papież po prostu powtarza polityczne „prawdy objawione" narracji, która determinuje kształt tego środowiska, jednocześnie też jest powszechna w tamtejszych liberalnych bądź lewicowych ośrodkach politycznych. Mamy więc do czynienia z próbą skrajnej liberalizacji Kościoła w wymiarze obyczajowym, zaś w wymiarze geopolitycznym najważniejsza staje się „perspektywa antyimperialistyczna", ale taka, w której istnieje tylko jedno imperium – USA. Ten specyficzny

eprasa.pl 4cb912c059

„antyimperializm" cechuje iście manichejska wizja świata, w której gdziekolwiek Stany mają swoje interesy, tam musi dziać się jakieś zło, a każdy, kto się im sprzeciwia, jest, ex definitione, dobry. Patrząc na wypowiedzi Franciszka, naprawdę można odnieść wrażenie, że jest on święcie przekonany, iż, w najłagodniejszej dla niego interpretacji, to Rosja została sprowokowana przez USA, zaś jakiekolwiek zwycięstwo Stanów jest złem, do którego nie można dopuścić. To poglądy typowe dla lewicy zachodniej, zaś w Ameryce Południowej są one wręcz dominujące (na co zresztą USA sobie w części faktycznie zasłużyło).

Imitacja i zacofanie

Żeby jednak w pełni zrozumieć postawę Franciszka, trzeba wpierw zwrócić uwagę na to, czym sam w sobie jest „Kościół otwarty". Jakie są podstawowe paradygmaty tego zjawiska, w jaki sposób tworzy on swój obraz i legitymizuje swoje działania. „Kościół otwarty" sam siebie przedstawia, jak sama nazwa wskazuje, jako reakcję na „Kościół zamknięty". Widzi siebie jako jego przeciwieństwo, uważa, że jest zdolny zakwestionować kościelną tradycję i jej zabobony. Jest to więc Kościół otwarty na świat, na obce mu środowiska intelektualne i obecne w nich prądy intelektualne. W teorii może brzmieć to atrakcyjnie, niemniej w praktyce kończy się to prawie zawsze tym samym – zamiast rozmowy mamy kapitulację przed światem. Fundamentalny problem tkwi bowiem już w samym rdzeniu tożsamości tego „nowego Kościoła", która, mimo przymiotnika otwarty, jest już dystynktywna, normatywna i elitarystyczna. Jej fundamentem jest chęć odróżnienia się od tego, co wsteczne i złe.

Niemniej ta differentia specifica, która tak naprawdę jest legitymizacją jego istnienia, nie może, co oczywiste, pochodzić z samego Kościoła, od którego ten nowy byt chce się odróżnić. Tym samym jest zapośredniczona z zewnątrz, poprzez wprowadzenie w swój obręb narracji obcych elementów (czasem na zasadzie dyskursywnej, chociaż, jak widać, najczęściej jest to prostackie wchłonięcie, bezrefleksyjne). Konsekwencje tego są bardzo poważne.

Po pierwsze, cała elitarność reprezentantów „Kościoła otwartego" zostaje uzależniona od akceptacji świeckich środowisk, tylko one mogą ją legitymizować. To dopiero ich poparcie „udowadnia" to, że owa „otwarta" część Kościoła, mimo przynależności do tej zmurszałej struktury, zdołała jednak właściwie zrozumieć zewnętrzne względem tradycji religijnej narracje. Nietrudno się domyślić, czym się to kończy. W tempie błyskawicznym następuje nie tyle sojusz ołtarza z polityką, ile pełna podległość tego pierwszego wobec tej drugiej.

Po drugie, z konieczności, „Kościół otwarty" okazuje się być i imitacyjny, i zadziwiająco zacofany. Nie bardzo ma wybór. Skoro afirmuje dane idee poprzez zapośredniczenie, nie może nadążać za aktualnymi trendami (a tym bardziej ich współtworzyć), może je tylko powtarzać. Jest to szczególnie widoczne w państwach, gdzie „Kościół otwarty" orientuje się wokół akceptacji ze strony środowisk, które same swoją pozycję legitymizują na zasadzie postkolonialnej, czyli także zapośredniczają idee i tożsamość w silniejszych centrach kulturowych, w naśladowaniu ich upatrując źródła swojej „elitarności". Idealnym przykładem jest tu Polska. Problemem – podajmy tu przykład nowo nawróconego na PO i lewicę Terlikowskiego – nie jest tylko to, że plecie on bezmyślnie to, czego oczekują od niego jego nowi patroni. Po prostu skoro nawet nasze środowiska „postępowe" i „liberalne" nadganiają zachodnie nowinki po kilku latach, to i Terlikowski, z konieczności, dzieli się z nami mądrościami, które w reszcie Europy bywają „przeterminowane" nawet o kilkanaście lat.

Setki „Kościołów otwartych"

Żeby w pełni zrozumieć kondycję „Kościoła otwartego", musimy zrozumieć jeszcze dwa aspekty determinujące jego postać. Dominujące w środowiskach świeckich salony intelektualne i wyznawane przez nie „myśli", mimo że roszczą sobie pretensje do bycia prawdziwymi i ostatecznymi, są skrajnie różne. Są zmienne nie tylko w czasie, w zależności od tego, co akurat modne, lecz także różnią się „geograficznie", w zależności od tego, z jakiego ekosystemu politycznego się wywodzą. Prowadzi to do ciekawego paradoksu, mówiącego wiele o samej tożsamości owego „Kościoła otwartego" – otóż za każdym razem pretendując do bycia właściwą i jedyną odpowiedzią na potrzeby Kościoła w zmieniającym się świecie, jedyną drogą wyrwania go z miazmatów i zabobonów, jednocześnie za każdym razem udziela skrajnie różnych odpowiedzi.

Oczywiście Kościół tradycyjny też zdradza sam siebie dla polityki, potrafi sprzedać własne idee dla władzy, ale jest w nim też coś, co go ogranicza w tej patologii. Jest to sama treść Ewangelii oraz wielowiekowa tradycja właśnie, której nie może on po prostu odrzucić. Tutaj zaś znacząca część tożsamości okazuje się być pustką, która wciąż na nowo jest wypełniania. W zależności więc od aktualnie panującej mody intelektualnej na salonach lewicowo-liberalnych, różnić się będzie też „Kościół otwarty". Dlatego w Polsce będą to przeterminowane zachodnie mądrości sprzed

eprasa.pl 48b912c059

dekady, w Argentynie będzie on przesiąknięty miazmatami rodem jeszcze z propagandy ZSRS i szaleńczą nienawiścią do USA, w Anglii skrajny nacisk będzie położony na kwestie tzw. dyskursywności płci, w USA zaś będzie to Black Live Matters oraz LGBT plus dowolne literki i tak dalej, w zależności od tego, na jakim etapie ideologicznej histerii jest dane państwo.

Przyjrzyjmy się więc teraz temu, jak wygląda nasz „ekosystem polityczny". W Polsce pełnoskalowa inwazja Rosji na Ukrainę stworzyła rodzaj konsensusu politycznego. Nie ma, poza częścią Konfederacji, środowiska, które zdecydowało się „niuansować" ten atak, nie mówiąc już o jego poparciu. Widać to zwłaszcza na przykładzie polskiej lewicy (tej ideowej, z okolic Razem, nie Czarzastego), która, porównując z analogicznymi partiami na Zachodzie, okazała się wręcz jastrzębiem antyputinizmu. Sprawa w wypadku środowisk skupionych wokół PO jest bardziej skomplikowana, tutaj mamy do czynienia z pełną hipokryzji grą, niemniej też w warstwie werbalnej przyjęła antyrosyjską postawę. Nic więc dziwnego, że przyssany do tych środowisk polski „Kościół otwarty", który własną tożsamość i poglądy tworzy, kopiując ich narrację, także okazał się przeciwnikiem Kremla i „przyjacielem" Ukrainy. Jednak wynika to nie z jego własnych przekonań, tylko z jego skrajnego braku autonomii.

Raz z Putinem, raz przeciw niemu

Możemy być pewni, że gdyby Tusk i jego media uznały, że odpowiedzią na rosyjską agresję powinna być narracja analogiczna do tej, jaką przyjęli, jeśli chodzi o opis Putina i Rosji, po 10 kwietnia 2010 roku, polscy bohaterowie tego tekstu byliby pierwsi, żeby wypowiadać się tak, jak dziś robi to Franciszek. Co więcej, stosunek polskiego „Kościoła otwartego" wobec Rosji jest tak naprawdę głęboko niespójny, dokładnie tak samo jak środowisk, od których kolejne zastępy Mądli, Kramerów czy Terlikowskich przejmują poglądy. Bowiem tak dla lewicy, jak i dla liberałów ze stajni PO aktualny antyputinizm jest postawą nową. Nawet jeśli, jak w wypadku Razem, jest on zapewne szczery, widać, że, patrząc na całość ich przekonań geopolitycznych, jest on obcym im elementem. Dlatego w każdej, innej niż Ukraina, kwestii geopolityczna, także polska, lewica stoi nadal po stronie Rosji (lub Chin, co w obecnej sytuacji wychodzi na jedno). Jest to naturalny efekt tego, że ona także, chociaż w mniejszym stopniu niż Zachód, jest głęboko przesiąknięta „antyimperializmem" w wersji sowieckiej, wymierzonym tylko w USA. Widać to właściwie w każdej kwestii dotyczącej Ameryki Łacińskiej, Bliskiego Wschodu czy Afryki.

Jednak ta niespójność najmocniej ujawnia się w wypadku kryzysu uchodźczego i ataku hybrydowego na nasze państwo, gdy tak PO, jak i lewica wsparły propagandę Kremla i jego działania wymierzone w Polskę. Równie sprzeczną postawę przyjęli więc wtedy reprezentanci „Kościoła otwartego". Piętnując prorosyjską postawę Franciszka, jednocześnie zachwycali się jego kolejnymi wypowiedziami na temat uchodźców, opiewali, jak entuzjastycznie zareagował Watykan na film Holland i jak stanowczo komentuje „obojętność" Europy na to, co dzieje się na wschodniej granicy UE – nie rozumiejąc, że w wypadku papieża mamy przynajmniej do czynienia ze spójną wizją polityczną.

Co więcej, zauważmy, że wspomniane już zastępy Terlikowskich, Mądli i Kramerów ostatnio są dużo cichsze, jeśli chodzi o granicę. Powód jest oczywisty – środowiska, którym służą, od momentu zwycięstwa PO uznały, że temat wygaszą. Stałe nie są więc poglądy, stała jest tylko potrzeba zaspokajania politycznych potrzeb tych, których nasi „otwarci" i „postępowi" publicyści czy kapłani uznają za swoich „partnerów". Jak więc widać, naszych reprezentantów „Kościoła otwartego" łączy z Franciszkiem ta sama gotowość do przyjmowania politycznej perspektywy środowisk z gruntu obcych Kościołowi i Ewangelii. Jednocześnie jednak, niezależnie od tego, co sądzimy o działalności obecnego papieża, jedno na pewno dzieli – konsekwencja i klasa intelektualna. ■

Cała elitarność reprezentantów „Kościoła otwartego" zostaje uzależniona od akceptacji świeckich środowisk, tylko one mogą ją legitymizować. To dopiero ich poparcie „udowadnia" to, że owa „otwarta" część Kościoła, mimo przynależności do tej zmurszałej struktury, zdołała właściwie zrozumieć zewnętrzne względem tradycji religijnej narracje.

eprasa.pl 48b912c059

Małgorzata Matuszak

SIŁOWNIA DLA UMYSŁU, CZYLI PO CO TA MATMA

Choć w czerwcu odbędzie się jeszcze seria terminów dodatkowych, uznać można, że kolejna edycja egzaminów maturalnych już za nimi. I jak co roku wzbudziła ona mnóstwo emocji i pytań, nie tylko tych odnośnie do poziomu trudności, sposobu oceniania, zakresu obowiązującego materiału, lecz także zasadności samego egzaminu, przynajmniej w formie, jaka obowiązuje obecnie.

eprasa.pl 48b912c059

Wątpliwości, które się pojawiły, dotyczą szczególnie egzaminu z matematyki. Słychać głosy, że nie powinien wyglądać tak, jak wygląda, i nawet że nie powinien być obowiązkowy. Dzisiejsza matura dawno przestała być egzaminem dojrzałości, a stała się przepustką na studia. Jeśli ktoś zatem nie wiąże swej przyszłości z zawodem, w którym znajomość matematyki odgrywa dużą rolę, podważa zasadność przymusu jej zdawania. Czy słusznie?

Matematyka królową nauk

Obowiązkowy egzamin z matematyki wprowadzono, po 25 latach przerwy, w 2010 roku. Przez ten czas można było wybierać drugi, po języku polskim, przedmiot maturalny spośród matematyki, historii i biologii. Ówczesny wiceminister edukacji Zbigniew Marciniak argumentował tę przywracającą obowiązkowość matematyki decyzję w następujący sposób: „Matematyka kształtuje nie tylko umiejętność logicznego myślenia, ale także pomaga w codziennym życiu", dlatego, jego zdaniem, znajomość matematyki jest potrzeba każdemu. Matematyka znów stała się więc na maturze przedmiotem obowiązkowym. Trzeba wspomnieć też o „drugim dnie" w tej sprawie. Polscy uczniowie z lat nieobowiązkowej matury z matematyki zaczęli uzyskiwać coraz gorsze wyniki w badaniach PISA odnośnie do tego przedmiotu, a w Polsce i w Europie zaczynało brakować inżynierów, ministerstwo edukacji zdecydowało więc, że przywrócenie matematyki jako przedmiotu obowiązkowego na maturze poprawi tę niepokojącą sytuację. O przywrócenie obowiązku zdawania matematyki na maturze przez wiele lat zabiegało całe polskie środowisko akademickie, nie tylko przedstawiciele nauk ścisłych. Postulowali to także profesorowie humanistyki, uzasadniając to tym, że humanista musi również umieć dobrze rozumować i analizować, te umiejętności zaś, przynajmniej w jakimś stopniu, sprawdza egzamin podstawowy z matematyki.

W 2019 roku tę obowiązkowość podano w wątpliwość. Naczelna Izba Kontroli zwróciła się do Ministerstwa Edukacji Narodowej o ewentualne zawieszenie egzaminu maturalnego jako obowiązkowego dla wszystkich uczniów, przynajmniej do czasu poprawy skuteczności nauczania tego przedmiotu w szkołach. Taka była bowiem motywacja NIK: słabe wyniki i niska skuteczność nauczania tego przedmiotu w szkołach. MEN nie zgodziło się na ten postulat, matematyka pozostała przedmiotem obowiązkowym na maturze, podobnie jak w większości krajów europejskich. Wydaje się – słusznie. Postulat NIK, według MEN, nie miał żadnego uzasadnienia naukowego, albowiem „wyłączenie, choćby czasowe, egzaminu z matematyki z części obowiązkowej egzaminu maturalnego zniszczyłoby obiektywne i porównywalne w skali kraju narzędzie rekrutacyjne polskich szkół wyższych". Równocześnie wyniki polskich uczniów w rankingu PISA wcale nie są złe. Dlaczego więc jest tak źle, skoro jest tak dobrze? Ministerstwo i rodzice uczniów oskarżają nauczycieli, a nauczyciele – ministerstwo. Błędne koło.

Matematyka w życiu jest potrzebna, bez wątpienia. Analfabetym matematyczny jest dzisiaj równie dużym i dotkliwym problemem, co nieumiejętność wyrażania się w mowie i w piśmie. Przyczyn zapaści matematycznej jest jednak wiele, począwszy od złego nauczania matematyki od najmłodszych klas, poprzez kłopoty kadrowe wśród nauczycieli matematyki, po lenistwo intelektualne i brak systematyczności uczniów. Matematyka jest bowiem jak budowla – nie można budować niczego, jeśli nie postawi się solidnych fundamentów. W przeciwnym razie wszystko, co się buduje, szybko runie.

Krzywdzące stereotypy

Pierwszym i najczęstszym stereotypem, z jakim zderzamy się w argumentacji przeciwko matematyce, jest ten, który dzieli, definiując równocześnie, uczniów – i w ogóle ludzi – jako „humanistów" i „ścisłowców". Funkcjonuje on w dużej mierze po to, by usprawiedliwić brak sukcesów w obszarze matematyki w przypadku pierwszej grupy. Takie „etykietki" jednak bardzo szkodzą, i to obydwu grupom. Jeśli ktoś bowiem usłyszy, że jest „umysłem ścisłym", będzie miał uzasadnienie dla swej na przykład niechęci do napisania wypracowania z języka polskiego, „humanista" zaś nie będzie podejmował próby namysłu nad zadaniem z matematyki, bo przecież „i tak tego nie zrozumie". Co gorsza, sami nauczyciele w ten sposób stygmatyzują uczniów, przy czym ich wypowiedzi na ten temat nierzadko nacechowane są dodatkowo ironią czy politowaniem.

„Etykietowanie" zabija motywację, ogranicza rozwój i zmniejsza poczucie własnej wartości. To nie tyle kwestia naturalnych różnic między ludźmi, innych ich predyspozycji, co podział wprowadzony sztucznie. Owszem, ludzie posiadają ograniczenia i nie osiągną dużej biegłości w przedmiocie, do którego nie są szczególnie uzdolnieni, pamiętajmy jednak, że w tym momencie mamy na względzie osiągnięcie poziomu wiedzy, która umożliwia zdanie matury z matematyki na minimum 30 proc. na poziomie podstawowym. Mówimy o uczniu kończącym szkołę średnią i przystępującym do egzaminu maturalnego dobrowolnie, szkoła bowiem, którą wybrał, kończy się właśnie ta-

FOT. JAN SRODA/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 48b912c059

kim egzaminem. „Etykietki" na tym etapie stosowane są najczęściej jako wymówki, które mają tuszować najczęstszy problem: zaległości sięgające często jeszcze podstawówki i brak systematyczności w nauce matematyki. Nawet korzystanie z korepetycji przez takiego „humanistę" niewiele w tym względzie zmieni, jeśli on sam nie uwierzy w to, że jest w stanie coś zmienić i że naprawdę robi wszystko, by to zmienić. Jedna czy dwie godziny korepetycji w tygodniu nie zastąpią pracy samodzielnej. Owszem, mogą naprowadzić na właściwą ścieżkę, nauczyciel może wytłumaczyć to, czego uczeń nie rozumie, ale wciąż najważniejsze należy do niego: samodzielne myślenie, samodzielny wysiłek, który trzeba włożyć w to, by zrozumieć podstawy matematyki i umieć rozwiązać choćby schematyczne zadania. Bo podstawowa matura z matematyki naprawdę opiera się na pewnych typach zadań. I liczba tych schematycznych zadań jest zaplanowana tak, by 30 proc. można było bez problemu osiągnąć.

Pamiętajmy też, że szkoła to tylko wstęp do „prawdziwego", dorosłego życia, które w dzisiejszych czasach wymaga dużej elastyczności, otwartości i wszechstronności umysłu. Wąskie specjalizacje raczej się już dzisiaj nie sprawdzają, im więc więcej umiejętności nabędzie młody człowiek, tym łatwiej będzie mu się odnaleźć w dorosłym życiu i większą będzie miał szansę na satysfakcjonującą pracę.

Matematyka uczy myślenia

Spotkałam się z takim stwierdzeniem: „Matematyka na maturze to raczej taki test na niebycie debilem, niż matematyka praktyczna". Z tak ostrą oceną jednak się nie zgadzam. Owszem, podstawowa matura z matematyki skupia się na schematach, choć są w arkuszu również zadania trudniejsze. Panuje wręcz powszechne przekonanie, że współczesny, przeciętny uczeń nie chce się uczyć myślenia, rozwiązywania matematycznych problemów, ale właśnie schematów rozwiązywania zadań. Ale czy to jest aż takie złe? Może właśnie dobre, przynajmniej dla tych uczniów, dla których matematyka stanowi duże wyzwanie?

Dobre, bo cała podstawa matematyki opiera się na schematach i to właśnie ich znajomość sprawdza egzamin maturalny. Wiadomo, że są pewne typy zadań, tzw. pewniaki – to ich trzeba się przede wszystkim nauczyć. Maturzysta liczy, że właśnie one na egzaminie się pojawią, i raczej się nie zawiedzie. One wystarczają, by upragnione 30 proc. osiągnąć. W ten sposób jeśli poświęci na przygotowanie do matury czas, który pozwoli mu przyswoić tę minimalną wiedzę, ma pewność, że maturę zda. Wysiłek jednak, który włoży w zrozumienie tych schematów, praca, którą będzie musiał wykonać, z pewnością zaprocentuje. Bo jednak ich na pamięć tak do końca nauczyć się nie da. Trzeba je zrozumieć. Wykazać się jakimś poziomem sprawności i biegłości rachunkowej, by zadanie rozwiązać, włożyć wysiłek, by zrozumieć. Nie ma możliwości nauczenia się matematyki, w szczególności w przypadku osoby, która nie jest szczególnie matematycznie uzdolniona, bez rozwiązywania zadań, wielu zadań. Na tym polega właśnie trening. Rzec można, że matematyka jest jak siłownia dla umysłu.

Złe, bo uczenie się matematyki do matury z tego przedmiotu nie powinno sprowadzać się do nauczenia się schematów rozwiązywania zadań i oczekiwania, że właśnie one znajdą się na arkuszu. Matematyka to coś więcej. Tu chodzi o kreatywność, myślenie, umiejętność twórczego podejścia do problemu, budowania strategii rozwiązania, stawiania hipotez i weryfikowania ich prawdziwości. Tylko wtedy matematyka naprawdę uczy myślenia. Uczenie schematów tej idei przeczy, trzeba to jednak zrozumieć i do tego dojrzeć. Matematyka może być wspaniałą przygodą, świetną zabawą intelektualną. Potrzeba jednak kogoś, kto by do niej zachęcił.

Dlatego matematyka jest potrzebna humanistom – umiejętności, które wykształca, są im niezwykle potrzebne. W tym miejscu nie użyłam już cudzysłowu. Nie chodzi bowiem o kogoś, kto nazwany został humanistą tylko z tego względu, że nie radzi sobie z matematyką, napisał w miarę zgrabne wypracowanie z języka polskiego czy potrafi wyrecytować wiersz. Matematyka uczy logicznego rozumowania, analizy danych i ich interpretacji, koncentracji, wyciągania wniosków, wprowadza porządek i systematyczność w tok myślenia, umiejętności zatem niezbędnych w każdej nauce humanistycznej.

Przyszłość matury

Czy matura powinna być łatwiejsza czy trudniejsza? Tu zdania są podzielone. W tym roku słychać zewsząd, że matury na poziomie rozszerzonym były wyjątkowo trudne. Jednak „rozszerzenia" muszą różnicować, skoro spełniają rolę egzaminów wstępnych na studia. Łatwe egzaminy „spłaszczają" wyniki, co również nie jest korzystne dla zdających. Czy należałoby znieść ten egzamin? Z pewnością nie, może bowiem nie jest to system oceniania najlepszy z możliwych, ale jednak najbardziej obiektywny. Oceny z pewnością nie oddają wiedzy uczniów, z różnych przyczyn. Nie należy również usuwać matematyki z wykazu egzaminów obowiązkowych, choć z pewnością trzeba zmienić sposób nauki tego przedmiotu od najwcześniejszych etapów kształcenia. Jeśli uczniowie będą uczeni matematyki tak, jak uczeni być powinni, wtedy sami będą wiedzieli, „po co im ta matma". ■

eprasa.pl 48b912c059

Marek Kalinowski

Profesor od smutku

Dekadę trwały przygotowania do solowego, debiutanckiego albumu Beth Gibbons – wokalistki triphopowej grupy Portishead. Płyta „Lives Outgrown" wypełniona jest akustycznymi dźwiękami, a jednocześnie nie stroni od eksperymentów. Nowe pieśni Gibbons zachowują jednak ogromną siłę i poruszają do łez.

Brytyjskie zespoły Massive Attack oraz Portishead zapoczątkowały w latach 90. nowy nurt muzyczny nazwany trip hopem. Co to jest trip hop? To rodzaj hip hopu, ale na głębokiej depresji – przekonywali żartownisie. Faktem jest, że w tamtym czasie triphopowa scena, a zwłaszcza Portishead z charyzmatyczną wokalistką Beth Gibbons, na chwilę przyciągnęła uwagę wszystkich młodych słuchaczy – zarówno fanów elektroniki, jak i mocniejszego, gitarowego grania.

Moda na depresyjne sample nie trwała jednak w nieskończoność, a po trzeciej, ostatniej płycie Portishead, Beth Gibbons pojawiała się na scenie bardzo rzadko, unikając też jakiegokolwiek rozgłosu. W duecie z Rustin Manem wydała jeden album „Out Of Season", a potem wzięła udział w znakomitych nagraniach III Symfonii Henryka Góreckiego. Zapewne też dzięki niej utwór polskiego kompozytora, wykonany przez Narodową Orkiestrę Symfoniczną Polskiego Radia pod batutą Krzysztofa Pendereckiego, ponownie trafił do szerszej publiczności na całym świecie.

Beth Gibbons, LIVES OUTGROWN, Domino Recording

Na najnowszym, długo oczekiwanym, solowym debiucie piosenkarka rezygnuje z break beatu i sampli. Od triphopowej rewolucji upłynęło przecież 30 lat! Zmieniły się muzyczne mody, a czas nie ominął też samej artystki. Decyzja, by nagrać album akustyczny, wyzwoliła jednak nowe moce twórcze. Zmiana stylistyki zaowocowała poszukiwaniami zupełnie nowych dźwięków i skłoniła do eksperymentów.

Nagrania powstały w niewielkim gronie. Do Gibbons dołączyli perkusista Talk Talk Lee Harris oraz producent muzyczny i multiinstrumentalista James Ford, znany wcześniej ze współpracy z zespołem Depeche Mode oraz Arctic Monkeys.

Podobno szczególnie inspirujący dla muzyków okazał się dźwięk przypadkowo kopniętego pudełka. Do tradycyjnych instrumentów zaczęły więc dołączać zabawki i przedmioty codziennego użytku, w tym… patelnia do paelli. James Ford przypomniał sobie, jak gra się na flecie, a Harris uzupełnił perkusję opakowaniami, puszkami i skrzyniami. Wygląda na to, że bawili się znakomicie, i przestaje dziwić, że album powstawał dekadę. Warto było jednak czekać. Pod pozornie nieprzystępną, chropowatą warstwą zewnętrzną ukryte są przepiękne piosenki. Tak jest choćby we „Floating On A Moment", które już przy pierwszym odsłuchu pozostawia nas bezbronnych wobec nieuchronnego wzruszenia.

Nowa płyta Gibbons raczej nie przypadłaby do gustu współczesnym, modnym specom od pozytywnej filozofii. Artystka wciąż pozostaje wierna smutnej stronie życia, a z biegiem lat znajduje to przynajmniej uzasadnienie. „Wcześniej miałam możliwość zmiany swojej przyszłości, ale kiedy walczysz ze swoim ciałem, nie możesz zmusić go do zrobienia czegoś, czego nie chce" – przekonuje wokalistka. Artystka nie tylko mierzy się z własnymi ograniczeniami, lecz doświadczyła także straty bliskich osób, co nie pozostało bez wpływu na jej pracę twórczą. Na szczęście płyta zostawia nas z nadzieją, piękną prośbą o miłość w pieśni „Whispering Love". Jakże łatwo zamknąć oczy i wsłuchać się w dobiegające głosy ogrodu, a w rytm muzyki ukołysze nas dźwięk starej huśtawki. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 48b912c059

Piotr Lisiewicz

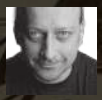

Człowiek szlachetnego serca. Jak Polacy uratowali tysiące Żydów w Związku Sowieckim

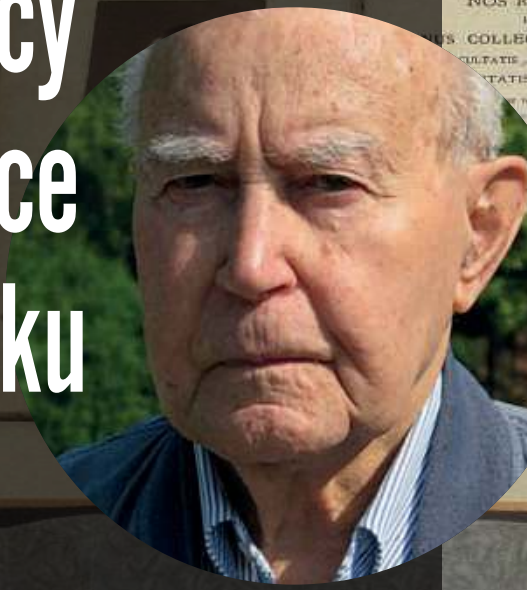

„Wyciągnął do mnie rękę i się przedstawił, mówiąc: »Ze Lwowa jestem i nazywam się Władysław Zachariasiewicz«. Nazwisko to zapamiętam do końca życia" – pisał o nim Samuel Dickson, Żyd z Brooklynu. Zachariasiewicz był po ogłoszeniu amnestii dla Polaków w Związku Sowieckim kierownikiem polskiej placówki w Czelabińsku na Uralu. Dickson ujawnił, w jaki sposób oszukiwał on sowieckie władze, by uratować tysiące jego rodaków: „Aby ich nikt nie poszukiwał podawali nazwisko matki jako swoje, oraz zmieniano daty i miejsce urodzenia. Wielu wróciło w ten sposób do swoich krewnych, a wielu, bardzo wielu uniknęło śmierci, więzienia i łagrów… Delegatura uratowała życie tysiącom Żydów. Wielu z nich na pewno nosi po dziś dzień swoje przybrane nazwisko, które podali w Delegaturze przy rejestracji". NKWD aresztowała wszystkich urzędników Delegatury, a Zachariasiewicz trafił do jednoosobowej celi, gdzie przesłuchiwany był w dzień i w nocy.

eprasa.pl 48b912c059

FOT. WIKIPEDIA(2)

eprasa.pl 48b912c059

Zapomniany list Samuela Dicksona ukazał się w 1972 roku w londyńskich „Wiadomościach", w dodatku „Na Antenie", tworzonym przez dziennikarzy Radia Wolna Europa.

„Za chleb trzeba płacić chlebem"

Temat postaw Polaków wobec Żydów nie był wówczas na topie, dlatego publikacja pozostaje dziś zapomniana. Tymczasem jest świadectwem szlachetnych działań Polaków na ogromną skalę. Dickson apelował, by świat dowiedział się o nich: „To los tysięcy młodych Żydów, którzy przetrwanie zawdzięczają właśnie pomocy Polaków w ZSSR, a nie komu innemu. Za chleb trzeba płacić chlebem".

Kim był Samuel Dickson? Gdy wybuchła wojna, jako dwudziestoletni chłopiec, aby nie dostać się w ręce Niemców, uciekł w głąb Rosji. Tam został aresztowany i zmuszony do niewolniczej pracy. Po tym, jak 30 lipca 1941 roku podpisany został układ Sikorski–Majski, zorganizował ucieczkę. „Z kilku młodymi Żydami uplanowałem ucieczkę z kopalni. Nad ranem opuściliśmy ziemianki i w godzinę później siedzieliśmy w pustym wagonie-węglarce. Pociąg odjechał kilka kilometrów, a gdy zatrzymał się przed semaforem, wyskoczyliśmy z wagonu" – wspominał. Cudem udało im się dotrzeć do Delegatury Polskiej w Czelabińsku.

Jaki był ich status pod zawarciu polsko-sowieckiego porozumienia? Sławomir Kalbarczyk w Biuletynie IPN z 29 lipca 2022 pisze: „Poważny problem z realizacją »amnestii« stworzyło zawężenie przez władze sowieckie pojęcia »obywatel polski« wyłącznie do osób narodowości polskiej. Przez kilka pierwszych miesięcy stosowania dekretu »amnestyjnego« zwalniano obywateli RP, nie bardzo zwracając uwagę na ich narodowość. Od grudnia 1941 r. obywatele innej narodowości niż polska przestali jednak być zwalniani. Gdy interweniowano w ich sprawie, padała odpowiedź, że jako nie-Polacy nie mogą być »amnestionowani«". Do tego do Czelabińska trafiali także Żydzi, którzy nigdy nie byli obywatelami polskimi, pochodzili m.in. z Besarabii. Również im Zachariasiewicz kazał wyrabiać lewe papiery.

„Nazwisko to zapamiętam do końca życia"

Żydzi pojawiali się w polskiej Delegaturze po cichu, pełni obaw. „Wiedzieliśmy, że obowiązkiem placówki jest pomagać więźniom i tym, których sowieci wysłali na Sybir" – wspominał Dickson. Tymczasem jego losy były inne, a do tego był Żydem... W razie zdemaskowania groziło mu aresztowanie i wyrok za dezercję – przeważnie 15 lub 20 lat ciężkich robót.

„W sercu robiło się gorąco, modliłem się do Boga. Nareszcie kolejka na mnie. Wszedłem do gabinetu kierownika placówki. Gdy usłyszał, że jestem urodzony w 1920 r. i że pochodzę z Podhojec niedaleko Lwowa, kierownik wstał ze swego krzesła spoza biurka, wyciągnął do mnie rękę i się przedstawił, mówiąc: »Ze Lwowa jestem i nazywam się Władysław Zachariasiewicz«. Nazwisko to zapamiętam do końca życia" – wspominał Dickson.

Uciekinierzy, brudni i zarośnięci, natychmiast otrzymali od Polaków pomoc: „P. Zachariasiewicz wypisał mi z magazynu odzież, od stóp do głów, mydło, ręcznik i jeszcze kilka niezbędnych rzeczy, dał mi dziesięć rubli i powiedział: »To co tu wypisane na tej kartce, otrzyma pan z magazynu koło stacji kolejowej, pójdzie pan do łaźni, porządnie się wykąpie, rzeczy stare spali, to znaczy odda pan palaczowi kotłowni, ogoli się pan u fryzjera i przyjdzie pan tu z powrotem«".

Kolejny Trzeci Maja już w wolnej Polsce…

Odmieniony ponownie pojawił się w polskiej placówce. „Teraz pojedzie pan do hotelu »Jużnyj Ural« i tam zarejestruje się w biurze Delegata Rządu Rzeczypospolitej Polskiej, pana Henryka Słowińskiego, w celu otrzymania paszportu" – usłyszał od Zachariasiewicza. Żadnych dokumentów dotąd nie miał, a więc w każdej chwili mógł być aresztowany na ulicy i posądzony o szpiegostwo. Z lewymi dokumentami wrócił do placówki, gdzie zbadał go lekarz dr Szczyniewski i orzekł, że musi koniecznie odpocząć, to znaczy poleżeć w łóżku, z racji na silne osłabienie organizmu.

Został włączony w polskie życie w Czelabińsku, co wspominał z ogromnym wzruszeniem: „Pamiętam, jak Trzeciego Maja 1942 r. przejezdny ksiądz, Polak, odprawił Mszę św. w poczekalni placówki na intencję Konstytucji Trzeciego Maja. Odśpiewano półgłosem »Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród«. Krótkie przemówienie miał kierownik Zachariasiewicz i pamiętam jak zakończył słowami: »Oby Pan Bóg dał abyśmy następne święto Trzeciego Maja obchodzili w domu w Polsce«. Na zakończenie odśpiewano hymn »Jeszcze Polska nie zginęła«".

Z czasem zaczął dowiadywać się, że zakamuflowanych Żydów jest w Czelabińsku więcej: „Były tam dwie rodziny z Pułtuska koło Warszawy. P. Cymbał (zdaje się, że imię miał Jankiel) z dwójką dzieci: chłopczyk lat pięć, dziewczynka lat siedem. Rosjanie wywieźli jego rodzinę na zsyłkę, żona mu z głodu umarła na posiołku. Drugą rodziną z Pułtuska był p. Symche Braude z żoną, synem i zdaje się, że miał dwie córki. Ci wszyscy byli dorosłymi ludźmi. P. Zachariasiewicz oddał im osobny pokój, aby podreperowali swoje zdrowie. P. Cymbał był z zawodu czapnikiem, a pan Braude rzezakiem Żydowskiej Gminy w Pułtusku".

Bez tej pomocy, nawet jeśli udałoby się im uniknąć aresztu, skazani byliby na głód: „Widziałem dopiero co to jest sowiecka równość. Był to sklep dla wyższych urzędników partyjnych, dla wyższych enkawudzistów i wyższych oficerów. W tym sklepie »ptasiego mleka nie brakowało«, a poza wystawą okienną ludzie z głodu umierali" – pisał Dickson.

eprasa.pl 48b912c059

Brygady żydowskie walczą z Niemcami!

Wieść, że Delegatura w Czelabińsku pomaga Żydom, rozchodziła się szybko. Wielu z nich porzucało niewolniczą pracę i uciekało do Czelabińska. To był już czas, w którym Sowieci odmawiali uwalniania obywateli polskich niepolskiej narodowości. „Strach było patrzeć na tych obdartych, bosych i wygłodzonych ludzi… Wszyscy dostawali pomoc żywnościową i odzieżową oraz skierowanie na południe. Aby ich nikt nie poszukiwał podawali nazwisko matki jako swoje, oraz zmieniano daty i miejsce urodzenia. Wielu wróciło w ten sposób do swoich krewnych, a wielu, bardzo wielu uniknęło śmierci, więzienia i łagrów. W ciągu miesiąca maja, czerwca, lipca i sierpnia Delegatura uratowała życie tysiącom Żydów. Wielu z nich na pewno nosi po dziś dzień swoje przybrane nazwisko, które podali w Delegaturze przy rejestracji" – opisywał polski Żyd z Brooklinu.

Wielu spośród nich z wdzięczności chciało służyć w polskiej armii: „Pamiętam, jak w poczekalni placówki dwóch braci (imion i nazwisk nie pamiętam) z miasta Dawidgródka na Wołyniu, powiedziało, że jeżeli p. Zachariasiewicz nie może ich posłać do wojska polskiego (bo już wtedy Rosjanie ograniczyli ilość żołnierzy) to niech pośle do armii angielskiej, lub żydowskiej. Wielu się wtedy z nich śmiało". Jak wspomina Dickson, Zachariasiewicz powiedział, że nie ma się z czego śmiać: „Proszę się nie śmiać, panowie, brygady żydowskie walczą u boku armii angielskiej przeciwko Niemcom, tak że jest i może być i będzie armia żydowska i to bardzo silna, ale w Palestynie. Ale nie mam prawa tam was posyłać". To był dla nich powód do dumy, bo nagle przestawali być tylko pogardzanymi ofiarami: „Oniemieliśmy na te słowa z wrażenia i jakoś stało mi się lżej na sercu, że gdzieś daleko Żydzi dają też swój wkład w walkę z Niemcami".

Ani śladu antysemityzmu

Z czasem pomoc Żydom stała się jednym z głównych działań polskiej placówki. Pomagano także tym, których nie dotyczył układ Skorski–Majski, bo nigdy nie byli polskimi obywatelami: „W miesiącach lipiec, sierpień i wrzesień 1942 r. było coraz mniej Polaków powracających z łagrów, więzień i zesłania, ale podwórze »Białego Domku« w Czelabińsku tętniło gwarem mowy żydowskiej, polskiej i rosyjskiej… Delegatura udzielała pomocy wszystkim bez względu nawet na obywatelstwo, bo pamiętam jak Żydzi pochodzący z Besarabii również otrzymywali pomoc w postaci produktów i odzieży. Jak ważna była ta pomoc w owym czasie świadczyć może fakt, że były wypadki kiedy za kawałek chleba na ulicy kaleczono lub nawet zabijano, ponieważ panował wtedy głód… Gdy opuszczali Czelabińsk, brakowało im słów na wyrażenie wdzięczności".

Jaki był stosunek zwykłych Polaków do żydowskich towarzyszy niedoli? „W ciągu kilku miesięcy, jakie spędziłem obok Delegatury i placówki polskiej, nie zauważyłem najmniejszych odznak antysemityzmu" – świadczył Dickson.

W jednoosobowej celi, przesłuchiwany w dzień i w nocy

Taka działalność nie mogła trwać wiecznie. W pierwszych dniach października 1942 roku miejscowy „Obłastpołkom" wydał przyjęcie na cześć Henryka Słowikowskiego. Jak opisuje Dickson, na przyjęciu tym byli obecni wyżsi urzędnicy Delegatury, „Obłaspołkomu" i Partii Komunistycznej. To był podstęp: „W dzień później rosyjskie NKWD. aresztowało wszystkich urzędników Delegatury. Znaleźli się oni w piwnicach NKWD w Czelabińsku. Przez kilka miesięcy prowadzono śledztwo różnymi sposobami i torturami, głównie oskarżająco działalność antysowiecką". Aresztowano także Władysława Zachariasiewicza. Siedział w jednoosobowej celi, przesłuchiwany w dzień i w nocy.

Jaki był skutek zamiany polskiej administracji na placówki polskich komunistów? „Strach ogarnął wtedy wszystkich tych Żydów, którzy dotychczas korzystali z pomocy polskiej. Kiedy skończyła się wojna, wszyscy oni, kto mógł, ciągnęli na Zachód" – wspominał Dickson. I apelował, by świat dowiedział się o polskiej pomocy: „Żydowskie Instytucje Naukowe powinny trochę więcej i szerzej interesować się tą sprawą… Cały cywilizowany świat, jak również i Państwo Izraela docenia pomoc Polaków udzieloną Żydom w czasie okupacji niemieckiej. Podobnie trzeba docenić pomoc jaką Polacy udzielali Żydom w Rosji w czasie wojny. A sprawa ta nie była tak prosta. Było to wielkie ryzyko dla samych Polaków".

Piłsudczyk z Światpolu

Kim był główny organizator akcji ratowania Żydów? Władysław Walerian Zachariasiewicz, w Stanach Zjednoczonych znany jako Walter Zachariasiewicz, urodził się 7 listopada 1911 roku w Krakowie. Był synem Jana Zachariasiewicza i Marii z domu Netshada. „Jako sześciolatek doczekał Niepodległości Polski, ale i trudnych czasów wojny polsko-bolszewickiej" – wspominał jego syn Piotr Zachariasiewicz.

Uczył się w krakowskim V Gimnazjum im. Jana Kochanowskiego. Studiował następnie na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego, dyplom broniąc w 1935 roku. Był przez całe życie zwolennikiem koncepcji Józefa Piłsudskiego. W czasie studiów pełnił funkcję prezesa Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej oraz Akademickiego Związku Zbliżenia Międzynarodowego „Liga" w Krakowie. „Ten Związek stał silnie na stanowisku poszanowania godności ludzkiej, bez względu na przekonania polityczne czy pochodzenie narodowościowe" – pisał syn.

Po skończeniu studiów zaczął pracę w Światowym Związku Polaków z Zagranicy „Światpol" w Warszawie. Ja-

eprasa.pl 48b912c059

ko kierownik Wydziału Młodzieży był m.in. odpowiedzialny za program szkoleniowy młodych przywódców polonijnych w „Kadrówce Młodych Polaków z Zagranicy" na Groniku koło Zakopanego. Odpowiadał także za roczny „Kurs wiedzy o Polsce", którego uczestnikami było pięćdziesięciu przyszłych potencjalnych liderów, pochodzących z większych skupisk polonijnych. Prezesem Światpolu był wówczas marszałek Senatu, późniejszy prezydent na obczyźnie Władysław Raczkiewicz.

Zachariasiewicz służbę wojskową odbył w Dywizyjnej Szkole Podchorążych Piechoty w Grodnie, a następnie trzymiesięczny kurs podchorążych broni pancernej w Modlinie. W 1938 roku brał udział w manewrach wojskowych krakowskiego 5. baonu pancernego w Biedrusku pod Poznaniem, w stopniu plutonowego podchorążego broni pancernej.

Polscy uchodźcy we Włoszech i współpraca z Andersem

Po wybuchu II wojny światowej został zmobilizowany do 2. batalionu pancernego w Żurawicy koło Przemyśla. Uczestniczył w walkach kampanii wrześniowej w rejonie Lwowa. Po inwazji Związku Sowieckiego usiłował przedostać się przez Rumunię na Zachód z zamiarem dołączenia do tworzącej się we Francji Armii Polskiej. „Przy próbie przekraczania granicy rumuńskiej w rejonie Kosowa, wpadł w ręce pograniczników sowieckich i przekazany NKWD w Stanisławowie. Odtąd zaczęła się jego gehenna więzień sowieckich w Czernihowie, Kijowie i Charkowie. W końcu z wyroku sądowego zesłano go na 10 lat ciężkich robót do łagru na dalekiej Północy w rejonie Archangielska" – pisał Piotr Zachariasiewicz.

Mimo że układ Sikorski–Majski przewidywał we wrześniu 1941 roku amnestię dla Polaków więzionych w Związku Sowieckim, Zachariasiewicz, z grupą kilkunastu innych osób, został zwolniony dopiero sześć miesięcy później. W marcu 1942 roku objął funkcję kierownika polskiej placówki w Czelabińsku, a następnie został przeniesiony do Ambasady RP w Kujbyszewie i mianowany delegatem na Kazachstan w Ałma-Acie. Ale w przeddzień wyjazdu został aresztowany i przewieziony do Czelabińska, gdzie był więziony przez kilka miesięcy w podziemiach budynku NKWD w jednoosobowej celi oraz przesłuchiwany w dzień i w nocy. Dopiero po usilnych staraniach polskiej Ambasady został zwolniony i wydalony z ZSRS.

Po rekonwalescencji w Teheranie pracował z nominacji Rządu RP na Wychodźstwie w Konsulacie Generalnym RP w Konstantynopolu. Przeniesiony później do Londynu, współpracował z premierem Tomaszem Arciszewskim. Stamtąd został wysłany do Rzymu jako Delegat Rządu RP do opieki nad uchodźcami we Włoszech. „Jako człowiek wrażliwy na los innych, społecznik i organizator wysłany został na delegata nad uchodźcami polskimi w Rzymie" – wspominał syn.

Współpracował tam ściśle z 2. Korpusem Polskim gen. Władysława Andersa. Dzięki tej współpracy udało się zorganizować na południu kraju dwa duże obozy dla polskich uchodźców.

Uchodźca polityczny

W 1946 roku razem z wojskiem ewakuował się do Londynu. Odpowiadał za sprawy imigracyjno-uchodźcze w polskim rządzie, przy premierze gen. Tadeuszu Borze-Komorowskim. Równocześnie zasiadał we władzach Światowego Związku Polaków z Zagranicy, który wznowił swoją przedwojenną działalność na Wychodźstwie z pomocą byłego prezesa „Światpolu", a później prezydenta Władysława Raczkiewicza.

W 1948 roku wyemigrował jako – co podkreślał –źuchodźca polityczny do Stanów Zjednoczonych. Wkrótce potem został tam dyrektorem wykonawczym nowo utworzonego Polskiego Komitetu Imigracyjnego i Pomocowego w Nowym Jorku. Jego prezesem był ks. prałat Feliks Burant. Był odpowiedzialny za akcje Komitetu zarówno w centrali w Nowym Jorku, jak i za działalność placówek (częściowo finansowanych przez władze amerykańskie) w kilku krajach Europy Zachodniej.

„Pomógł tysiącom Polaków, którzy uciekali po II wojnie światowej z Europy na teren Stanów Zjednoczonych. Pomógł im się zaaklimatyzować, osiedlić i spokojnie wieść rzeczywistość amerykańską" – mówił o tym Mariusz Olczak z Archiwum Akt Nowych w TV Polonia. „Przyczynił się do znalezienia dachu nad głową i pracy dla tysięcy wysiedleńców, ofiar obozów koncentracyjnych, uchodźców politycznych z kraju i żołnierzy PSZ na Obczyźnie. PKI miał kilka przedstawicielstw w Stanach i za oceanem. Współpracował z Katolicką Radą Osiedleńczą" – wspominał syn.

Ale jednocześnie starał się walczyć o polską sprawę w sytuacji, w której mogło się to wydawać działaniem bez żadnej nadziei na powodzenie. „Sprawa polska, w czasie całego okresu PRL, była nieustannie na wokandzie najważniejszych tego świata. Przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, również w Anglii. Trzeba pamiętać, że jemu zawdzięczamy obecność sprawy polskiej przez cały okres PRL" – mówił Robert Derewenda, historyk KUL w TV Polonia.

Był czynnie zaangażowany w działalność wielu organizacji polonijnych w USA. Był m.in. wiceprezesem Kongresu Polonii Amerykańskiej w Nowym Jorku i wieloletnim członkiem Komitetu Spraw Polskich Kongresu w Chicago, wiceprezesem Komitetu Parady Pułaskiego i członkiem zarządu nowojorskiego dziennika „Nowy Świat". We władzach PPS na wygnaniu zasiadał w Centralnej Komisji Rewizyjnej.

eprasa.pl 48b912c059

U boku Kennedy'ego i Johnsona

Działał w amerykańskiej Partii Demokratycznej. W 1961 roku został dyrektorem Wydziału Narodowościowego w Krajowym Komitecie Partii Demokratycznej, koordynował m.in. działalność kilkunastu grup etnicznych w kampanii wyborczej Johna F. Kennedy'ego i Lyndona Johnsona. Następnie został specjalnym asystentem do kontaktów międzynarodowych Poczmistrza Generalnego USA Johna A. Gronouski'ego – pierwszego w historii Polonii Amerykanina polskiego pochodzenia, będącego jednocześnie członkiem gabinetu prezydenta USA. Reprezentował Departament Poczty m.in. na Światowych Wystawach Filatelistycznych.

Także tę funkcję postanowił wykorzystać dla Polski. Był inicjatorem wydania w USA historycznego znaczka pocztowego z Orłem Białym w koronie i krzyżem na czerwonym tle z okazji tysiąclecia państwa polskiego w 1966 roku. To była akcja na ogromną skalę.

Polski znaczek w nakładzie 140 milionów

Andrzej M. Salski w artykule „Poland's Millennium 1966 – polski orzeł z koroną i krzyżem na znaczku poczty USA" pisał o tym: „Dzięki życzliwości prezydentów Kennedy'ego i Johnsona, w dniu 21 lutego 1966 r. decyzja o emisji tego znaczka została podjęta przez Departament Poczty USA, który stwierdził, że: »w bieżącym roku zostanie wydany specjalny znaczek poświęcony Milenium Polski«. Poczmistrzem Generalnym był wtedy Lawrence O'Brien, który m.in. powiedział, że »Dziesięć stuleci mija, odkąd Polska powstała jako państwo i włączyła się do Świata Zachodniego. Dla upamiętnienia tej rocznicy Narodu Polskiego, którego tradycje i osiągnięcia stały się częścią składową naszej narodowej spuścizny, Stany Zjednoczone wydadzą znaczek pocztowy poświęcony Tysiącleciu Polski. Obok legendarnych polskich bojowników jest wielu innych Polaków, którzy chwalebnie się zapisali w służbie wolności i na rzecz ogólnoludzkiej wiedzy. Składamy im hołd jako braciom naszym w dążeniu do wolności. Wydając znaczek pocztowy poświęcony Polskiemu Milenium, Naród Amerykański składa hołd dzielnemu Narodowi Polskiemu, pamiętając o trwałym śladzie wyciśniętym przez polskich emigrantów dla rozwoju Stanów Zjednoczonych".

Znaczek wydrukowała amerykańska agencja rządowa Bureau of Engraving and Printing. Został wprowadzony do obiegu 30 lipca 1966 roku w nakładzie 140 mln egzemplarzy. Z tej okazji w hotelu Sheraton w Waszyngtonie odbyła się uroczystość, która zgromadziła ponad 1200 działaczy polonijnych i ośmiu przedstawicieli kongresu USA pochodzenia polskiego.

Jak pisał syn, Władysław Zachariasiewicz nazywany w Stanach także Walterem, był powszechnie znany i ceniony wśród członków emigracji politycznej. Był członkiem prestiżowego Narodowego Klubu Prasowego, dzięki czemu miał łatwość nawiązywania kontaktów.

Kopernik nie był „German astronomer"!

„Kiedyś tego spokojnego, zrównoważonego człowieka poniosły nerwy (i nie ma się co dziwić!). Pod portretem Kopernika przeczytał napis: »German Astronomer«" – pisała Barbara Mierzejewska w tygodniku „Niedziela". I spowodował zmianę napisu przy portrecie Kopernika w muzeum w Waszyngtonie z „German astronomer" na „astronom polski". Jego również staraniem w krypcie św. Leonarda na Wawelu, gdzie na sarkofagu Kościuszki był dotąd skromny napis „T. Kościuszko" została wmurowana tablica pamiątkowa ku czci bohatera walk o niepodległość Polski i Ameryki, gen. Tadeusza Kościuszki, jako dar Polonii i narodu amerykańskiego". Został też wybrany do Rady Dyrektorów i Komitetu Programowego Radia Wolna Europa. Wydał także fundamentalną książkę „Etos niepodległościowy Polonii amerykańskiej", opisującą całą jej historię.

Jak pisał syn, do wyboru kardynała Karola Wojtyły na papieża Władysław Zachariasiewicz, dla uczczenia tego pontyfikatu, podjął się zorganizowania Ogólnoamerykańskiego Komitetu Ufundowania Domu Polskiego Jana Pawła II. Akcja podjęta przez Polonię amerykańską po dwóch latach dała 3 mln dolarów, wystarczająco do zakupu posiadłości w Rzymie.

Zachariasiewicz z nominacji polskiego papieża został jednym z pierwszych członków Rady Administracyjnej jego fundacji. Dzięki niemu powstało wiele kół przyjaciół fundacji papieskiej, poszerzających zasięg jej działalności. „Doceniając jego zasługi dla Kościoła Powszechnego, Papież Polak Jan Paweł II, odznaczył Władysława Zachariasiewicza jednym z najwyższych papieskich odznaczeń dla osób świeckich: Komandorią z Gwiazdą Orderu św. Grzegorza" – pisał syn.

„Sprężysty krok, sylwetka prosta jak struna"

A Pan Bóg dał mu bardzo długie, 104-letnie życie. Barbara Mierzejewska z tygodnika „Niedziela" pisała w 2007 roku: „Kiedy ktoś mi powiedział, że pan Zachariasiewicz ma 96 lat, pomyślałam, że to pomyłka. Jakiś czas pilnie go obserwowałam – sprężysty krok, sylwetka prosta jak struna, zawsze w nieskazitelnie białej koszuli i jasnopopielatych spodniach. Przy bliższym poznaniu, kiedy umówiliśmy się na un petit café w buskiej kawiarence sanatorium Marconiego moje wątpliwości jeszcze się spotęgowały. Gładka, bez zmarszczek cera i serdeczna, bezpośrednia rozmowa, jakbyśmy się znali wiele lat. Mojemu bohaterowi towarzyszy żona Adela (88 lat), osoba o dużej kulturze osobistej, powściągliwie komplementująca swoją »drugą« połowę". Zmarł 21 września 2016 roku w Waszyngtonie. ■

eprasa.pl 48b912c059

Agnieszka Kowalczyk

DZIECI „MAŁEGO OŚWIĘCIMIA”

epraca.pl 48b9126059

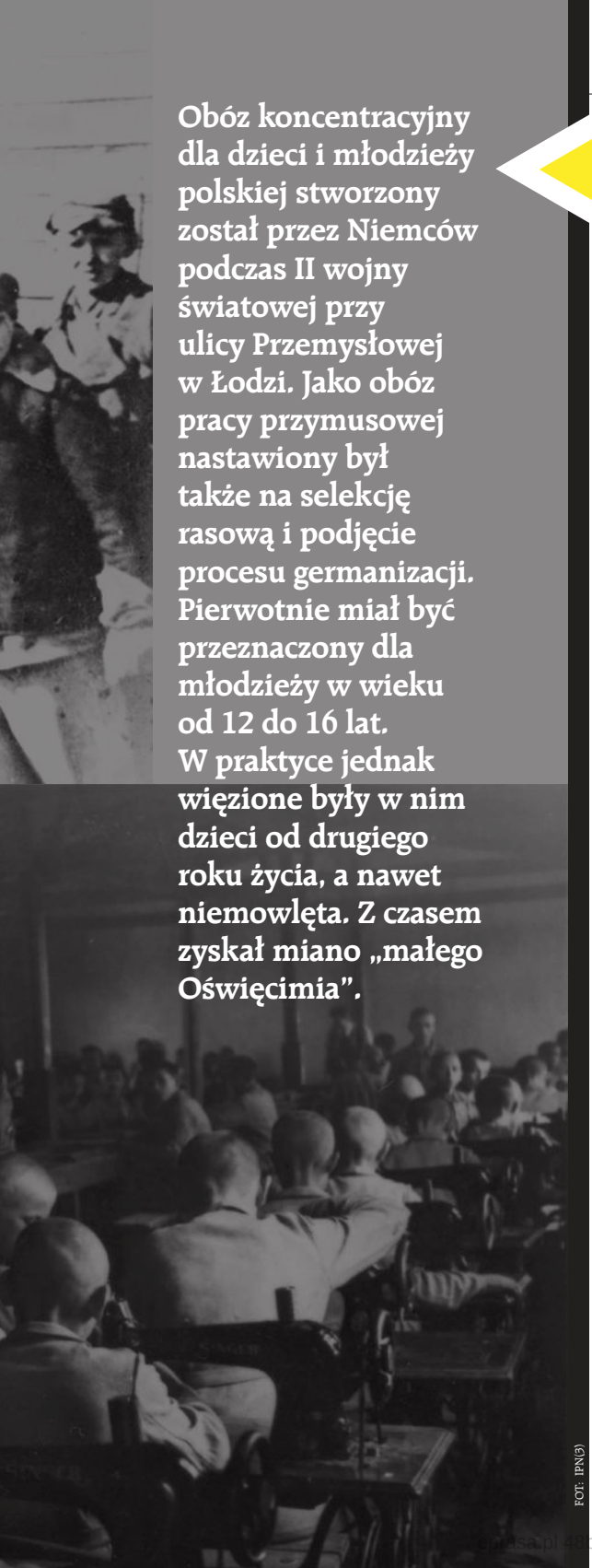

Obóz koncentracyjny dla dzieci i młodzieży polskiej stworzony został przez Niemców podczas II wojny światowej przy ulicy Przemysłowej w Łodzi. Jako obóz pracy przymusowej nastawiony był także na selekcję rasową i podjęcie procesu germanizacji. Pierwotnie miał być przeznaczony dla młodzieży w wieku od 12 do 16 lat. W praktyce jednak więzione były w nim dzieci od drugiego roku życia, a nawet niemowlęta. Z czasem zyskał miano „małego Oświęcimia".

FOT. IPN(3)

Swą zbrodniczą działalność rozpoczął 1 grudnia 1942 roku. Szacuje się, że przez Polen Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt, czyli Prewencyjny Obóz Policji Bezpieczeństwa dla Młodzieży Polskiej w Łodzi, przeszło od 2 tys. do ponad 3 tys. młodocianych więźniów narodowości polskiej, przywożonych tam z terenów włączonych do III Rzeszy, głównie z ziemi łódzkiej, Kujaw, Wielkopolski, Górnego Śląska, Pomorza Gdańskiego, a także z Generalnego Gubernatorstwa oraz z Niemiec, Francji i ZSRS. Niektórzy z byłych więźniów uważają jednak, że dzieci mogło być znacznie więcej, nawet kilkanaście tysięcy. Niemcy bowiem tuszowali swe zbrodnie, a przed opuszczeniem obozu zniszczyli obciążającą ich dokumentację. Polen Jugendverwahrlager podlegał Policji Bezpieczeństwa, którą współtworzyły Tajna Policja Państwowa (Gestapo) oraz Policja Kryminalna (Kripo), co miało sugerować, że przebywają w nim przestępcy zagrażający społeczeństwu i zdolni deprawować swych niemieckich rówieśników.

Jurek. Dwulatek w łódzkim przedsionku śmierci

Jurek Jeżewicz miał dwa lata i dziewięć miesięcy, gdy 10 września 1943 roku Niemcy wpadli do jego domu przy ulicy Tatrzańskiej w Mosinie, zabierając go wraz z czteroletnim bratem Edkiem i czternastoletnią ciocią Gabrielą, która przybiegła ratować dzieci, po tym jak aresztowano ich rodziców. Obaj chłopcy zostali potajemnie wywiezieni do dziecięcego obozu w Łodzi, który utworzono na wydzielonej z getta pięciohektarowej działce obejmującej ulice: Bracką, Emilii Plater, Górniczą i Przemysłową. Teren opasano sięgającym trzech metrów wysokości ogrodzeniem ze sztachet, obwiedzionych drutem kolczastym. Z kolei od strony cmentarza żydowskiego przeszkodę nie do pokonania stanowił ceglany mur, który jeszcze podwyższono. Było to więzienie stworzone celowo w obrębie pilnie strzeżonego getta, by z jednej strony uniemożliwić ucieczkę, z drugiej zaś uczynić dziecięcy obóz miejscem zupełnie odizolowanym od świata.

„Sceny z obozu […] jawią mi się jako impresja, podskórny lęk. Przyczyna, która ten lęk wywołuje, jest nieuchwytna dla pamięci" – przyznaje po latach Jerzy Jeżewicz, jeden z bohaterów książki Moniki Odrobińskiej „Dzieci wojny. Mali Polacy, którzy ocaleli" (2022). „Do odtworzenia zdarzeń, niezbędnego do wyjścia z traumy, potrzebuję protezy cudzych wspomnień" – mówi. „Zacząłem z niej korzystać dopiero w latach siedemdziesiątych, gdy po raz pierwszy dołączyłem do spotkania Dzieci z Przemysłowej, czyli byłych więźniów łódzkiego obozu dla młodocianych. […] Oni też stali się moimi przewodnikami po wspomnieniach obozowych. Dzięki

epresa.pl 4b0912c059

nim porozrzucane luzem sceny-puzzle zaczęły się układać w całość".

W obozie przy Przemysłowej panowały przemoc, strach i głód. Od razu po przyjeździe i wyładowaniu z ciężarówek następował podział dzieci na grupy wiekowe: od dwóch do ośmiu lat, od ośmiu do dwunastu i powyżej dwunastu. Strzyżono je, fotografowano, przebierano w drelichowe mundurki, a każdemu z nich zawieszano na szyi obozowy numer. Już u wejścia do obozu starsi chłopcy z transportu Jurka mogli zobaczyć ciało kilkuletniego więźnia rozciągnięte na ogrodzeniu, które próbował pokonać w desperackim akcie ucieczki. Za ten czyn nieszczęśnika, którego nie zdążyli nawet poznać, „zostali prewencyjnie ukarani wielogodzinną »gimnastyką«: padnij – powstań i skakaniem żabki z podniesionymi rękami. Omdlałych cucono pod pompą, niektórzy jednak już nigdy nie odzyskali przytomności. Na koniec odmówiono im nawet przydziałowego nędznego kawałka chleba". Dzieci otrzymywały zresztą głodowe racje żywnościowe, tak iż nawet na zupę z piachem i robakami rzucały się jak wygłodniałe zwierzęta.

„Permanentny głód – jak podkreśla Jerzy Jeżewicz – nie tylko wyniszczał organizm, lecz także demoralizował [...] i deformował psychikę". Głodne dzieci gotowe były wylizać z podłogi wylaną zupę, zjeść trawę, upolowaną przez siebie mysz, a nawet gotowany w kotle klej. Niektóre obgryzały sobie ręce. Gdy pewien chłopiec podczas dyżuru w kuchni chciał przypiec obierki z ziemniaka, Niemiec natychmiast ściął go z nóg nad wyraz długim batem. Systematyczne niedożywianie zdaniem niemieckiego feldmarszałka Gerda von Rundstedta przynosiło lepsze efekty niż karabiny maszynowe. Obok rozpaczliwych warunków bytu, zastraszania i znęcania się oraz zmuszania do pracy ponad siły stanowiło jedną z metod skutecznego wyniszczania młodych organizmów. „Wszystko przemawia za tym, że był to obóz koncentracyjny" – twierdzi Jeżewicz, przy czym dodaje, że w „obozie z założenia koncentracyjnym wybawienie przynosiła komora gazowa, tu dopiero »śmierć naturalna«. Umierało się na tyfus, gruźlicę, świerzb, szkorbut czy jaskrę, w przypadku której Niemcy »radzili« przemywać powieki moczem, w wyniku czego dzieci ślepły. Wszystko to były choroby uleczalne, ale z powodu braku lekarzy, leków i chęci leczenia – śmiertelne. Śmierć nie była nagła i bezbolesna, ale rozłożona w czasie oraz naznaczona cierpieniami i upodleniem".

Jej przedsionek stanowiły izba chorych i ambulatorium, gdzie rządziła niepodzielnie sadystyczna Sydonia Bayer, którą po wojnie skazano na śmierć przez powieszenie. Trawione gorączką dzieci kazała wywlekać na śnieg i polewać wodą, a rany swych podopiecznych „leczyła" żrącym lizolem. Izba chorych składała się z dwóch sal – jedna przeznaczona była dla małych pacjentów zdolnych poruszać się o własnych siłach, a drugą zajmowali dogorywający i już umarli. Śmierć zbierała również obfite żniwo w utworzonym z nakazu Bayerowej oddziale dla dzieci bezwiednie się moczących, gdzie sterroryzowane leżały w mokrych ubraniach obok chorych na gruźlicę i wraz z nimi oczekiwały na swój koniec. Po trupy przyjeżdżał furmanką raz w tygodniu Żyd i chował je na graniczącym z obozem cmentarzu żydowskim. Zdarzało się, że wśród rozkładających się ciał były także dzieci konające.

Mali szewcy, rymarze i stolarze

W obozie panował wojskowy dryl. Małych więźniów zmuszano, by maszerowali trójkami jak żołnierze. „Ci, którzy w czasie tych przymusowych spacerów padali z wycieńczenia, już do baraku nie wracali" – mówi Jeżewicz. Dzieci powyżej ósmego roku życia obowiązywał dwunastogodzinny dzień pracy – jedni utwardzali kilkutonowym walcem główną aleję, drudzy harowali w obozowych warsztatach: szewskim, iglarskim, rymarskim, koszykarskim, samochodowym, stolarskim, ślusarskim, malarskim, elektrycznym czy szklarskim, jeszcze inni zajmowali się ogrodem, pompowaniem wody bądź reperowaniem dachów. Obóz był jednym wielkim warsztatem pracy nastawionym na wspieranie gospodarki i armii III Rzeszy. Toteż, jak opowiada historyk Artur Ossowski, „chłopców najczęściej przydzielano do tzw. iglarni, gdzie prostowali igły tkackie. W »łapciarni« wyplatali słomiane warkocze i zszywali je w nieforemne zimowe buty dla żołnierzy niemieckich walczących w Związku Sowieckim. Dodatkowo z wikliny wykonywali maty, których używano jako podkładów pod koła wojskowych pojazdów, gdy te ugrzęzły w błocie lub zakopały się w śniegu. Zszywali również uszkodzone plecaki i chlebaki, jak też reperowali obuwie wojskowe. Natomiast w szwalni szyto elementy umundurowania i obozową odzież roboczą. Zadania te wykonywali zarówno chłopcy, jak i dziewczęta, które dodatkowo cerowały przestrzeliny lub rozdarcia w mundurach". Ponadto młode więźniarki sprzątały, pracowały w zakładzie krawieckim, kuchni i pralni, a także w folwarku w Dzierżąznej pod Zgierzem, gdzie zajmowały się uprawą roli i żywym inwentarzem. Niektóre stały całymi godzinami po pas w wodzie, łowiąc ryby w pobliskim stawie. Za niewłaściwe wykonanie pracy dzieci były bite lub głodzone, piętnowane czerwonym krzyżem malowanym na plecach więziennego uniformu, kierowane do kompanii karnej, gdzie przy małych racjach żywnościowych zmuszano je m.in. do: rozbierania domów, smołowania dachów, czyszczenia latryn i utwardzania alei obozowych.

Mistrzowie tortur spod znaku swastyki

Załogę dziecięcego obozu w Łodzi tworzyli niemieccy sadyści – funkcjonariusze SS z Edwardem Augustem na

eprasa.pl 48b912c059

czele. Był on „tak okrutny, że nawet esesmani powstrzymywali go przed znęcaniem się nad dziećmi, które bił i kopał w czułe miejsca, wpychał do skrzyń z piaskiem, topił w beczułce wody, wieszał na łańcuchu za nogi i spuszczał głową w dół do kanału ze zużytymi smarami". Z kolei Teodor Busch smagał dzieci batem pogromcy dzikich zwierząt, Hausch – pomysłodawca dziecięcego karceru – pozbawiał je chleba, który rzucał potem królikom i świniom, zaś Erwin Voight bił je w skórzanych rękawiczkach do utraty przytomności, a zrabowaną im żywność zamieniał w getcie na kosztowności i futra. Spośród kobiet, obok Sydonii Bayer, na miano największej sadystki zasłużyła funkcjonariuszka obozowa Eugenia Pol (Genowefa Pohl), która w czasie wojny podpisała volkslistę: „Obie odpowiedzialne były za maluchy i dziewczęta. Z chwilą przyjścia do obozu Pohl miała dziewiętnaście lat i nie wyuczyła się jeszcze zawodu. Podobnie jak Bayerowa, podpisała volkslistę. Biła dzieci bykowcem, rękojeść pejcza wwiercała w brzuchy i klatki piersiowe. W ten sposób jątrzyła rany dziewczynek. Gdy się znęcała nad dziećmi, zaklejała swoim ofiarom usta – to samo czyniła tym, którzy rozmawiali po polsku, choć sama po niemiecku nie mówiła najlepiej. Razem z Bayerową wybierały jasne i ciemne blondynki z niebieskimi i czarnymi oczami, by wysłać je do wojskowych domów publicznych". Po zakończeniu wojny Pol pracowała jako intendentka w jednym z łódzkich żłobków. Rozpoznana na ulicy przez swą dawną ofiarę została oskarżona o zbrodnie przeciwko dzieciom i w wyniku procesu toczącego się w latach 1972–1975 skazana na 25 lat więzienia. Na wolność wyszła w 1989 roku. Powróciła do Łodzi i tam zmarła w 2003 roku.

Skrywając swe zbrodnie, Niemcy wpisywali w kartę zgonu dziecka naturalne przyczyny śmierci, choć w istocie była ona wynikiem bicia i wyrafinowanych tortur, jak miało to miejsce w przypadku Teresy Jakubowskiej z Poznania. Głodna dziewczynka notorycznie kradła chleb, nie zważając na ponoszone kary. Nie zrażały ją ani całodzienna głodówka, ani wymierzona setka batów. Życie skończyła dopiero wyniesiona na śnieg z rozkazu Bayerowej i tam zlana kilkakrotnie wodą.

Prawdziwym piekłem dla dzieci był karcer – pozbawiony okien, z cementową podłogą i wiecznie stojącą na niej wodą. Panowały tam wilgoć i przenikliwe zimno, śmiertelnie niebezpieczne dla dzieci, które podczas odbywania kary w zamknięciu dostawały jednocześnie ostre cięgi. „W czterech z pięciu pomieszczeń karceru siedzieli jeszcze żywi lub półżywi więźniowie, do piątej co drugi dzień znoszono trupy – opowiadał Jeżewicz. – Zanim Żyd wywiózł je poza teren obozu, służyły za pożywkę szczurom. […] Słyszałem o chłopcu, który w karcerze musiał zjeść własny kał, i o dziewczynce, którą Niemcy położyli nagą na śniegu i polewali wodą, aż pokryła się kryształkami. Innemu więźniowi dali do wypicia wiadro kawy i zupy z robakami, zamieszanej brudną miotłą".

Destrukcyjnie na psychikę dzieci działała także polityka nienawiści, której istotą było szczucie jednych przeciw drugim, propagowanie egoizmu i siły, oduczanie ludzkich odruchów – miłosierdzia i współczucia. Zmuszano je do tego, aby wymierzały sobie wzajemnie kary, nagradzano za donosicielstwo, a więźniowie funkcyjni w wieku od 14 do 16 lat otrzymali nieograniczoną władzę nad młodszymi, mogąc decydować o ich życiu i śmierci. Wszystko to miało zmierzać do deprawacji małoletnich.

Jak z Polaka zrobić Niemca

Przetrzymywanie w obozie dzieci w wieku od dwóch do ośmiu lat było czymś zupełnie niedopuszczalnym nawet przez hitlerowskie prawo. Toteż ów zbrodniczy proceder utrzymywano w największej tajemnicy. Do Łodzi trafiały nawet noworodki – dzieci urodzone przez więźniarki obozów koncentracyjnych, przywożone tam nocami i wywożone później w nieznanym kierunku. Część spośród nich mogła być przeznaczona do adopcji przez rodziny w III Rzeszy. Powstanie łódzkiego obozu miało jeszcze jeden ukryty cel, ujawniony dopiero podczas procesów norymberskich. Było nim dokonywanie selekcji rasowej. Po wstępnych oględzinach małych Polaków o blond włosach i niebieskich oczach przewożono z Przemysłowej do Rassenamtu przy Spornej 73, skąd najbardziej „wartościowych rasowo" wysyłano dalej do ośrodków germanizacyjnych.

Włączona do III Rzeszy Łódź, a właściwie Litzmannstadt, była bowiem w czasie okupacji niemieckiej jednym z najważniejszych ośrodków służących procesowi germanizacyjnemu na ziemiach polskich. Sprzyjał temu fakt, że stanowiła ona wielkie centrum przesiedleńcze. Od 1940 roku funkcjonowała w mieście Centrala Przesiedleńcza przy Piotrkowskiej 133, którą kierował Hermann Krumey. Na tej samej ulicy, pod numerem 113, miała swoją siedzibę Filia Głównego Urzędu ds. Rasy i Osadnictwa SS. W Łodzi działały obozy przesiedleńcze, m.in. w fabryce tkanin przy Łąkowej, w fabryce waty na Lesznie, w noclegowniach przy Kopernika i 28. Pułku Strzelców Kaniowskich. Przez miasto przepływały więc niezliczone rzesze ludzkie, w obozach przetrzymywano dziesiątki tysięcy przesiedleńców, w tym dzieci przeznaczonych do zniemczenia.

„Najpierw za cel postawiono sobie odzyskanie każdej kropli krwi germańskiej" – wyjaśnia Artur Ossowski. „Dlatego w pierwszych latach wojny sięgano głównie po dzieci mające niemieckich przodków lub wywodzące się z rodzin, które kulturowo ciążyły w stronę państwa niemieckiego. Po 1941 roku, wobec rosnących strat na froncie wschodnim, uznano jednak, że dzieci należy pozyskiwać także od narodów podbitych. Tłumaczono, że dziecko »wartościowe« musi być dzieckiem niemieckim lub co naj-

eprasa.pl 48b912c059

mniej pochodzenia niemieckiego". Okupowane ziemie polskie stały się przestrzenią eksperymentu rasistów, szczególnie zaś te włączone bezpośrednio do III Rzeszy, jak Pomorze Gdańskie, Górny Śląsk, Kraj Warty (Kujawy, Wielkopolska, ziemia łódzka), na obszarze których w pierwszej kolejności dokonywano selekcji rasowej. Pomorze Gdańskie i Górny Śląsk Niemcy uznali za silniej związane kulturowo i historycznie z III Rzeszą niż z państwem polskim. Mieszkańcom Górnego Śląska obywatelstwo niemieckie nadawano automatycznie, wpisując ich na drugą i trzecią listę narodowościową (volkslistę), podczas gdy na pierwszej znajdowały się osoby działające czynnie przed wojną na rzecz III Rzeszy. Artur Ossowski podkreśla, że „trzeba było wykazać się nie lada odwagą, by wystąpić do urzędu niemieckiego o zrzeczenie się obywatelstwa niemieckiego, bo wtedy zaczynała się procedura ukarania takiej rodziny. Rodzice najczęściej trafiali do obozów wysiedleńczych, tzw. Polenlager, czasem nawet do obozów koncentracyjnych lub więzień. Dzieci natomiast odbierano i albo trafiały do ośrodków germanizacyjnych, albo do obozów pracy o zaostrzonym rygorze". Takim właśnie miejscem był dziecięcy obóz przy Przemysłowej w Łodzi, gdzie znalazło się aż 30 proc. dzieci z terenu Górnego Śląska. Z Pomorza Gdańskiego natomiast wysiedlano Polaków, którzy przybyli tam po 1920 roku. Mogli pozostać tylko ci, którzy wystąpili o przyznanie obywatelstwa niemieckiego. Analogiczny mechanizm dotyczył mieszkańców Kraju Warty. Od jesieni 1942 roku masowe wysiedlenia objęły też ludność Generalnego Gubernatorstwa.

W tym czasie do Łodzi docierały kolejne transporty Polaków zamykanych w obozach wysiedleńczych, co sprzyjało przeprowadzaniu selekcji rasowej. W 1940 roku stworzono w mieście specjalny obóz rasowy przy ul. Spornej 71/73, w gmachu klasztoru oo. Bernardynów, gdzie „mierzono czaszkę, rozstaw oczu, układ uzębienia, robiono wywiad medyczny, ustalano grupę krwi, kolor włosów. […] Badano też zdolności rozrodcze. Oceniano kształt ciała, wielkość miednicy. Niekiedy odbywały się badania ginekologiczne" – czytamy w książce „Teraz jesteście Niemcami. Wstrząsające losy zrabowanych polskich dzieci". Do 1943 roku przez ten obóz przeszło kilkadziesiąt tysięcy ludzi, spośród których wytypowano kilkanaście tysięcy „wartościowych rasowo". Na Sporną wysyłano też dzieci z Przemysłowej, które trafiały ponadto do ośrodków germanizacyjnych w Bruczkowie i Kaliszu, a najmłodsze, mające nie więcej niż dwa lata – do Ludwikowa i Puszczykowa. Tam przechodziły egzamin sprawdzający ich „przydatność do życia w niemieckim społeczeństwie".

„Dzieci terrorystów" i wojna na bakterie

Najważniejszym jednak zadaniem Prewencyjnego Obozu Policji Bezpieczeństwa dla Młodzieży Polskiej w Łodzi było eliminowanie polskich dzieci, „z których III Rzesza nie mogła mieć pożytku lub które wręcz »zagrażały« jej interesom". Do obozu przy ulicy Przemysłowej dostawali się małoletni z sierocińców i zakładów opiekuńczych, schwytani w łapankach, handlujący żywnością, by przeżyć, a także uciekinierzy z robót w Rzeszy i młodzi działacze polskiego podziemia. Szczególną kategorię stanowiły „dzieci terrorystów", a więc tych Polaków, którzy podjęli walkę z niemieckim okupantem. Wśród nich znaleźli się bracia Jurek i Edek Jeżewiczowie. Ich ojciec w czasie wojny należał do konspiracyjnej grupy „witaszkowców", na której czele stał mikrobiolog doktor Franciszek Witaszek, walczący z Niemcami między innymi za pomocą bakterii. Grupa działała w ramach Związku Odwetu, wojskowej organizacji sabotażowo-dywersyjnej powołanej do istnienia przez Związek Walki Zbrojnej w 1939 roku. W jej szeregach znaleźli się lekarze, inżynierowie, chemicy, laboranci oraz zwykli mieszkańcy Mosiny, którzy truli swoją trzodę i niszczyli bydło, by nie trafiły do Niemców. „Doktor Witaszek – jak opowiada Jeżewicz – opracował specyfiki, które można by nazwać chemiczno-biologicznymi bombami z opóźnionym zapłonem. Dodane do restauracyjnych posiłków czy leków, w które zaopatrywali się niemieccy dygnitarze, niszczyły serce, nerki, śledzionę. Ale nie od razu. Śmierć następowała po dwóch miesiącach, by nikt nie skojarzył jej z wizytą w danej restauracji czy aptece". Doktor Witaszek obmyślił też niezawodną metodę niszczenia niemieckich silników za pomocą preparatu własnego pomysłu, który zmieszany z paliwem prowadził do korozji urządzenia. W końcu Niemcy rozpracowali tę siatkę konspiracyjną. Wiosną 1942 roku aresztowali wszystkich członków grupy wraz z jej przywódcą, któremu zaproponowali współpracę. Ten jednak kategorycznie odmówił. Los „witaszkowców" był przesądzony. Po ośmiomiesięcznych torturach w Forcie VII skazano na śmierć 30 członków organizacji. Egzekucję wykonano 8 stycznia 1943 roku. Ciała zamordowanych spalono z wyjątkiem czterech, którym odcięto głowy, umieszczając je w słojach z formaliną. Taki los spotkał m.in. Stanisława Witaszka. Na słoju ze szczątkami mikrobiologa nie omieszkano dodać adnotacji: „Głowa inteligentnego polskiego masowego mordercy". Jego żonę Halinę więziono w KL Auschwitz-Birkenau i Ravensbrück, a ich córki – pięcioletnią Alodię i czteroletnią Darię – wywieziono do obozu dziecięcego w Łodzi, gdzie po przejściu selekcji rasowej poddane zostały germanizacji w ośrodkach Lebensbornu w Kaliszu i Połczynie-Zdroju. Ostatecznie po zmianie nazwiska na Wittke jako „dzieci niemieckie" przekazano je do adopcji rodzinom w Meklemburgii i Austrii. Halina Witaszek przeżyła obóz i odnalazła córki. Pozostałą trójkę jej dzieci ukrywali w czasie wojny krewni.

eprasa.pl 48b912c059

Zemsta hitlerowców dosięgła też innych rodzin „witaszkowców", w tym i „dzieci terrorystów". Rodzice Jurka zginęli – ojciec w obozie Mauthausen-Gusen, matka w KL Auschwitz-Birkenau. Podczas jednego z karnych apeli, 14 stycznia 1944 roku, okazała się ona ostatnią spośród dziesięciu więźniarek wybranych do gazu. Prowadzona na śmierć zdążyła jeszcze zawołać do uwięzionej wraz z nią szwagierki Anieli, by zaopiekowała się dziećmi. Jedenaście dni wcześniej w Auschwitz zginęła też babcia Jurka ze strony mamy. Niemcy aresztowali nawet jej siostrę, która przed gniewem hitlerowców uciekła z podpoznańskiego Mosina do Białki na Lubelszczyźnie. W kaplicy basztowej lubelskiego zamku, dokąd trafiła, ludzi zamęczano na śmierć, bijąc po piętach. Wielu nie przeżyło tych tortur. Ciotka Jerzego wywieziona została stamtąd najpierw do obozu w Oranienburgu, a potem do Ravensbrück. Przeżyła, choć straciła zdrowie i była niezdolna do pracy. „Z całej naszej rodziny w związku ze »sprawą mosińską« aresztowano osiemnaście osób – wspomina Jeżewicz. – Jednego dziadka Niemcy zamordowali w poznańskim Forcie VII, drugiego zatłukli kijami, gdy w obozie w Żabikowie schylił się po marchewkę. Przeżyliśmy: ja, Edek, ciocie od strony taty: Gabrysia, Aniela i Sabina (Sabina jednak zmarła zaraz po wojnie) oraz rodzeństwo mamy – jej siostra Marysia i brat Ignacy. Ignacy też był w Auschwitz. Jako zawodowy stolarz od 1942 roku stawiał pierwsze baraki w Birkenau, dzięki czemu pewnie przetrwał do wyzwolenia obozu, ale po nim nie przypominał już człowieka".

Koniec piekła polskich dzieci

Tymczasem wojna dobiegała końca, a do Łodzi napływały wieści o zbliżającym się froncie. 18 stycznia 1945 roku zagrożeni klęską Niemcy zdecydowali się opuścić obóz. Dzieci zamknęli w dwóch blokach, a sami czym prędzej odjechali, zniszczywszy uprzednio całą dokumentację poświadczającą ich zbrodnie. Dopiero gdy zniknęli, niedorośli więźniowie obozu zaczęli powoli opuszczać miejsce swej niewoli. 19 stycznia był tym dniem, w którym doczekali się wolności. Około 800 wystraszonych dzieci i nastolatków wyległo na ulice Łodzi. Część z nich przygarnęli mieszkańcy miasta, innymi zajęło się miejskie pogotowie opiekuńcze. Te najbardziej nieufne ukryły się w opustoszałych sklepach i mieszkaniach. Były też takie, które odważyły się same wracać do domu. Wśród nich znalazła się Ula Grenda, która wraz z braćmi i dwójką innych współwięźniów pokonała pieszo trasę z Łodzi do Poznania, nie bojąc się wędrować przez zamarzniętą Wartę.

Tego dnia braci Jeżewiczów w Łodzi nie było. Jeszcze w sierpniu 1944 roku Niemcy odesłali ich do obozu w Potulicach, by ukryć fakt bezprawnego więzienia maluchów w prewencyjnym obozie dla młodzieży. W nowym miejscu groziła im śmierć z rąk hitlerowców zamierzających przed dotarciem frontu ewakuować obóz. Zdrowszych i silniejszych ustawiali do marszu, a chorych i słabych, w tym najmłodszych, zamierzali spalić w jednym z baraków. Na szczęście nie zdążyli. Uratowani bracia trafili najpierw pod opiekę sióstr zakonnych, a potem bezdzietnego małżeństwa Cabańskich. W końcu odnalazła ich rodzina – Edkiem zajęła się ciocia Gabriela, a Jerzym – wujostwo Maria i Franciszek z Białki. Bracia zostali rozdzieleni. Ich rozłąka z niewiadomych przyczyn trwała aż 12 lat, po czym nastąpiło szczęśliwe odnalezienie.

Rany, które nigdy się nie goją…

Gdy Jurek opuszczał obóz, miał „krzywe nogi, dużą głowę i wydęty brzuch". Jego ciało pokryte było wrzodami, z oczu i uszu ciekła ropa. Cierpiał na powtarzające się krwotoki i wypadanie odbytnicy. Długo leczył rany po wszach, które przez kilkanaście miesięcy żerowały na jego skórze. Najpoważniejszym problemem były wrzody żołądka i dwunastnicy, z którymi walczył do czterdziestego roku życia. Po badaniu ultrasonografem lekarz stwierdził, że „tu nic nie jest na swoim miejscu! Wszystko pokiereszowane".

Mimo upływającego czasu poobozowe rany Jerzego Jeżewicza, zarówno te fizyczne, jak i psychiczne, nigdy się nie zabliźniły. Piekło, przez jakie przeszedł w dziecięcym obozie koncentracyjnym, odcisnęło niezatarte piętno na jego psychice. Z traumy tej nigdy się nie wyleczył. Opisane przez niego doświadczenia są tożsame z summą przeżyć tysięcy innych dzieci z ulicy Przemysłowej. Jego głos jest ich głosem.

„Długo nie mogłem mówić o obozie – wyznaje – […]. Nawet kiedy mi się śni – a obóz najczęściej wraca nocą – […] męczą mnie wówczas te same demony lęku, które narodziły się w obozie i które na długie lata zdominowały moją osobowość. Długo nie mogłem mówić o obozie również dlatego, że trauma odbiera możliwość samego mówienia. U byłych więźniów lekarze często stwierdzali afazję. Obóz jednak od zawsze we mnie tkwi – z nim kojarzą się wspomnienia najwcześniejszego dzieciństwa. Z mojego ciała, pełnego poobozowych ran, czytać można jak z pamiętnika. Obozu nie mogę z siebie wydrzeć, wrósł we mnie i wciąż się mną żywi niczym nowotwór". ■

Źródła: M. Odrobińska, „Dzieci wojny. Mali Polacy, którzy ocaleli. Prawdziwe historie", Kraków 2022; E. Karpińska-Morek, A. Waś-Turecka i in., „Teraz jesteście Niemcami. Wstrząsające losy zrabowanych polskich dzieci", Kraków 2018.

eprasa.pl 48b912c059

Dariusz Jarosiński

Niemcy w szponach demonów

Powstały setki książek na temat III Rzeszy Niemieckiej – najbardziej ponurego, mrocznego okresu w historii Europy. Autorzy próbowali dociec, jak mogło dojść do tego, że w sercu Europy w XX wieku, w Niemczech, w tzw. cywilizowanym kraju, zrodziło się totalne zło. Jak to było możliwe, że nowoczesne i kulturalne społeczeństwo ogarnęło zbiorowe szaleństwo? Przerażają ogrom zbrodni oraz opętańcza ideologia, która zawładnęła umysłami tak wielu ludzi. Przeraża pogarda, z jaką traktowano drugiego człowieka.

FOT. WIKIPEDIA

Dziennik lat trwogi. Świadectwo wewnętrznej emigracji" Friedricha Reck-Malleczewena (wyd. I, PIW, Warszawa 2024) wnosi do naszej wiedzy o niemieckim społeczeństwie być może więcej niż grube tomy utytułowanych historyków czy socjologów. Jest wyjątkowym, bo powstałym w tamtym czasie, konkretnie od maja 1936 do października 1944 roku, a nie *ex post* „świadectwem spodlenia narodu niemieckiego", jak sam je nazywa autor. Hannah Arendt uznała nie bez powodu „Dziennik" za jeden z najważniejszych dokumentów doby hitleryzmu. Dzieło rzadko spotykanej uczciwości intelektualnej.

Autor dziennika z wykształcenia był lekarzem, z wyboru zaś pisarzem i dziennikarzem, krytykiem teatralnym. Miał skrystalizowane poglądy polityczne – to konserwatysta, monarchista, wróg postępu, zaciekły przeciwnik narodowych socjalistów. Uważał, że historycznym punktem zwrotnym w dziejach Europy był zamach na chrześcijański ład średniowieczny – kiedy w XVI wieku doszło do rewolucji intelektualnej, nazywanej renesansem i reformacją. Były to początki ubezwłasnowolnionego masowego człowieka; miejsce „homo religiosus" zajął człowiek renesansu, poddający się „popędom instrumentalnym i komercyjnym", „zainteresowany »poprawą« swoich warunków życia", w którego życiu Pan Bóg zszedł na dalszy plan.

Z mazurskiej wioski w świat

Wioska Maleczewo leży na Mazurach nieopodal Ełku. To tam w 1884 roku, w ówczesnych Prusach Wschodnich, urodził się Friedrich (Fritz) Reck. Od nazwy mazurskiej wioski przyjął drugi człon swego nazwiska – Malleczewen. Założycielem wioski był Heronim Malecki, XVI-wieczny polski pastor luterański, wydawca, tłumacz i drukarz, zasłużony dla szerzenia literackiej polszczyzny na Mazurach.

Ojciec pisarza, Hermann Reck, był właścicielem ziemskiego majątku, konserwatywnym politykiem, m.in. sprawował mandat posła z ramienia Niemieckiej Partii Konserwatywnej w sejmiku prowincjonalnym Prus Wschodnich, a w latach 1912–1918 w Reichstagu. Matka, Emma Pietschmann, pochodziła z austriackiej rodziny wyznania rzymskokatolickiego. Fritz od najmłodszych lat przejawiał zainteresowanie muzyką, sztuką, literaturą, filozofią. W 1904 roku ukończył Królewskie Gimnazjum w Ełku i po krótkiej, kilkumiesięcznej przygodzie z wojskiem, studiował medycynę w Królewcu, Jenie, Insbrucku. W 1908 roku, jeszcze będąc na studiach, ożenił się wbrew rodzicom ze studentką muzyki Anną Büttner, pochodzącą z niemieckiej rodziny zamieszkałej w Kurlandii. Ze związku tego urodziło się czworo dzieci: trzy córki i syn, który zaginął w czasie wojny.

eprasa.pl 48b912c059

W 1911 roku Reck ukończył studia medyczne. Po uzyskaniu dyplomu pracował jako asystent na Uniwersytecie w Królewcu, a także prowadził praktykę lekarską. Przez cztery miesiące 1912 roku pływał na statku parowym wzdłuż zachodnich wybrzeży Ameryki Północnej i Południowej jako lekarz okrętowy. Nie czuł jednak powołania do bycia doktorem. Za namową żony rozpoczął współpracę dziennikarską z dwiema niemieckimi gazetami – „Ostpreussische Zeitung" i „Süddeutsche Zeitung". W 1912 roku zamieszkał z rodziną w Bawarii, w mieście Pasing położonym nieopodal Monachium, dzisiaj jest to dzielnica stolicy Bawarii. W 1930 roku pisarz się rozwiódł. Rok 1933 był bardzo ważny w życiu Friedricha Recka – po dojściu do władzy Hitlera zdecydował się przejść na katolicyzm. Wpływ na podjęcie tej decyzji miało zapewne kilka przyczyn – jego matka była katoliczką, nie bez znaczenia był też fakt, że utożsamiał się ze stanowiskiem arcybiskupa Monachium, kardynała Michaela von Faulhabera, który w listopadzie 1930 roku (dwa miesiące po pierwszym sukcesie NSDAP w wyborach do Reichstagu) powiedział w jednej ze swoich homilii: „Narodowy socjalizm jest herezją nie do pogodzenia z chrześcijańskim światopoglądem", rok później biskupi bawarscy zakazali katolikom przynależności do NSDAP.

W tymże 1933 roku zakupił 11-hektarową posiadłość Poing niedaleko miasta Truchtlaching w regionie Chiemgau w Bawarii. Tutaj mieszkał do czasu aresztowania. W 1935 roku ożenił się po raz drugi. Reck lubił Bawarię. Uważał, że jedynie bauerzy bawarscy nie utracili do końca zdrowego rozsądku. Oni nie uznali, jak zdecydowana większość narodu, polityki niemieckiej polegającej na „kradzieży z włamaniem" – jak określał – za sukces. Chociaż w III Rzeszy istniał obowiązek niemieckiego pozdrowienia „Heil Hitler!", to jednak w Bawarii na prowincji nadal mieszkańcy pozdrawiali się „Grüß Gott!" (szczęść Boże!) – co bardzo radowało pisarza.

Reck debiutował w 1915 roku książką przeznaczoną dla młodzieży pt. „Razem z admirałem Spee". W sumie napisał 15 powieści, wiele opowiadań, książki biograficzne, utwory sceniczne i wiersze. Jego powieść „Bomby w Monte Carlo" została zekranizowana w 1931 roku. Reck był pisarzem poszukującym w historii wyjaśnienia współczesnych jemu zjawisk społecznych, kulturowych. Jego książki historyczne, biograficzne, w większości adresowane do młodzieży, niepozbawione wątków sensacyjnych, pisane dla zarobku, czego nie ukrywał, podejmowały jednak tematy ważkie. Choćby powieść „Jean Marat. Przyjaciel ludu" (1929) była ciekawym studium rewolucji francuskiej o tym, jak może być nakręcana spirala zbrodni, do czego prowadzą chore ideologie stworzone przez człowieka po odrzuceniu wiary w Boga.

W październiku 1944 roku Reck zanotował w swoim dzienniku, że władze hitlerowskie stały się wobec niego podejrzliwe. 13 października został aresztowany i oskarżony o „podważanie morale sił zbrojnych", za co groziła kara śmierci na gilotynie. Po kilku dniach został po niespodziewanej interwencji generała SS zwolniony. Jednak 31 grudnia trafił ponownie do aresztu, a następnie do obozu koncentracyjnego w Dachau pod zarzutem „obrazy niemieckiej waluty". Jak się później okazało, Recka zadenuncjował do gestapo jego wydawca, Alfred Salat. Pisarz w liście do wydawcy skarżył się, że inflacja obniża mu wartość honorarium. To wystarczyło, by w lutym 1945 roku został zamordowany.

W roku 2014 został wraz ze swoją drugą żoną Irmgardą von Borcke umieszczony na liście Sprawiedliwych wśród Narodów Świata za uratowanie trzech kobiet pochodzenia żydowskiego, które ukrywali w swojej posiadłości.

Horda neandertalczyków

Dziennik rozpoczyna się od kilku zabawnych anegdot na temat Oswalda Spenglera, historyka i filozofa, autora „Zmierzchu Zachodu", przyjaciela Recka, który w 1936 roku zmarł w Monachium. Życie pod rządami nazistów nazywał Reck życiem w bagnie. „Moje życie w tym bagnie trwa już prawie pięć lat. Od ponad czterdziestu dwóch miesięcy moje myśli przesycone są nienawiścią, idę spać, czując nienawiść, mam sny pełne nienawiści i z nienawiścią się budzę… Duszę się, uświadamiając sobie, że jestem więźniem hordy złych małp, i łamię sobie głowę, daremnie próbując rozwiązać zagadkę: jak to możliwe, że ten oto naród, który przed paroma zaledwie laty tak zazdrośnie strzegł swoich praw, w ciągu jednej nocy zapadł w letarg, i teraz cierpliwie znosi nie tylko rządy wczorajszych ludzi bez zajęcia, lecz również – i to jest największy wstyd – zupełnie nie odczuwa własnej hańby jako hańby".

Od najmłodszych lat dzieci niemieckie podlegały nazistowskiej tresurze w różnych organizacjach. Reck pisał o przypadkach denuncjowania rodziców przez dzieci za ich postawę polityczną. Był wstrząśnięty zaobserwowaną sceną, jak kilkunastoletni chłopak, członek Hitlerjugend, z wściekłością zerwał krzyż ze ściany wiszący w szkolnej klasie i wyrzucił go przez okno na ulicę z okrzykiem: „Tam jest twoje miejsce, ty świński Żydzie!".

Autor dziennika bardzo cenił pracę Ortegi y Gasseta „Bunt mas" wydaną w 1930 roku. Ona pomogła mu w zrozumieniu zachowań, reakcji niemieckiego społeczeństwa. Człowiek masowy – zdaniem hiszpańskiego myśliciela – nie wymaga od siebie, nie zadaje pytań, nie wątpi. Celem masy jest trwanie – człowiek masowy żyje, aby żyć. Masę stanowią ci wszyscy, którzy czują się „tacy sami jak wszyscy". Człowiekiem masowym może być generał, arystokrata czy służąca.

Autor dziennika z niepokojem obserwował, jak niemiecki człowiek masowy dał sobie odebrać Boga, wyzbył się wartości. Duchowa próżnia człowieka masowego z łatwością przyjmowała ideologię nazistów. Reck dobrze ro-

eprasa.pl 48b912c059

zumiał, że społeczeństwo bez norm, wartości staje się stadem barbarzyńców. Pisał o tych ludziach z pogardą: „Masy tyrają, trawią, śpią ze swymi tlenionymi połowicami i płodzą potomstwo, by mrowie termitów żyło nadal, powtarzają bezmyślnie hasła Wielkiego Manitu [chodzi o Hitlera – przyp. D.J.], denuncjują albo stają się obiektem denuncjacji, umierają albo są unieszkodliwiane i tak wegetują, nie czerwieniąc się zresztą nawet na myśl o dziedzictwie ojców, pomnikach przeszłości, klejnotach koronnych swej kultury. Nieznośne nie jest to, że to wszystko istnieje – ta horda neandertalczyków zalewająca świat. Nieznośne jest to, że owa horda domaga się od tych niewielu jeszcze wartościowych osobników, jacy pozostali, by oni też stali się neandertalczykami, w przeciwnym razie sprzeciw z ich strony będzie ukarany ich fizyczną zagładą".

Zapiski w dzienniku przepełnione są grozą, nienawiścią. Reck starannie dobiera słowa portretując Hitlera, którego notabene kilka razy spotkał w Monachium jeszcze przed wybuchem wojny. Co pewien czas nie znajdując racjonalnego wytłumaczenia, powtarza: „Szatan zerwał się z łańcucha, weszła między nas armia demonów. Ten naród jest umysłowo chory. Cena za to będzie wysoka".

22 września 1939 roku Reck otrzymał list od znajomego pilota, który wrócił do domu z „akcji powietrznych nad Polską" – jak się wyraził – czyli z napaści na Polskę. Wrócił niezmiernie z siebie zadowolony, dumny, „pozostawiając po sobie miejsca śmierci". „[…] wojna z Polską była moją wojną, długo oczekiwaną, upragnioną, w której chętnie wziąłem udział. Byłem szczęśliwy, że to przeżyłem". Mniej więcej w tym tonie jest cały list – w każdym razie jak się go czyta, skóra cierpnie na plecach. Jak nisko trzeba upaść, kim trzeba być, żeby czerpać radość, dumę z zabijania, mordowania bezbronnych, niewinnych ludzi. Reck sam sobie zadaje pytanie i odpowiada na nie: „Czy napisał to bandyta, przestępca, który umknął przed wymiarem sprawiedliwości? Nie, napisał to ktoś, kto w cywilu jest dobrym i absolutnie spokojnym młodym człowiekiem o błyszczących, niebieskich oczach i zawsze chłopięco brzmiącym śmiechu i kto pochodzi z dobrej mieszczańskiej, reńskiej rodziny z określonymi tradycjami i ambicjami kulturalnymi".

Rok 1940 był okresem sukcesów niemieckiego wojska podbijającego Europę. Notował: „[...] cały naród pijany sukcesem politycznej kradzieży z włamaniem, widzę pospólstwo, które wyje z rozkoszy na ociekających krwią kronikach filmowych i które bije brawo, kiedy z eksplodujących czołgów niczym żywe pochodnie wyskakują ludzie płonący jasnym płomieniem".

Wizyty w kinie kończyły się podobnymi komentarzami: „Ja, jako człowiek wychowany w dyscyplinie i obowiązku, siedząc wśród okrzyków wiwatu kinowego pospólstwa, nigdy nie wstydziłem się tak mojego narodu, jak wtedy, gdy patrzyłem na ekranie na podskakującego Führera. Wstałem i wyszedłem. Ponieważ zauważono ten mój gest niesmaku, z lewej i z prawej podniosły się głosy kąśliwych łajań. Oczekiwano ode mnie daniny oklasków dla tego podskakującego plugastwa. Gdybym jeszcze mocniej, niż to uczyniłem, wyraził swe odczucia, zostałbym zlinczowany".

Pisarz nie miał najmniejszych wątpliwości, że Hitler w pierwszym dniu wojny podpisał wyrok na siebie, a odnoszone zwycięstwa, tak bardzo celebrowane, przynoszące radość niemieckiemu pospólstwu, zamienią się w potworną klęskę, katastrofę. Reck czuł się bardzo osamotniony wśród „otumanionego i zaślepionego narodu".

Nawet w październiku 1944 roku, kiedy niemieckie wojska dostawały porządnego łupnia, a niemieckie miasta bombardowane były przez aliantów, Niemcy nadal wierzyli we wszystko, co głosiła propaganda, w geniusz Hitlera. Reck pisał o nich „horda troglodytów odmóżdżona i zezwierzęcona". Uważał, że „w Niemczech żyje najbardziej diabelski motłoch na świecie", panuje „gigantyczna psychoza, niepojęte zamroczenie mas".

▶ Szatan i demony

Zdaniem Recka Hitler nie był twórcą nazizmu, a jego wytworem. Korzenie nazistowskiego szaleństwa tkwiły głęboko w historii Niemiec, niemieckiej mentalności – to wynik sekularyzacji państw niemieckich, stworzenia „człowieka masowego", triumfu drobnomieszczaństwa. Hitler według Recka był człowiekiem opętanym manią nieustannej modernizacji; to modernizacja, pęd ku nowoczesności, postęp stały się fundamentem ludobójstwa. W ideologii nazistowskiej dominował pruski duch, pruski socjalizm. „Wszystko, co przyniósł nam los – zniszczenie wszystkich społecznych podstaw, niezbędnych do tego, by Niemcy mogły być zdrowe, bezpostaciowość narodu, amerykanizacja sięgająca czasów wczesnego Wilhelma II – bierze początek z konkubinatu pruskiej oligarchii z kapitałem przemysłowym". Przemysł niemiecki posłużył m.in. do stworzenia obozów koncentracyjnych, zabijania na masową skalę w komorach gazowych.

O historii pisał jako o potwornej materii, która co pewien czas prowadzi do straszliwych aktów oczyszczania się, która musi krwią oczyścić ropiejące duchowe wrzody. Uważał, że innej historii nie ma. Ludzkość może uratować jedynie zwrócenie się ku religii, ku Bogu.

Twierdził, że świat podziemny od czasu do czasu rodzi szatana, który rozsadza pokrywę z puszki Pandory i umożliwia wymknięcie się złym duchom, demonom. Taki czas nastał wraz z przyjściem do władzy Adolfa Hitlera i III Rzeszy. Tylko obecnością demonów, złych duchów i szatana potrafił wytłumaczyć, że „wszystko przeszło bez oporu przyzwoitych ludzi w tym w gruncie rzeczy porządnym, trzeźwo myślącym i pracowitym narodzie". „To wszystko dzieje się w naszym wesołym, w gruncie rzeczy łagodnym

eprasa.pl 48b912c059

mieście, w którym jeszcze przed ćwierćwieczem panował wytworny, stary patriarcha niczym dawny regent! Jest naprawdę tak, że w Niemczech zerwał się z łańcucha szatan [...]".

Reck nie był jedynym pisarzem, który potworność świata upatrywał w działaniu szatana. Znanym przykładem w literaturze jest Tomasz Mann i jego „Doktor Faustus", powieść, którą pisał na emigracji w latach 1943–1947. Według niektórych krytyków literatury życie artysty Adriana Leverkühna, uwiedzionego przez szatana, jest metaforą hitlerowskich Niemiec. „O Niemcy, spadacie w przepaść, ja zaś wspominam nadzieje wasze!" – czytamy w powieści Manna. Pisarz nie dał jednak odpowiedzi, dlaczego naród „poetów i myślicieli", który w „przeszłości wzbijał się na wyżyny ducha", pogrążył się w morderczym obłędzie.

III Rzesza jak Münster

W 1937 roku ukazała się książka Recka „Bockelson. Historia masowego szaleństwa". Przedstawiała ona historię radykalnej sekty religijnej anabaptystów, fanatycznych komunistów, powstałej w wyniku zainicjowanej przez Marcina Lutra rewolucji w Kościele katolickim w 1517 roku. Sekta anabaptystów opanowała w 1534 roku 10-tysięczne miasto – państwo Münster w Westfalii. Na czele anabaptystów stanął Jan Bockelson, 25-letni krawiec pochodzący z Holandii, który najpierw ogłosił się prorokiem, a później królem Syjonu, posiadającym władzę nad wszystkimi narodami Ziemi. W Münster, jako Nowym Jeruzalem, został wprowadzony totalitarny komunizm. Katolików i luteranów wypędzono z miasta. Wprowadzona została wspólna własność, mieszkańcy musieli oddać pieniądze „grupie trzymającej władzę", skonfiskowano z domów jedzenie, racjonowano je wedle uznania liderów anabaptystów. Brak wykształcenia był powodem do dumy. Bockelson wprowadził obowiązkową poligamię, seks z „bezbożnikiem" karany był śmiercią. Lider anabaptystów posiadał harem 15 żon. W ciągu kilku miesięcy konserwatywne do niedawna, purytańskie miasto stało się rozwiązłą komuną. W czerwcu 1535 roku niemieccy władcy przywrócili władzę biskupa katolickiego w Münster.

Reck dostrzegał duże podobieństwo między tym, co się działo w mieście – państwie Münster – a sytuacją w III Rzeszy. Według niego, na przykład obaj przywódcy totalitarnych ruchów byli prymitywni, niedouczeni, ale obdarzeni charyzmą, i jedni, i drudzy tzw. porządni mieszkańcy przyzwalali na zło, szybko też ulegali szaleńczej ideologii. Państwo Hitlera różniło się od Münster jedynie skalą ze względu na nowe technologie, możliwości dotarcia do większej liczby osób. Reck uważał, że Niemcy są podatni na zniewolenie.

Pisał w 1936 roku w dzienniku, a więc kiedy jeszcze nie dochodziło do tych najbardziej potwornych zbrodni niemieckich, ale już obserwował szaleństwo swoich ziomków: „Ja tymczasem, pracując nad książką o münsterskim mieście – państwie anabaptystów, wczytuję się, głęboko wstrząśnięty, w średniowieczne przekazy dotyczące tej prawdziwej niemieckiej herezji, która pod każdym względem, a nawet w najśmieszniejszych szczegółach, wyprzedza to, z czym mamy do czynienia w tej chwili. Podobnie jak dzisiejsze nazistowskie Niemcy, również i tamto münsterskie państewko anabaptystów oddzieliło się na wiele lat od cywilizowanego świata [...]. Tak jak u nas, również i tam wielkim prorokiem był nieudacznik, bękart z rynsztoka, tak u nas topniał przed nim – co dla zdumionego otoczenia jest rzeczą niepojętą – wszelki opór, jak u nas (bo właśnie niedawno w Berchtesgaden oszalałe kobiety połykały ziemię, na której on, nasz najłaskawszy prymas cygański [chodzi o Hitlera – przyp. D.J.], dopiero co postawił swoją stopę!)... jak u nas zatem histeryczne kobiety, lekceważeni wcześniej nauczyciele szkółek ludowych, zbiegłe klechy, awansujący stręczyciele i czarne owce tkwiące we wszelkich zawodach były głównymi podporami tego reżimu. Podobieństwa nasuwają się tak sugestywnie". „Płaszczyk ideologii, tak jak właśnie u nas, osłania w Munsterze jądro, którym były wybujałe żądze, chciwość, sadyzm i bezbrzeżne ambicje [...].

Nigdy nie jest syty ten naród

Reck-Malleczewen uważał, że wielkim nieszczęściem było zjednoczenie Niemiec pod przewodnictwem Prus przez Otto von Bismarcka w 1871 roku. Prusy doprowadziły do zjednoczenia Niemiec właściwie przez podbój, zostały zszyte – jak pisał Reck – „wbrew geografii". Katolickie południe opierało się wpływom Prus i zjednoczeniu. Silne militarnie państwo pruskie, dobrze zorganizowane, narzuciło kilkudziesięciu państewkom niemieckim swój dyktat. Bismarck zapewnił II Rzeszy znaczącą pozycję na arenie międzynarodowej, jednak równocześnie Niemcy stały się agresywnym państwem imperialistycznym.

Reck nienawidził Prusaków, szczególnie tych panoszących się w Bawarii, „okupujących Monachium", „niegdyś radosne i eleganckie miasto". Krytykował, i to niezwykle ostro, prusacką chciwość niemieckich koncernów, chciwość zagarniania świata. Nie znosił Berlina, stolicy Prus, wizyt w tym mieście, uważał je za tandetne, zaniedbane, płytkie kulturowo. Hitlera nazywał imitacją Prusaków.

„Nigdy nie jest syty ten naród: pozbawiony szlifu, pozbawiony formy, pozbawiony wszystkiego, co człowiekowi sprzyja i co mu się podoba, pragnący tylko jednego – więcej i więcej" – cytował w dzienniku Theodora Fontane, XIX-wiecznego pisarza, Prusaka „czystej krwi". „A gdy się wreszcie nasyci, odsuwa nadmiar na bok i biada temu, kto by to tknął. To naród piratów, który terenem wypadów uczynił ląd. Lecz zawsze przy akompaniamencie Te

eprasa.pl 48b912c059

Deum, dla chwały Boga, wiary albo najwyższych wartości. Bo w tym kraju haseł na sztandarach nie brakło nigdy". Autor dziennika zresztą sam był Prusakiem urodzonym w Prusach Wschodnich.

Reck był przerażony zbrodniczą ideologią narodowo-socjalistyczną, a jeszcze bardziej tym, jak chętnie Niemcy ją akceptują oraz „sprusaczeniem" Niemiec. Nie miał żadnych wątpliwości, do czego są zdolni Prusacy, że doprowadzą do wojny w Europie, drugiej już w XX stuleciu. Przeczuwał nadciągającą katastrofę. A pisał to w 1937 roku: „To, co dziś jest jeszcze problemem Niemców, będzie jutro problemem Europy, ba, problemem całego globu. Maluczko, a Europa będzie musiała zdecydować, czy pozwoli się zalać szarą pruską śniedzią, czy też zacznie chronić bijące serce przed tą niewielką kolonią, która ogarnięta szaloną manią wielkości rości sobie prawo do władzy". Warto te słowa zapamiętać, bo są niepokojąco aktualne. Kiedyś Hitler musiał toczyć wojnę, chcąc podbić Europę, obecnie politycy niemieccy podporządkowują ją sobie bez jednego wystrzału.

Przez pewien czas Reck liczył, że szlachta pruska, służąca w SS, Gestapo, SA, zdobędzie się choćby na jakiś gest, by powstrzymać szaleństwo Hitlera, aby przynajmniej nie pozwolić „zbrukać do końca swoich rodowych herbów", jednak w styczniu 1940 roku zanotował: „całość pruskiej szlachty: kloaka".

Reck oczywiście odnotował w dzienniku zamach na Hitlera przeprowadzony przez grafa Klausa von Stauffenberga 20 lipca 1944 roku. Nie uważał, by zamach miał cokolwiek wspólnego z chrześcijańskimi motywami moralnymi, według niego był to zamach stanu, którym gardził, choć niczego tak bardzo nie pragnął, jak śmierci Hitlera.

Pisał 21 lipca z goryczą: „Cokolwiek za późno, panowie, którzy stworzyliście arcyniszczyciela Niemiec, którzy za nim podążaliście, dopóki wszystko zdawało się iść w dobrą stronę, którzy, będąc oficerami monarchii, złożyliście mu, każdy z was, bez skrupułów, wymaganą przysięgę na wierność, zniżając się w ten sposób do roli nędznych mameluków tego zbrodniarza odpowiedzialnego za sto tysięcy mordów, za lament i złorzeczenie świata, a teraz go zdradzacie, jak przedwczoraj zdradziliście monarchię, a wczoraj republikę. Bez wątpienia powodzenie tego zamachu uratowałoby nas, uratowałoby resztki substancji tego nieszczęsnego narodu; boleję, jak cały ten kraj, nad fiaskiem waszego spisku. Ale wiedzieć, że jesteście przyszłymi reprezentantami Niemiec, szerzycielami tej pruskiej herezji, która wreszcie zaczyna tracić swój impet jako wieczna sprawczyni nieszczęść, jako prawdziwe odium generis humani? Mój sposób myślenia kształtuje oczywiście nieistniejący już w Niemczech konserwatyzm – zostałem spłodzony w czasach monarchii, wychowany w stylu przyjętym w monarchii i istnienie monarchii jest mi niezbędne dla dobrego fizycznego samopoczucia".

Naród pachołków

W Bawarii mieszkał Ernst Wiechert, pisarz, podobnie jak Reck pochodzący z Mazur. Tak samo jak Reck należał do nielicznej grupy pisarzy wewnętrznej emigracji w okresie III Rzeszy. Byli niemal rówieśnikami – Reck był starszy o trzy lata od Wiecherta. Obaj studiowali na Uniwersytecie Albertina w Królewcu, obaj z nostalgią wspominali swoją małą ojczyznę – Mazury. Nie udało mi się dociec, czy pisarze znali się osobiście. Wiechert zamieszkał w Bawarii w 1933 roku, po dojściu Hitlera do władzy. Był bardzo popularnym pisarzem w latach 30. w Niemczech. Jako konserwatysta, człowiek religijny, nie krył swego negatywnego stosunku do obłędnej ideologii nazistowskiej. Podkreślał, że „tam, gdzie obala się Boga, wali się wkrótce i wszystko inne". Kiedy wiosną 1938 roku zaprotestował przeciwko uwięzieniu twórcy Bekennende Kirche (Kościoła wyznającego), ks. Martina Niemoellera, został aresztowany i osadzony w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie. W obozie przebywał dwa miesiące. Po wyjściu z obozu spisał swoje wspomnienia, które po wojnie mogły ukazać się w formie powieści „Las umarłych". Główny bohater, Jan, to alter ego pisarza: „Wiedział, że cały naród w ciągu paru lat stał się narodem pachołków. Pachołkowie na katedrach uniwersyteckich, w sądach, w szkołach, za pługiem, który odkłada ziemię, na mostkach kapitańskich, przed frontem oddziałów wojskowych, za biurkami pisarzy. [...] Nastawała epoka barbarzyństwa i panowanie antychrysta".

Tuż po wojnie poniosła Wiecherta natura moralizatora narodu niemieckiego – czynił to, pisząc artykuły, udzielając licznych wywiadów koncesjonowanym przez okupacyjne amerykańskie wojsko pismom. W 1947 roku, w wywiadzie udzielonym szwedzkiemu dziennikowi „Stockholms Tidningen", stwierdził m.in., że stracił wiarę w przyszłość narodu niemieckiego i jest przekonany, iż od 60 do 70 procent Niemców przyjęłoby z otwartymi ramionami Hitlera, gdyby ten miał ponownie kandydować w wyborach. Publikację książki „Las umarłych" wielu jego rodaków uznało za obraźliwą wobec narodu niemieckiego. Pisarz został okrzyknięty przez opinię publiczną zdrajcą narodu niemieckiego; doświadczył wielu szykan, agresywnych zachowań ze strony Niemców. W jego bawarskim domu wybito mu szyby w oknach. Zmuszony był prosić o ochronę domu amerykańskie władze okupacyjne. W 1948 roku Wiechert udał się na emigrację, zamieszkał w Szwajcarii. Zmarł 24 sierpnia 1950 roku.

Wiechert nie zdecydował się na opuszczenie Niemiec w roku 1933, kiedy większość, przynajmniej liczących się pisarzy niemieckich, wyjechała za granicę, a uczynił to dopiero wówczas, kiedy upadła III Rzesza. Nie mógł się pogodzić z powszechną demoralizacją narodu niemieckiego. Nie miał najmniejszych złudzeń, że proces denazyfikacji był fikcją. ■

eprasa.pl 48b912c059

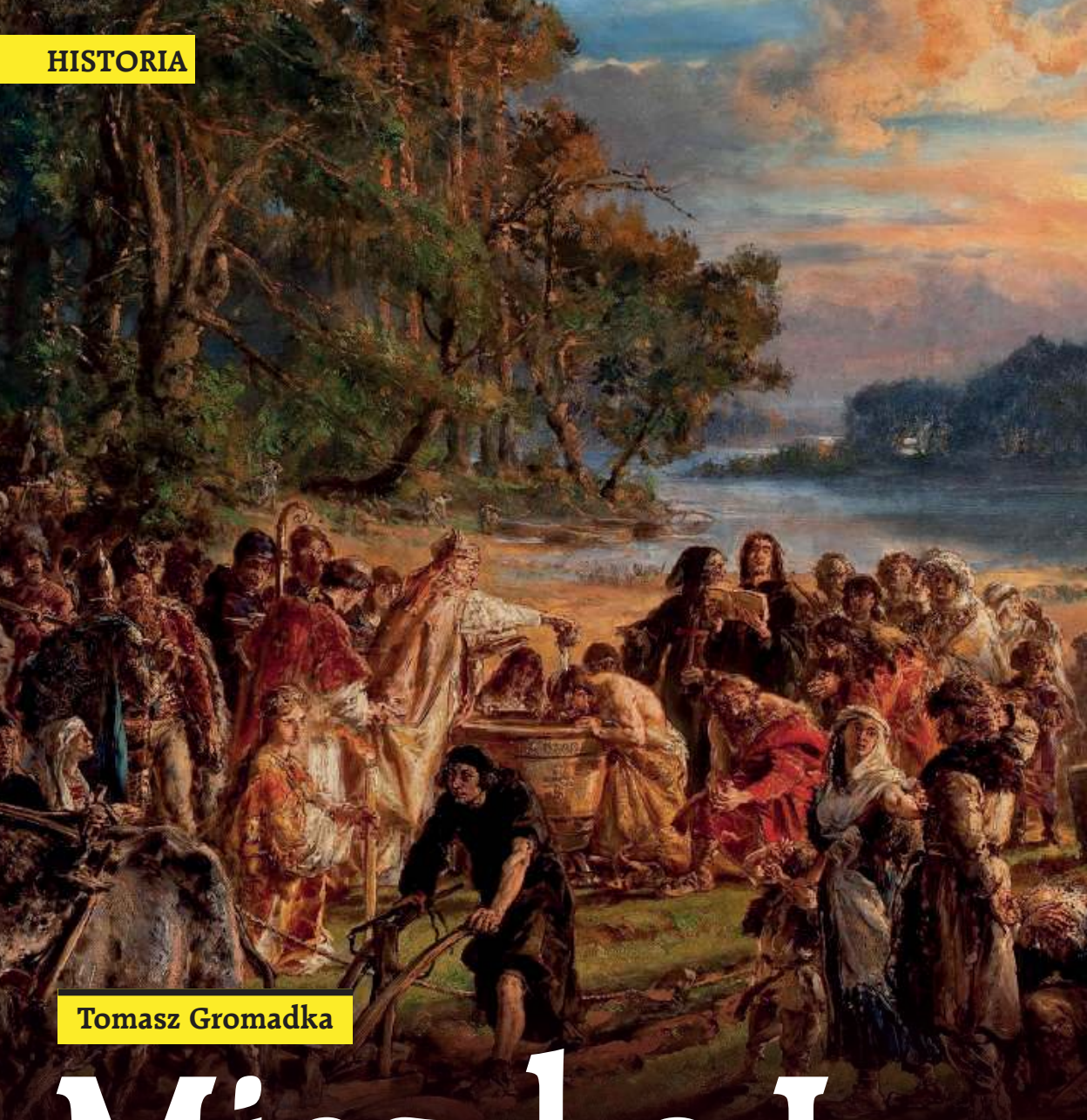

Tomasz Gromadka

Mieszko I
w krainie nieporozumień

„Mesco dux Poloniae baptisatur", czyli „Mieszko, książę Polski, zostaje ochrzczony" – tak, w lakoniczny sposób, autor jednego z roczników opisał pod datą 966 najdonioślejsze wydarzenie w dziejach Polski.

FOT. WIKIPEDIA

Prawie 1000 lat później, w 1921 roku, profesor Uniwersytetu Lwowskiego Stanisław Zakrzewski napisał, że Mieszko „na chrześcijaństwo i Kościół patrzył oczyma księcia-polityka". Z kolei współczesny historyk Jerzy Strzelczyk w podręczniku gimnazjalnym swojego autorstwa przekazywał nowemu pokoleniu Polaków, że „decyzja chrztu była decyzją polityczną".

Skąd się wzięła ta pewność obu uczonych? Pewność o tyle zaskakująca, że Mieszko pozostawił w spadku chrześcijańskie państwo, ale nie pozostawił pamiętnika. Zadziwiła ona amerykańskiego historyka, Philipa Earla Steele'a, który od lat mieszka w Polsce (a także mówi po polsku), autora niewielkiej, lecz bardzo ważnej książki „Nawrócenie i chrzest Mieszka I". Amerykanin pisze: „Zauważyłem, ze w [polskiej] literaturze fachowej nie dopuszcza się możliwości, iż Mieszko mógł się nawrócić na chrześcijaństwo z powodów religijnych. Co ciekawe, zauważyłem, że nawet osoby wierzące nie traktowały Mieszka I jako człowieka autentycznie wierzącego".

Bez wątpienia chrzest Mieszka wpłynął i wpływa nadal na każdy aspekt funkcjonowania Polski – polityczny, kulturowy, duchowy itd. Nie można jednak skutków mylić z przyczynami. Mieszko, który z zachowanych przekazów źródłowych wyłania się jako człowiek o szerokich horyzontach intelektualnych, z pewnością – przynajmniej jako-tako – skutki swego chrztu przewidywał. Nie wiemy jednak, czy to właśnie one je doń skłoniły.

Posłużę się analogią. Gilbert Chesterton, który w 1922 roku wstrząsnął Anglią, przechodząc na katolicyzm, mógł podejrzewać, że skutki jego konwersji – a był wówczas jednym z najbardziej znanych dziennikarzy na wyspie – również będą dalekosiężne. Nie to go jednak do niej skłoniło, ale przeświadczenie, że tylko w Kościele katolickim znajdzie zbawienie. To fakt historyczny i nie ma znaczenia, czy pogląd Chestertona na Kościół był słuszny czy nie. Skoro więc Chesterton nie wstąpił do Kościoła, by wpłynąć na społeczeństwo Anglii, to może i Mieszko chrzest przyjął, po prostu się nawróciwszy?

Rewolucja nad Wartą

Kim był Mieszko? Władzę objął krótko przed przyjęciem chrztu, około 960 roku. Liczyć mógł wówczas 30 lat. Współczesne mu źródła milczą na temat jego młodości czy przodków i dopiero piszący na dworze jego prapraprawnuka, Bolesława Krzywoustego, półtora wieku później pierwszy polski kronikarz Gall Anonim (choć z Galii na pewno nie pochodził, może był Wenecjaninem?), wymienił poczet jego przodków: ojca Siemomysła, dziadka Lestka i pradziadka Siemowita. Ten ostatni miał być synem chłopa Piasta i objąć władzę w Gnieźnie po obaleniu poprzedniego księcia, złego Popiela (lub Pąpiela). Oprócz

Downloaded from ebooks.gazetapolska.pl 6b912c059

mitu dynastycznego o Piaście i Popielu, kronikarz nie miał o przodkach Mieszka do powiedzenia zupełnie nic.

Światło na powstanie państwa Piastów rzuciły dopiero nowoczesne badania archeologiczne. Wykazały one, że między 920 i 940 rokiem w Wielkopolsce doszło do nagłych i dramatycznych wydarzeń. Spalono prawie wszystkie niewielkie gródki, pokrywające obszar tego regionu, a na ich miejscu wznoszono nowe, o wiele większe grodziska. Szczególne natężenie prac przypada na czas około roku 940, kiedy prawie równocześnie powstało pięć największych grodzisk – Gniezno, Bnin, Giecz, Ląd i Grzybowo. Jak pisze historyk Tomasz Jasiński, prace „były prowadzone z tak ogromnym rozmachem, iż ścięto na ternie Wysoczyzny Gnieźnieńskiej niemal wszystką nadającą się do tego dębinę. Budowa tych grodów to wielkie dzieło ówczesnej inżynierii i sztuki budowlanej Polan. Inwestycja prawie na miarę budowy piramidy Cheopsa, jeżeli pamięta się, że budowano równocześnie pięć grodów i w niezwykle krótkim czasie". Kto wie, czy właśnie wtedy – w związku z wytrzebieniem lasów – nie powstała nazwa Polska – kraj pól – na określenie władztwa Piastów…

Archeologia dowodzi wielkich przesiedleń, dokonywanych wówczas w Wielkopolsce. Na obszar ziemi gnieźnieńskiej przesiedlono masy ludności mieszkającej nad Obrą, na zachód od Warty, rozbijając tamtejsze wspólnoty plemienne. Wszystko to historycy wiążą z ekspansją Piastów, którzy widocznie na drodze wojennej rozprawili się z konkurentami. Sama dynastia wywodzić mogła się z Giecza lub Kalisza, dwóch grodów powstałych jeszcze w IX wieku, które jako jedne z bardzo nielicznych uniknęły spalenia w I połowie X wieku, by potem – w czasach już historycznych władców – pełnić naczelne funkcje w państwie.

Mieszko przyszedł na świat w czasie tej wielkopolskiej rewolucji i zapewne widział jej schyłek. Może nawet jako dziecko był świadkiem budowy Gniezna. Tym bardziej zadziwia jego zorientowanie w polityce zagranicznej i umiejętność poruszania się wśród elit chrześcijańskiej Europy. Zadziwia też, że Mieszko – człowiek właściwie znikąd (oczywiście w oczach ówczesnych Europejczyków) – nie wykazywał przejawów żadnych kompleksów wobec tych, którzy już od dawna tworzyli Christianitas.

Państwo, które otrzymał w spadku po ojcu, rozciągało się od Odry po Bug, obejmując Wielkopolskę, Kujawy i Mazowsze, a na północy także jakieś części Pomorza. Narodziło się tak szybko – niczym Atena, wyskakująca w pełnym rynsztunku z głowy Zeusa – że kronikarze państw ościennych nie zdążyli napisać nic o jego powstaniu. Gdy zabrał się do tego Gall Anonim, niewiele już pamiętano.

Mieszko ochrzcił się niedługo po objęciu władzy. Było to w 966 roku, być może w Wielką Sobotę, która wypadała wówczas 14 kwietnia. Rok wcześniej książę wszedł w sojusz z chrześcijańskimi już wówczas Czechami i poślubił tamtejszą księżniczkę Dobrawę. W jej orszaku przybyli pierwsi polscy duchowni. Z Czech przybyło również imię Bolesław, które małżonkowie nadali pierworodnemu synowi, urodzonemu rok po chrzcie, a które nosił ojciec Dobrawy – Bolesław Srogi.

Anachronistyczne zombie z PRL-u

W świadomości Polaków, a także w literaturze, pokutuje do dziś wizja Mieszka, który obawia się niemieckiego „Drang nach Osten" i przyjmuje chrzest, by nie ochrzczono go siłą. Niekiedy wizja ta jest jeszcze mroczniejsza – oto Niemcy dokonują regularnych napaści na Polskę pod pretekstem chrystianizacji, a Mieszko – korząc się przed krzyżem – wytrąca im miecz z ręki.

Obie te wizje – wylansowane przez PRL-owską propagandę – niewiele mają wspólnego z rzeczywistością X wieku. Nie istnieją przekonujące dowody na ani jeden(!) najazd niemiecki przed chrztem, wojny polsko-niemieckie wybuchają natomiast raz po raz już po przyjęciu chrześcijaństwa przez Piastów. Gdzież tu logika? Mieszko nie miał powodu, by widzieć w Niemcach śmiertelnych wrogów. Nie znał przyszłości, a panujący u nich wówczas Otto I nie wywoływał w nim skojarzeń z Ottonem von Bismarckiem. Złowrogi duch Prus jeszcze się wówczas nie narodził. W tej egzotycznej – z punktu widzenia współczesności – epoce królowie Niemiec byli jednocześnie cesarzami rzymskimi i z tego powodu – pierwszymi z monarchów katolickiej Europy.

Cesarz to nie byle kto. To nie władca o znaczeniu większym niż król. Cesarz to w domyśle pan całej ziemi, dlatego na świecie istnieć może tylko jedno cesarstwo, choć władzę w nim można rozdzielić pomiędzy kilka osób, jak się to stało pod koniec starożytności. Cesarski tytuł na Zachodzie przywrócił w 800 roku Karol Wielki. Choć imperium Karola rozpadło się, a na jego gruzach narodziły się Francja i Niemcy, tytuł przetrwał. W 962 roku przyjął go król niemiecki Otto po tym, jak uchronił Europę, rozbijając hordy pogańskich jeszcze Węgrów, znakomitych, lecz okrutnych jeźdźców, którzy pustoszyli kontynent od Bałkanów po Hiszpanię od końca IX wieku.

W domyśle Otto miał panować nad całym chrześcijańskim światem. Nie kwestionowano wówczas tego, że sprawuje władzę również nad papiestwem. Były to czasy przed wielkimi reformami Grzegorza VII i wydawało się naturalne, że Rzym jest kontrolowany przez cesarzy. Toteż gdy Mieszko wchodził do Europy, nie kwestionował ich pozycji. Wiarygodne źródła niemieckie nazywają Mieszka „amicus imperatoris" – „przyjacielem cesarza". Jest to sformułowanie, którego nie należy rozumieć dosłownie. W języku ówczesnej dyplomatyki oznaczało władcę zaufanego, ale jednak w jakiś sposób cesarzowi poddanego.

eprasa.pl 48b912c059

Cesarstwo ówczesne składało się z wielu księstw. Jednym z nich były Czechy. Wielką siłę polityczną posiadali również biskupi. Mieszko był graczem politycznym na tyle umiejętnym, że choć uznawał zwierzchnictwo cesarza, to nie dopuścił do tego, by spaść do roli poddanego niemieckich książąt czy biskupów. Udało mu się doprowadzić do powstania w Polsce w 968 roku biskupstwa misyjnego, podporządkowanego bezpośrednio papieżowi – z pominięciem Magdeburga, najbliższej Polsce stolicy arcybiskupiej w Niemczech. Pierwszym polskim biskupem został Jordan, postać, o której wiemy bardzo mało, być może Włoch lub Francuz. Saski kronikarz Thietmar wymienił go, pisząc o Polakach: „[…] pierwszy biskup Jordan ciężką miał z nimi pracę, zanim niezmordowany w wysiłkach nakłonił ich słowem i czynem do uprawiania winnicy Pańskiej".

Niemcy, poganie i wielbłąd

W połowie X wieku ziemie rdzennie niemieckie od państwa Mieszka oddzielał szeroki pas ziem, zamieszkany przez pogańskich Słowian Połabskich, żyjących między Odrą i Łabą, a gdzieniegdzie nawet na zachód od Łaby. Dzielili się oni na liczne szczepy, ostro wzajemnie skonfliktowane. Wśród nich najsilniejsi byli Obodryci, żyjący nad dolną Łabą, którym udało się stworzyć niewielkie państwo (choć niestabilne), oraz – Wieleci, zamieszkujący Pomorze Przednie (na zachód od Odry) oraz okolice ujścia Odry łącznie z Wolinem. Wieleci stanowili konfederację czterech mniejszych plemion, rządzoną w sposób demokratyczny i opierającą się na fanatycznej wręcz wierności dawnej, politeistycznej wierze.

Podbój Słowian Połabskich na wielką skalę rozpoczął się za panowania Henryka Ptasznika (911–936) i kontynuowany był za rządów jego syna, Ottona I Wielkiego (936–973). Nie prowadziły go Niemcy jako takie, lecz przede wszystkim margrabiowie, czyli zarządcy marchii – jednostek administracyjnych, tworzonych na granicach państwa, obdarzeni przez władcę dużą dozą swobody. Ich zaplecze stanowili natomiast sąsiadujący z Połabiem Sasi, jedno z plemion niemieckich.

W 937 roku władzę w nowo utworzonej Marchii Wschodniej objął margrabia Gero. Rządził nią przez 18 lat, cały prawie ten czas poświęcając na walkę ze Słowianami. W 939 roku zaprosił na ucztę 30 słowiańskich książąt z Łużyc i wszystkich ich otruł (takie okrucieństwa w średniowieczu to rzecz nierzadka). Liczba tych książąt pokazuję skalę rozbicia politycznego połabskich Słowian. Byli to co najwyżej wodzowie leśnych gródków, których nie można nawet porównać z Mieszkiem – panem wielkiego państwa.

Ostatecznie Niemcom udało się zakończyć podbój Połabia dopiero w XII wieku. Język słowiański rozbrzmiewał natomiast nad Łabą jeszcze przez wieki. Do XVIII wieku 160 kilometrów na północny zachód od Berlina, w okolicach Lüneburga, żyły resztki plemienia Drzewian, zachowujące swój rodzimy język. Sama zresztą niemiecka stolica ma bezsprzecznie słowiańską etymologię. W czasach Mieszka na jego terenie wznosił się gród Kopnica – stolica plemienia Sprewian. Pamiątką po jego istnieniu jest nazwa współczesnej dzielnicy Köpenick. Na Łużycach Słowianie żyją do dziś – kilkadziesiąt tysięcy Serbów Łużyckich wciąż zna mowę swoich przodków, choć niestety wiele wskazuje na to, że w ciągu kilku pokoleń może ona zaniknąć. Młodzi chcą mówić po niemiecku.

O tym, jak długo trwał podbój Połabian, piszę, aby dobić hipotezę o niemieckim zagrożeniu i pokazać, że podbój państwa Mieszka przez Niemcy był wówczas całkowicie nierealny. Skoro kilka wieków zajęło Niemcom opanowanie ziem wewnętrznie skłóconych, rządzonych przez słabych wodzów plemiennych, to o ile więcej sił potrzeba byłoby, by zapanować nad Polską, znacznie bardziej scentralizowaną i potężniejszą? Po chrzcie wielokrotnie dochodziło do wojen polsko-niemieckich i Niemcom na ogół nie udawało się w ogóle wedrzeć w głąb państwa Piastów, chronionego przez naturalne bariery w postaci szerokich rzek: Łaby, Odry i Warty, osłaniających od zachodu centrum państwa. Wgłąb Polski weszli tylko w 1005 roku, wspierani przez Czechów i Wieletów. Dotarli jedynie w okolice Poznania, gdzie – zmęczeni walkami i koniecznością forsowania rzek, lasów i bagien – zmuszeni zostali do zawarcia rozejmu i wycofania się.

Mieszko na tyle nie obawiał się Niemców, że nawet wspierał ich w podboju Połabia. Jeszcze rok przed śmiercią wraz z Ottonem III, wówczas dzieckiem, wyruszył przeciwko tamtejszym Słowianom. W trakcie tej wyprawy podarował małemu cesarzowi wielbłąda, być może tym samym zdobywając na zawsze jego serce dla Polski.

Tak jak nie miał powodów dla wrogości wobec Niemców, tak też nie istniały przesłanki, by Mieszko kochał Połabian. Dążył do opanowania ujścia Odry.

Mieszko nie znał przyszłości i nie wiedział, że ziemie Słowian Połabskich zostaną opanowane przez Niemców. Nawet jednak gdyby przyszłość znał, jest wielce wątpliwe, czy chciałby ją zmieniać. Pierwsza wzmianka o nim, zapiska kronikarza Widukinda, mówi bowiem o wielkim zwycięstwie Wieletów. Poganami dowodził wówczas wygnany z Niemiec awanturnik, niejaki Wichman. W latach 963–964 zadał Mieszkowi dwie klęski, a w jednej z nich poległ nawet brat polskiego księcia.

Zwycięstwo w zamian za chrzest

Choć mało wiadomo o tych wydarzeniach, podejrzewać można, że sytuacja Mieszka musiała być poważna, skoro uciekł się on do szukania zewnętrznego sojuszni-

eprasa.pl 48b912c059

ka. To właśnie zagrożenie wieleckie było przyczyną przymierza polsko-czeskiego z 965 roku. W 967 roku Mieszko dzięki wsparciu czeskiej konnicy odniósł spektakularne zwycięstwo. Wróg został rozbity, a sam Wichman poległ.

W historiografii pojawiła się myśl, że przyjęcie chrztu było jednym z warunków sojuszu polsko-czeskiego. Być może rzeczywiście Bolesław Srogi nie oddałby córki za żonę poganinowi, jednak ślub nie był w tamtej epoce konieczny do zawarcia przymierza. Przypadki koalicji chrześcijan i pogan były nader częste. Gdy po śmierci Dobrawy dobre relacje polsko-czeskie miały się popsuć, a w końcu miało dojść do wojny, rządzący wówczas nad Wełtawą Bolesław Pobożny nie zawahał się sprzymierzyć przeciw polskiemu szwagrowi z pogańskimi Wieletami. Z nimi też kilkadziesiąt lat później wszedł w sojusz przeciw Polsce sam władca Niemiec Henryk II, ku ubolewaniu świętego Brunona, też Niemca. „Czy godzi się prześladować lud chrześcijański, a żyć w przyjaźni z pogańskim? – pytał Bruno – Co za ugoda Chrystusa z Belialem?". Bruno jednak został świętym, a powszechne zwyczaje panujące wówczas w Europie, nie odpowiadały wymaganiom świętości. Mieszko naprawdę nie musiał przyjąć chrztu, by uzyskać pomoc Czechów przeciw Wieletom.

Nie oznacza to jednak, że wojna z Wieletami nie miała wpływu na decyzję Mieszka. Możliwe, że książę znalazł się w sytuacji podobnej do tej, która spotkała innego władcę-konwertytę – Konstantyna Wielkiego. Ten nawrócił się po zwycięskiej bitwie w 312 roku, gdy Chrystus dał mu zwycięstwo. Przed bitwą Konstantyn, który spodziewał się porażki, ujrzał w wizji krzyż lub monogram oznaczający Chrystusa, a także napis „In hoc signo vinces" („Pod tym znakiem zwyciężysz"). Kazał więc namalować monogram bądź krzyż (relacje nie są zgodne) na tarczach swych żołnierzy i – po odniesionym zwycięstwie – uwierzył w Chrystusa. Być może w 967 roku po pokonaniu Wieletów Mieszko również składał Chrystusowi dziękczynną modlitwę za odniesione zwycięstwo. Może chrzest był obietnicą, którą złożył w zamian za Boską pomoc?

Zatruta strzała

Mocnym argumentem potwierdzającym tezę o osobistym nawróceniu Mieszka jest fragment dzieła „Żywot i cuda świętego Udalryka biskupa", zredagowanego w latach 80. lub 90. X wieku, a więc współczesnego Mieszkowi i poświęconemu osobie Udalryka, biskupa Augsburga zmarłego w 973 roku. W tekście tym, nienoszącym niestety śladów wysokiego kunsztu literackiego, ale za to wiarygodnym, napisano: „W innym czasie pewien książę Wandalów, imieniem Mieszko, został zraniony w ramię zatrutą strzałą. Gdy poczuł w sobie szkodliwe działanie trucizny, z wielką wiarą i wytrwałością ślubował, że niezwłocznie, gdy tylko będzie mógł, prześle świętemu Udalrykowi jako wotum złote ramię wraz z dłonią. Gdy niebezpieczeństwo natychmiast po złożeniu ślubu minęło, wrócił do swego domu [z pola bitwy? – przypis T. G.] i polecił wykonać ramię według tego, co przyrzekł. Gdy rzemieślnicy wykonali ramię i dodali do niego dłoń, książę całkowicie uwolniony od grożącego mu niebezpieczeństwa, powstał [z łoża? – przypis T. G.], chwaląc Boga, który go dzięki zasługom świętego biskupa uwolnił z niebezpieczeństwa śmierci".

(Identyfikacja „księcia Wandalów" Mieszka z naszym Mieszkiem nie ulega wątpliwości. Średniowieczni autorzy bardzo lubili utożsamiać współczesne im ludy z antycznymi plemionami, znanymi im z literatury. Na przykład Wincenty Kadłubek współczesnych mu Prusów określał mianem Getów, antycznego ludu żyjącego na obszarach Rumunii. W późniejszym okresie sami Polacy uznają się za potomków Sarmatów, a Litwini pójdą jeszcze dalej – przypiszą sobie pochodzenie od Rzymian, którzy mieli uciec nad Niemen i Wiliję za czasów Nerona).

Można byłoby podejrzewać, że czyn Mieszka stanowił przejaw koniunkturalizmu. Ot, chciał się władca przypodobać Kościołowi, tak jak wielu po nim, choćby – przywołajmy najjaskrawszy przykład – agent NKWD Bolesław Bierut, który w 1947 roku – gdy czas rozprawy z Kościołem jeszcze nie nadszedł – szedł zaraz za Najświętszym Sakramentem w procesji Bożego Ciała. Sytuacja w X wieku była jednak diametralnie rożna. Kościół w Polsce reprezentowali – jeden (!) biskup oraz maksymalnie kilkudziesięciu księży. Bez opieki księcia struktury kościelne nie miałyby możliwości funkcjonowania. Mieszko nie tylko nie miał więc powodu, by zyskiwać sobie łaski duchowieństwa, lecz wręcz – jeśli już – to sytuacja była raczej odwrotna – ówczesnym duchownym zależało na łasce księcia, bywały wszak sytuacje apostazji władców. W tym świetle wydaje się, że złożenie wotum wynikało rzeczywiście – jak pisze autor, średniowieczny hagiograf – z „wielkiej wiary".

Udowodnić tego oczywiście nigdy się nie da z powodu braku ostatecznych dowodów. Pisze o tym przywoływany już Philip Steele: „Nigdzie nie podaję, że religijne nawrócenie Mieszka I to całkowicie udowodniony pewnik". Amerykański historyk szybko dodaje jednak: „Zwracam natomiast uwagę, że jest to najbardziej prawdopodobna ze wszystkich i zarazem najbardziej logiczna hipoteza". Trudno w to uwierzyć współczesnym. Równie trudno byłoby jednak średniowiecznym uwierzyć w przesłanki, którymi kieruje się w swoim życiu tak wielu współczesnych. Wbrew pozorom patrzenie na historię przez pryzmat filozoficznego materializmu niewiele ma wspólnego z obiektywnością. Wręcz przeciwnie – świadczy o braku umiejętności zrozumienie cywilizacji średniowiecza. ■

eprasa.pl 48b912c059

Marcin Wolski

Święci są wśród nas

Święci są wśród nas. Jest coś niesłychanie krzepiącego w tym, gdy świętymi zostają „cywile", a nie tylko założyciele zakonów, świątobliwi biskupi czy nadlicznie reprezentowani papieże. Skądinąd paradoksem jest, że świętym nie został jedyny papież XX wieku, który poza naszym Janem Pawłem II w pełni na świętość zasłużył, a mianowicie Achille Ratti, czyli Pius XI, który dzielnie, jako jedyny dyplomata, pozostał w Warszawie w sierpniu 1920 roku, a u schyłku życia sprzeciwiał się Hitlerowi, co ponoć przyspieszyło jego śmierć. Na kiepski żart Bergoglia zakrawa mianowanie razem z Karolem Wojtyłą świętym Jana XIII – dobrego człowieka, który niechcący za pomocą Soboru Watykańskiego zdewastował Kościół, jak nikt od czasu sacco di Roma w XVI wieku. Na to, że do kanonizacji dawno temu wdarła się polityka, można znaleźć dziesiątki przykładów. Dlaczego nikt przynajmniej nie beatyfikował Mieszka I, założyciela dynastii, którego zasługi dla chrystianizacji Polski są bezsporne i wiekopomne? Mieli to niejako z klucza – święty Stefan, święty Wacław, święty Włodzimierz. Ale nie Mieszko. Iluż wyniesionych na ołtarze władców było grzesznikami i zbrodniarzami! Ale widać mieli lepszy PR. Gdyby chodziło o niemoralne prowadzenie się przed nawróceniem, wykluczyłoby to nie tylko największych świętych z Augustynem i Franciszkiem z Asyżu na czele, lecz także ubiegających się o kanonizację męczenników – rodzinę Ludwika XVI i Mikołaja II. Wprawdzie plotki o związkach carycy z Rasputinem się nie potwierdziły, ale Marię Antoninę trudno uznać za wzór cnoty.

Ot, ciekawostka. Niejedyna przez 500 lat. Wiedeń blokował kanonizację królowej Jadwigi. Czyż była to kara za kosza, którego dała Habsburgowi?

Myślmy jednak pozytywnie, przykład Heleny Kmieć, młodej, pięknej polskiej dziewczyny, którą śmierć dopadła w trakcie działalności charytatywnej w odległej Boliwii, dowodzi, że można grać na gitarze, mieć narzeczonego, marzyć o karierze stewardesy i umrzeć w opinii świętości, wywołując tworzący się samorzutnie kult wokół swojej osoby. „Taki duży, taki mały może świętym być" – śpiewały dzieci z zespołu Arka Noego. Dziś te są już w wieku, którego Helena Kmieć nie dożyła – ale sens ich piosenki tyko znajduje nieustanne potwierdzenie.

Święci są wśród nas. Trzeba tylko dobrze się rozejrzeć. Długo nie miałem pojęcia, że moje dzieci chodząc do prywatnego przedszkola prowadzonego przez siostry zakonne, poruszają się po domu błogosławionego wiele lat później kardynała Wyszyńskiego. Że opowieści mego ojczyma o utalentowanym koledze, aktorze z krakowskiego teatru, wyprzedzają o blisko dwie dekady awans tego kolegi na głowę Kościoła powszechnego. Że w Aninie moje ścieżki mimowolnie przecinały się z dróżkami tamtejszego wikarego, o którym dowiedziałem się podczas kabaretu dla robotników w Hucie Warszawa w 1981 roku, gdzie z dumą przedstawiono mi ich kapelana, księdza Jerzego Popiełuszkę.

Wiedeń blokował kanonizację królowej Jadwigi. Czyż była to kara za kosza, którego dała Habsburgowi?

Będąc w San Giovanni di Rotondo u grobu ojca Pio, nocowałem w domu jego przyjaciela, dyrektora administracyjnego założonego przez niego szpitala. Podczas kolacji zapytałem bardzo już starszego pana, jakim był ów niezwykły stygmatyk prywatnie. – Nieznośny, ale święty – padła odpowiedź.

Pojawiają się opinie, czy przypadkiem tych świętych nie jest za dużo, a odpowiednia kongregacja nieustannie przekracza normę? Myślę, że wciąż jest ich za mało.

Choć nie wszystkich można wskazać. Ile tysięcy bezimiennych męczenników umiera za wiarę? Ilu dokonuje czynów heroicznych, ratując czyjeś życie, ale się tym nie chwali? Ilu staje w obronie wartości, bez których nie bylibyśmy ludźmi? Niektórzy, i to zbiorowo, trafiają na ołtarze, jak męczennicy rewolucji hiszpańskiej, meksykańskiej, rosyjskiej, ofiary nazizmu… Ale reszta? Na szczęście Pan Bóg nie zapomni o żadnym z nich. ■

eprasa.pl 48b912c059

Piotr Lisiewicz

Już wydawało się niektórym z nas, że koszmary użerania się z rosyjskim kłamstwem, intrygą i agenturą, które przeżywaliśmy po 10 kwietnia 2010 roku, mamy jako tako za sobą. Że nie będą już z nimi podobnie szarpać się nasze dzieci, którym zostawimy silniejszą Polskę… I wszystko powróciło, pojawili się znów upiorni moskiewscy przebierańcy, udający tym razem takich, którzy będą rosyjskie wpływy… badać i rozliczać. Jan Kucharzewski w swym dziele „Od białego do czerwonego caratu", którego fragment przedrukowujemy, opisuje niezmienność rosyjskich metod i niezmienną głupotę ludzi Zachodu, którzy ich nie rozumieją. Pal diabli tych, których dzieli od Rosji tysiąc kilometrów, ale płakać się chce na myśl, że nie rozumieją ich nawet Polacy, którzy powinni uczyć się ich od dziecka… Durne są tzw. polskie elity, co akurat mnie nie dziwi, ale i wśród zwykłych Polaków durnota ostatnio tryumfuje. Poniżej jedyna broń, naprawdę skuteczna, przeciwko Moskwie: wiedza.

Jan Kucharzewski

Świeca Iwana Kality

Mała znajomość kraju moskiewskiego, przy jego oddaleniu od Europy, sprzyjała powstaniu fantastycznych legend o nieprzebranych bogactwach i niezmierzonej potędze barbarzyńskiego władcy… Wszyscy ci władcy, od Iwanów do Katarzyny i Mikołaja I, posiedli dar imponowania światu swą potęgą, bardziej powierzchowną niż istotną, w każdym razie nie mającą trwałych podstaw w organizacji społecznej i wewnętrznym ładzie… Przeceniając potęgę materialną caratu, Zachód nie doceniał czynników duchowych tej potęgi. Nie miał pojęcia o ogromie ambicji i pychy, o wytrwałości, ciągłości i przebiegłości polityki moskiewskiej. Ta nieświadomość sprężyn duchowych cechuje stosunek Zachodu do Rosji od dawnych do najnowszych czasów.

W roku 1848 jesienią, w okresie najostrzejszego szału kontrrewolucyjnego w Rosji, Towarzystwo Moskiewskie Historii i Starożytności w wydawnictwie swym wydrukowało tłumaczenie dawnej, znanej dobrze Karamzinowi, wydanej jeszcze w roku 1591 książki Fletchera, posła angielskiego, wysłanego w r. 1588 przez królową Elżbietę do cara Fiodora Joanowicza. Gdy minister oświaty Uwarow otrzymał egzemplarz książki, złożył natychmiast alarmujący raport carowi Mikołajowi I, nakład książki został skonfiskowany i opieczętowany, prezes Towarzystwa Sergiusz Strogonow otrzymał surową naganę, sekretarz Towarzystwa profesor Bodiański pozbawiony miejsca i zesłany do Kazania.

Represje te, przy całej nawet ówczesnej szalonej surowości cenzury, spadły niespodziewanie, ustawa bowiem cenzury pozwalała na drukowanie wszelkich pism o Rosji, dotyczących okresu poprzedzającego dynastię Romanowów.

Istota przetrwała bez zmiany

Przypisywano rzecz całą osobistej intrydze Uwarowa, skierowanej przeciwko Strogonowowi. Lecz wiemy obecnie, iż zanim Uwarow zwrócił się do cara, już uderzyli na alarm z powodu publikacji Fletchera czujni gorliwcy oficjalnego patriotyzmu, Michał Pogodin i Szewyrew. Liberalizujący cenzor Nikitienko, wydostawszy egzemplarz skonfiskowanej książki, notuje z ironią w dzienniku z 1848 roku: „Tak, książki tej istotnie nie można było teraz drukować".

eprasa.pl 48b912c059

W lat dwanaście potem, za panowania Aleksandra II, w najpomyślniejszym okresie reform, Bodiański znowu czynił starania o pozwolenie na puszczenie w obieg książki Fletchera. „Jakież może mieć zastosowanie ta opowieść Anglika o Rosji w końcu XVI wieku do Rosji drugiej połowy XIX wieku" – pisał. „Jeszcze w roku 1848 mogli byli ludzie o złych intencjach przeprowadzać jakąś paralelę między Rosjanami cara Groźnego a Rosjanami cara Dobrodusznego".

Nie pomogło jednak i bezwstydne pośmiertne pochlebstwo dla Mikołaja I, nazwanego carem dobrodusznym, nie pomogło i bizantyjskie kadzidło dla epoki Aleksandra II, nie zdjęto i teraz aresztu z niebezpiecznej książki.

Dopiero w roku 1906 mogła wyjść w świat książka Fletchera w tłumaczeniu rosyjskim.

Wrażliwość mikołajowskiej i aleksandrowskiej cenzury na dzieło, którym przenikliwy Anglik napiętnował Moskwę w lat parę po śmierci cara Groźnego, była znamienna. Spokojna analiza tyranii moskiewskiej XVI wieku brzmiała jeszcze w wieku XIX jak miażdżąca krytyka systemu. Zestawiając to, co Fletcher pisze o rządzie Borysa Godunowa, faktycznego regenta przy słabym Fiodorze, z rządami Rosji nowoczesnej, zdziwieni jesteśmy rażącym podobieństwem. Machina za Aleksandrów i Mikołajów bardziej złożona, nieraz bardziej cywilizowana, lecz części składowe systemu te same: istota przetrwała bez zmiany.

Pod pozorem prawa i słuszności

W roku 1853 Mikołaj I stawiał krok fatalny: wypowiadał wojnę Turcji, za którą stałą Europa Zachodnia. W Rosji, odurzonej wiarą w potęgę cara, zestawiono dwie daty: 1453 – przejście Carogrodu w ręce Turków, 1853 – sygnał odzyskania miasta z rąk niewiernych.

Jeśli chodzi o ciągłość polityki rosyjskiej na przestrzeni wieków, nasuwa się inne zestawienie dat. Na lat pięćset przed wojną krymską Symeon Dumny, syn Iwana Kality, kniaź Moskwy, zostawił testament i w nim zaklinał potomka, by na przyszłość „nie ustała pamięć rodziców i świeca nie zgasła".

Świeca, którą zapalił Iwan Kalita, założyciel potęgi moskiewskiej, już, zdawało się, gasła chwilami, jak podczas wielkiej nawałnicy w epoce Samozwańców. Lecz naród sam rozwidniał jej płomień na nowo i światło jej trwało do ostatnich czasów […].

„Gdyby zapytać tych kniaziów, co poczną, gdy będą wolni – mówi historyk rosyjski – zapewne nie byliby w stanie rozwinąć innego programu prócz tego dawnego, tradycyjnego, który stał się instynktem: jeszcze więcej zabiegać i zbierać, oszukiwać i gwałty czynić, z jedynym celem: zdobycia jak największej władzy i jak największej ilości pieniędzy".

Głównym zadaniem kniaziów Moskwy było rozszerzanie państwa. Rozszerzaniu temu nadawano pozory prawa i słuszności, nazywano je jednoczeniem ziemi ruskiej. W istocie, jednoczenie owo odbywało się drogą gwałtu i strasznych okrucieństw, wbrew woli ludności. Fikcja jednoczenia narodowego była pozorem, mającym osłonić akty przemocy, gwałtowi towarzyszyła obłuda. To rozszerzanie Moskwy odbywało się żywiołowo. Moskwa położona w środku lądu, u źródeł wielkich rzek, wiodących do Oceanu Lodowatego, mórz Bałtyckiego, Czarnego, Kaspijskiego, rozpierała się na wszystkie strony i podbijając dziesiątkami obce plemiona i państewka, wciąż jednoczyła ziemię ruską. Gdy przedsiębrała na jakiś kraj wyprawę, już z góry ogłaszała, iż on jej się z prawa należy. Okazała już w swych barbarzyńskich początkach mistrzostwo w wynajdywaniu i komponowaniu tytułów własności do ziem obcych. Podbijając kraje, niszczyła ich odrębne rządy, tępiła lub więziła rody panujące i możne, ujarzmiała ludność. Popęd do jedności, do jednolitości, złowrogi szał niwelacyjny stawał się instynktem rządu i narodu.

Tyrania albo się wzmaga, albo upada

Wcielanie ziem coraz to nowych kojarzy się z ciągłym wzmaganiem się despotycznej władzy kniaziów, późniejszych carów. Wszystko, co mu się opierało i opierać było zdolne w kraju podbitym, car Moskwy usuwał z drogi, tępił, wyrywał z korzeniem, utrwalając swą wyłączną władzę […].

Tyrania jest to siła, nie mogąca stanąć w martwym punkcie; albo się wzmaga, albo upada. Każdy z następców na carskim tronie znajdzie zawsze możność mocniejszego zaciśnięcia cugli, wyszukania i zdławienia jakichś ukrytych sił oporu. Naród znosi wszystko […].

Równoległość rozrostu terytorialnego i wzmagania się tyranii wyciska trwały i mocny ślad na świadomości politycznej poddanych cara. W pojęciu Moskwicina między tymi dwoma objawami utrwala się związek przyczyny i skutku, rozszerzenie państwa; wzrost jego mocy splata się nierozłącznie z despotyzmem władzy. Carowie otoczeni są aureolą jedynych pomnożycieli ojczyzny. To przekonanie o nierozdzielnym związku potęgi państwa z władzą nieograniczoną cara ustala się i, jako instynkt dziedziczny, przechodzi z pokolenia na pokolenie. Przekonanie to udziela się i obcym obserwatorom Rosji. Jest patriotyzmem w Rosji niewola – orzeka Mochnacki.

eprasa.pl 48b912c059

Próby ograniczenia władzy despotycznej traktowane są przez carów jako zdrada państwa i narodu. Iwan IV, przystępując do kaźni i tortur, piętnuje, denuncjuje skazanych kniaziów i bojarów przed zgromadzonym ludem Moskwy jako zdrajców. Dążność do postawienia prawa ponad samowładztwem to bunt, zdrada, kramoła.

Zachód przecenia Rosję

W tym systemie, opartym na równoległości podboju i tyranii, istnieje wzajemna zależność i harmonia pomiędzy polityką wewnętrzną a zewnętrzną. [...] Stosunek Zachodu do Moskwy ma pewne stałe cechy, które nas uderzają zarówno za Iwana III, jak za Mikołaja I. Zachód, od chwili zetknięcia się z Moskwą, przecenia jej potęgę materialną.

Europa była pod wrażeniem ogromu władzy, ześrodkowanej w ręku carskim, z respektem i obawą spoglądała na despotę, mającego wciąż do rozporządzenia ogromną siłę, władnego obrócić, na jedno swe skinienie, wszystkie siły i środki narodu ku pomnożeniu potęgi swego państwa.

Mała znajomość kraju moskiewskiego, przy jego oddaleniu od Europy, sprzyjała powstaniu fantastycznych legend o nieprzebranych bogactwach i niezmierzonej potędze barbarzyńskiego władcy. Ogromne przestrzenie, na których rozpościerała się władza cara, podniecały wyobraźnię, nasuwały obraz wielkiej potęgi, widok ogromu wywoływał sugestywne wyobrażenie niezwalczonej mocy.

Wreszcie carowie i ich słudzy od początku celowali w sztuce przedstawiania siły moskiewskiej w rozmiarach powiększonych. Wszyscy ci władcy, od Iwanów do Katarzyny i Mikołaja I, posiedli dar imponowania światu swą potęgą, bardziej powierzchowną niż istotną, w każdym razie nie mającą trwałych podstaw w organizacji społecznej i wewnętrznym ładzie.

Kunszt prestige'u był pielęgnowany przez carów niezmiennie, tradycyjnie.

Snobizm cywilizacyjny

Przeceniając potęgę materialną caratu, Zachód nie doceniał czynników duchowych tej potęgi. Nie miał pojęcia o ogromie ambicji i pychy, o wytrwałości, ciągłości i przebiegłości polityki moskiewskiej. Ta nieświadomość sprężyn duchowych cechuje stosunek Zachodu do Rosji od dawnych do najnowszych czasów. Skutkiem tego był fakt paradoksalny, iż Moskwa, jakkolwiek ciemna i barbarzyńska, od początku lepiej przenikała politykę państw europejskich niż te ostatnie, choć oświecone, arkana polityki moskiewskiej. U Moskwy, przy zetknięciu z Zachodem, obudzona była od początku podejrzliwość i czujność na to, aby chytrzy, oświeceni Europejczycy nie podeszli Moskwicinów i nie użyli potęgi moskiewskiej dla swych własnych celów. Polityka Moskwy, od pierwszego zetknięcia z Europą, jest ostrożna, niedowierzająca, pełna rezerwy, lękająca się o to, by nie ulec przemożnemu kunsztowi Zachodu. Ta cecha przetrwała w polityce rosyjskiej na stałe. Rosja darowywała zwykle prędko i zapominała, pozornie przynajmniej, porażki orężne; one jakby mniej ją upokarzały. Chętnie szukała przymierza z wczorajszymi zwycięzcami. Hołdując przemocy u siebie, korzyła się przed mocniejszym. Porażek dyplomatycznych nie darowywała nigdy, po nich zostawał jej wstyd, wściekłość, poczucie niższości umysłowej i cywilizacyjnej. Od czasu zrzucenia jarzma tatarskiego i zetknięcia z Europą, Moskwa niczego tak nie lękała się, jak tego, by jej nie brano w świecie za państwo barbarzyńskie. Był to snobizm cywilizacyjny, chodziło o pozór, o opinię w świecie.

Natomiast państwa Zachodu traktowały Moskwę i jej dyplomatów z naiwną zarozumiałością, wynikającą z przeświadczenia o własnej cywilizacyjnej wyższości, większej biegłości umysłowej, większym politycznym wyrobieniu. Skutkiem tego były dyplomatyczne porażki Zachodu.

Grubiaństwo nieokrzesanych prostaków

Przyznać trzeba, iż ludzie, których Moskwa używać zaczęła jako posłów, robili wrażenie tak nieokrzesanych prostaków, iż trudno było przypuścić, aby pod tą barbarzyńską powłoką ukrywała się przebiegłość i finezja. Dajmy miarę grubiaństwa tych dyplomatów przez usta dziejopisa rosyjskiego: „Od czasu do czasu zjawiało się w Europie poselstwo rosyjskie, lecz urzędnicy moskiewscy, którzy z woli rządu stawali się zaimprowizowanymi dyplomatami, bynajmniej nie byli przygotowani do roli obserwatorów życia europejskiego. Ci ludzie, nie znający języków, wyczytujący z trudem z zeszytu, słowo za słowem, swe mowy oficjalne, troszczyli się o jedno, aby nie uczynić niewłaściwego kroku lub nie wyrzec niewłaściwego słowa, które by uchybiło czci cara i naraziło ich na karę urzędową. Nie byli od tego, aby od czasu do czasu skorzystać ze swobody życia, do której nie przywykli, lecz sposób, w jaki pojmowali tę swobodę, wywoływał odrazę w mimowolnych świadkach ich hulanek. Było to w oczach europejskich widzów nie już barbarzyństwo, lecz wprost bydlęcość i świństwo (»skotstwo i swinstwo«). Od przyjem-

eprasa.pl 48b912c059

ności w guście europejskim, od lubowania się podróżą, obrazami natury, pomnikami sztuki, zdobyczami kultury, oddzielał ich mur chiński, wzniesiony przez własne umysłowe i moralne grubiaństwo. Gdziekolwiek zjawiali się, nieśli ze sobą wszędzie, w literalnym i przenośnym znaczeniu, swą własną atmosferę. Mieszkania, w których się zatrzymywali, trzeba było wietrzyć i czyścić przez cały bodaj tydzień. Ich zjawienie się na ulicy, w złotogłowiach i jedwabiach czerwonej, żółtej lub zielonej barwy, w długich kapotach z kołnierzami ogromnej wysokości i rękawami ogromnej długości, w czapkach futrzanych azjatyckiego kroju, skupiało dookoła nich tłum gapiów. Była to jakby maskarada, jakby procesja religijna, jakby curiosum etnologiczne, wywiezione przez pomysłowego przedsiębiorcę z krajów zamorskich razem z krokodylami Nilu i lwami Afryki. Gdy w Moskwie zrozumiano na koniec ku schyłkowi XVII wieku, jak fatalne wrażenie wywierają za granicą ci domorośli dyplomaci, zaczęto ich zastępować przez zamieszkałych w Rosji cudzoziemców. Wytrawność życiowa i światowe obycie tych ostatnich wywoływały z kolei zdumienie dyplomacji europejskiej, przywykłej do rachowania się z grobianita Moscovitica".

Cechy charakteru narodowego

Przy zetknięciu Moskwy z Zachodem okazało się, że rozstrzygający w grze dyplomatycznej atut lepszej znajomości partnera jest po stronie barbarzyńskiej Moskwy. W roku 1453 upadł Konstantynopol. Całemu światu chrześcijańskiemu groził zalew turecki. Papież, republiki włoskie, cesarz niemiecki czuli się zagrożonymi przede wszystkim. Wzrok tych władców europejskich zwraca się ku oddalonej Moskwie. Wydaje się im, że ta na końcu Europy osiadła potęga, pierwotna i naiwna, gorąco przywiązana do wiary grecko-wschodniej, posłuszna dziecięco swemu wielkiemu kniaziowi, jest przez Opatrzność zesłana na to, by powstrzymać nawałę turecką. Należy tylko jej władcę barbarzyńskiego natchnąć ambicją wyzwolenia Carogrodu, błysnąć przed jego wyobraźnią koroną bizantyjską, zagrać wreszcie na uczuciach religijnych władcy i doradców jego [...].

Oto były początki wiecznej może odtąd utopii Rzymu co do nawrócenia Rosji na łono katolicyzmu. Moskwa wyciągnęła z tych urojeń niemałe korzyści. Wystąpiła od razu z wielkim zasobem zmysłu politycznego, zręczności i przeczucia swej przyszłej roli, przejrzała na wylot politykę Zachodu, jej arkana i cele. Dostrzegła, że Zachód przecenia jej potęgę materialną, pojęła korzyść tej legendy dla siebie i podtrzymywała ją odtąd gorliwie. Agenci cara, choć barbarzyńscy w duszy i obyczaju, z wielką sfornością i intuicją szerzyli na świecie kult potęgi swego pana. W ciężkich zmaganiach z losem, w krwawych walkach domowych kniaziów, plemion i rodów, w zapasach z Tatarami rozwijały się cechy charakteru narodowego, przenikające w ciągu stuleci politykę państwa: zaciętość i bezwzględność, umiejętność ukrywania myśli i planów, używanie w grze politycznej kolejno oręża postrachu i pochlebstwa oraz przebiegłość, avitafraus, dziedziczna przewrotność, na którą z czasem gorzko uskarżał się wyprowadzony parokrotnie w pole papież Grzegorz XVI za Mikołaja I. Utyskiwania Rzymu na szalbierstwo Moskwy, rozlegające się od Possewina do Grzegorza XVI i później, świadczą o tym, jak trudny do wykorzenienia jest przesąd, przypisujący niższej oświacie cechy prostoty i dobroduszności w polityce. Moskwa, kształcąc w sobie pod wpływem doli dziejowej fałsz i serwilizm, cechy niewoli, umiała przetapiać je w polityce na swoisty machiawelizm [...]. Dziwiono się potem naiwnie, gdy car, którego duszę barbarzyńską rozpalano wizjami wielkości, rósł w pychę i gdy ta zwracała się rychło przeciwko nieopatrznym pochlebcom. ■

Głównym zadaniem kniaziów Moskwy było rozszerzanie państwa. Rozszerzaniu temu nadawano pozory prawa i słuszności, nazywano je jednoczeniem ziemi ruskiej. W istocie, jednoczenie owo odbywało się drogą gwałtu i strasznych okrucieństw, wbrew woli ludności.

Przedruk za: Jan Kucharzewski, „Od białego do czerwonego caratu", Tower Press, Gdańsk 2000. Pierwodruk tomów 1–7 pochodzi z lat 1923–1935. Śródtytuły od redakcji „NP".

eprasa.pl 48b912c059

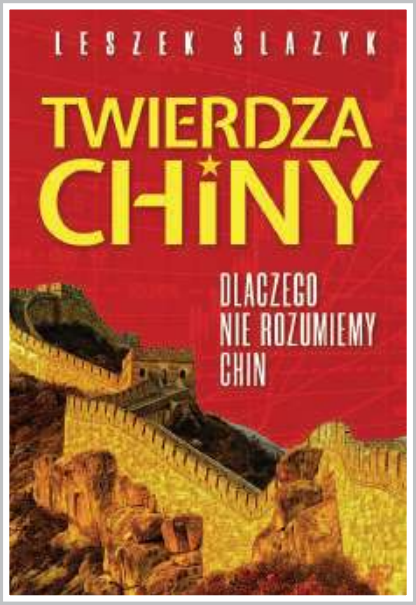

Leszek Ślazyk, „Twierdza Chiny. Dlaczego nie rozumiemy Chin", Wydawnictwo Fronda, Warszawa 2024

Krzysztof Wołodźko

Chiny w dzisiejszym świecie. Księga dziejowych przemian

„Cesarstwa rozkwitają i chylą się ku upadkowi, państwa jednoczą się lub oddzielają" – cytat ze słynnej XIV-wiecznej powieści, „Dzieje Trzech Królestw", pióra Luo Guanzhonga, mówią nam o Chinach więcej, niż mogłoby się zdawać. Dzieje bodaj żadnej żywotnej i zintegrowanej ludzkiej cywilizacji nie sięgają dziś korzeniami tak głęboko. Nasza współczesna recepcja tego państwa coraz mocniej naznaczona jest wizją globalnego konfliktu. Leszek Ślazyk w „Twierdzy Chiny" stara się uchwycić Państwo Środka w konkretnym momencie historycznym, chce pomóc zrozumieć nam geoekonomiczny i metapolityczny sukces Pekinu. Ale nie traci z oczu tamtejszej samoświadomości, której korzenie sięgają głęboko w kulturowo-religijno-polityczne dzieje.

eprasa.pl 48b912c059

Leszek Ślazyk to politolog, publicysta i przedsiębiorca od dekad związany zawodowo z Państwem Środka. Jego książka to kompendium wiedzy o współczesnych Chinach. Autor stara się pomóc zrozumieć polskiemu czytelnikowi bodaj największy współczesny fenomen – konsekwentne odbudowywanie przez Pekin swojej geopolitycznej i geoekonomicznej pozycji. W ostatnich stuleciach zachodnie potęgi upokorzyły azjatyckie mocarstwo przynajmniej dwukrotnie – w czasach cesarstwa zdecydowanie przyczyniły się do rozpadu metafizycznego mitu Państwa Środka o jego kosmicznej i globalnej hegemonii. Pod koniec epoki Zimnej Wojny udowodniły, że kapitalizm okazał się żywotniejszy od nauk Karola Marksa – niezależnie od tego, czy myśliciela z Trewiru czytali sowieccy, czy chińscy towarzysze i towarzyszki. Dziś jesteśmy już w zupełnie innym miejscu historii – Zachód, pozbywając się niemałej części wyzwań i kłopotów związanych z kapitalistyczną, industrialną produkcją, ułatwił Chinom opanowanie narzędzi gospodarczych, które stały się również instrumentami politycznymi i militarnymi. Pekin – we własnym mniemaniu – woła dziś głosem szekspirowskiego Hamleta: „Świat wyszedł z formy: I mnież to trzeba wracać go do normy!".

Chiny, czyli droga ku budowie globalnej supremacji

Na początku swojej książki Ślazyk proponuje nam proste, lecz wymowne ćwiczenie z wyobraźni. Wyobraźmy sobie, że Egipt przetrwał jako państwo faraonów do naszych czasów – z geografią polityczną, religijną i kulturową. Z religią i religijnością, obrzędowością, pismem opartym na starożytnych hieroglifach, całą tradycją politycznych wizji i dziedzictwem poszczególnych dynastii z ich wielkością i słabością, rozwijaną od tysiącleci wiedzą i wpływowymi kastami, decydującymi o przeznaczeniu całych narodów. Byłaby to opowieść godna najwspanialszych książek z dziedziny historii alternatywnej. A przecież Chiny są właśnie taką cywilizacją! Są taką księgą. Na marginesie: interesująco czyta się dziś głośną powieść Kim Stanley Robinson „Lata ryżu i soli", alternatywną historię globu, w której to państwa Azji, islamskie i buddyjskie potęgi pobijają świat po – dosłownej – śmierci Europy w XIV wieku na skutek wybuchu epidemii czarnej śmierci. Dzieje ludzkości bez Zachodu – taki scenariusz brzmi niepokojąco prowokacyjnie. Ale czy nierealistycznie?

Nie sposób ukryć, że „Twierdza Chiny" pisana jest z perspektywy (wręcz ostentacyjnie w paru kwestiach) przychylnej Pekinowi, co zdecydowanie rzutuje na poglądy Ślazyka dotyczące choćby kwestii geopolityczno-militarnych. Oto drobna próbka: „Obiegowa opinia kreowana przez media zachodnie i zachodnich polityków każe zakładać, że Chiny zbroją się na potęgę, by śladem tak zwanego hegemona [najpewniej chodzi o USA – K. W.] rzucić się w wir kolejnych awantur zbrojnych i w ten sposób uzyskać przewagę nad innymi liczącymi się uczestnikami gier politycznych". Zdaniem Ślazyka, Pekin jako instrument budowania wpływów woli handel od wojny. Ale czy rzeczywiście? Na konflikt dotyczący Tajwanu, napięcia na Morzu Południowochińskim, chłodne relacje z Australią i jeszcze chłodniejsze z USA nakładają się informacje o reformach, dozbrajaniu i rozbudowie armii i wzmacnianiu baz wojskowych przez Chiny.

To nie zmienia faktu, że Pekin wobec wielu krajów, nie tylko globalnego Południa, stara się dziś przedstawić jako potęga polityczno-gospodarcza, proponująca lepszy od zachodniego model współpracy i rozwoju. Podobnymi kartami gra również Rosja, przypominając, że stare kolonialne traumy Afryki i Ameryki Południowej nie zostały zagojone popkulturowymi plasterkami w rodzaju Life Aid i innych wielkich akcji charytatywnych, które często miały pomóc Zachodowi uśpić własne sumienie wobec państw i narodów III świata. Wspominałem o tym, recenzując do kwietniowego numeru „Nowego Państwa" książkę Michała Lubiny „Niedźwiedź w objęciach smoka. Jak Rosja została młodszym bratem Chin" (numer 212 (04/2024)).

Państwo Środka, historia i żywioły

Analizując instytucjonalno-cywilizacyjne dziedzictwo Chin, Ślazyk dużą wagę przywiązuje do konfucjanizmu. W Polsce to zagadnienie niemal kompletnie zapoznane: pytanie o etos służby publicznej zostało pogrzebane pod złymi historycznymi doświadczeniami. Nie doczekało też nigdy pogłębionej instytucjonalnej filozofii, której solidne fundamenty dał w Chinach Konfucjusz i konfucjanizm. Ślazyk, pisząc o tradycjach egzaminów urzędniczych w Państwie Środka, pokazuje ich ewolucję – dotyczącą zarówno władz centralnych, jak i lokalnych. Mówi choćby o egzaminach pałacowych, w czasie których kandydaci „musieli wykazać się wiedzą obejmującą fizykę, matematykę, retorykę, kaligrafię, a także znajomością dokumentów urzędowych".

System uprzywilejowywał bogatych, ale równocześnie wzmacniał autorytet osób wykształconych i dobrze wyedukowanych. Budował równocześnie

eprasa.pl 48b912c059

– i nadal buduje – autorytet nauczyciela i wykształcenia jako źródła awansu społecznego. Zdaniem autora „Twierdzy Chiny" Państwo Środka próbuje skutecznie wzmocnić merytokratyczne wartości w administracyjnym zarządzaniu, choć partyjny i „cywilny" dualizm władzy sprzyjają korupcyjnym mechanizmom. Dlatego nie ma dziś sensu rozważać, czy Komunistyczna Partia Chin jest rzeczywiście „komunistyczna" czy „kapitalistyczna". Istotne jest to, że Chiny włączyły ideologiczne, cywilizacyjne i technologiczne wartości, które przyszły skądinąd, w swój krwiobieg dziejowy. Konfucjanizm współczesnych Chin nie może być i nie jest taki jak przed wiekami. Ale jego naczelne zasady wciąż wpływają na kształt samoświadomości elit i zwykłych obywateli Państwa Środka.

Dla życia społecznego współczesnych Chin duże znaczenie ma również inny czynnik: lęk przed nędzą. Ślazyk przypomina, że komunistyczne projekty modernizacyjne Mao Zedonga, takie jak Wielki Skok Naprzód, okazały się katastrofą. „Chińską wieś w 1960 roku dotknęła klęska głodu. W jej wyniku – wedle badań Franka Dikkottera – zmarło 48 milionów ludzi. W okresie dwóch lat (…) w Chinach zmarło więcej ludzi, niż mieszka dziś w Polsce i Czechach razem. Pamięć Wielkiego Głodu jest żywa wśród Chińczyków do dziś". W naszym kraju czasem spotykam się z ironicznymi reakcjami, gdy wspominam o ambicjach Pekinu dotyczących zwiększenia spożycia mięsa wśród tamtejszej populacji. Ale współczesny rozwój Państwa Środka zamyka się na klamrze ambicji, które wcale się nie wykluczają: dominacja w kosmosie i elementarny, żywnościowy dobrostan, elementarna sytość zwykłych ludzi.

Warto zakarbować sobie coś jeszcze: Chiny od swojego zarania musiały mierzyć się z wielkimi katastrofami naturalnymi. Wielkie mity założycielskie Państwa Środka wiążą się z klęskami żywiołowymi, jakie przynosiła Żółta Rzeka. Pisze o tym choćby Michael Wood w erudycyjnej książce „Chiny. Portret cywilizacji". Z kolei chiński pisarz science fiction Cixin Liu, którego kolejne powieści i nowele czytałem długo przed netfliksową ekranizacją „Problemu trzech ciał" („Wspomnienia przeszłości Ziemi"), w posłowiu do poczytnej trylogii pisze o swoim dziecięcym doświadczeniu wielkiej powodzi z sierpnia 1975 roku, gdy w rejonie Zhumadian w prowincji Henan zginęło 240 tys. osób. Jak pisze: „Wróciłem do wioski tuż po opadnięciu wody i zobaczyłem tłumy uchodźców z zalanych terenów. Myślałem, że oglądam koniec świata".

Musimy zdawać sobie sprawę, że wielkie żywioły, wielkie idee i wielka historia, niekiedy znaczona niepojętą liczbą ofiar, ukształtowały nie tylko chińską mitologię i kosmologię. Kształtują też chińskie ambicje i polityczność, szczególnie dziś, gdy połączenie industrialnej i cyfrowej technologii, rynkowych mechanizmów i prawno-administracyjno, instytucjonalno-politycznego autorytaryzmu stwarza Pekinowi nowe możliwości współdecydowania o globalnych realiach.

▶ Komunistyczna Partia Chin – od rewolucji do prorynkowych zmian

„W rok 1979 Chińska Republika Ludowa wchodziła jako kraj nędzny, zacofany, ze zniszczoną infrastrukturą, przestarzałym rolnictwem, zdewastowanym systemem edukacji. (…) Transport i telekomunikacja właściwie nie istniały. Duże zakłady pracy bazowały na technologiach pozyskanych od Związku Sowieckiego na początku lat pięćdziesiątych XX wieku" – podkreśla Leszek Ślazyk, podsumowując dekady władzy Mao Zedonga. Cierpiały chłopskie masy, które stanowiły przytłaczającą większość tamtejszego społeczeństwa. Oficerowie Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej pasożytowali na państwie, obsiadając jego administrację. Z takimi realiami musiał mierzyć się kolejny faktyczny przywódca Chin, czyli Deng Xiaoping. Za jego czasów Państwo Środka zaczęło tworzyć specjalne strefy ekonomiczne i przyciągać kapitał bliższy zachodniemu – pomogli inwestorzy z Hongkongu i Tajwanu. Dla Denga, komunisty, „pieniądze były apolityczne". To pomogło zbudować w Chinach nową klasę posiadaczy, korzystających z gospodarczej transformacji od dziedziczącego przedindustrialne zapóźnienia komunizmu do protokapitalizmu w wersji azjatyckiej.

Ślazyk wskazuje przy tym, że rewolucyjny marksizm – w Polsce traktowany co do zasady jako narzędzie rosyjskiej/sowieckiej opresji – okazał się dla Chin w XX wieku ważnym narzędziem w walce narodowyzwoleńczej. Niósł przy tym atrakcyjną wizję materialnego postępu i dobrostanu dla warstw ludowych. Przynajmniej niektórzy chińscy komuniści po Mao zrozumieli, że muszą wzmocnić tego rodzaju legitymację swojej władzy, zamiast szaleństw czasów rewolucji kulturalnej, jeśli chcą się przy niej utrzymać. Ale pomysł Denga spowodował nowe napięcia społeczne, skoro znakomita część chińskiego społeczeństwa wciąż nic nie miała z przyjętego modelu wzrostu: „Na początku 1989 roku wielu Chińczykom brakowało pieniędzy na zakup podstawowych produktów".

Masakra na placu Niebiańskiego Spokoju (Tiananmen) w Pekinie dziś oficjalnie nazywana jest w Chi-

eprasa.pl 48b912c059

nach „incydentem z 4 czerwca" doprowadziła do kilkuletniego embarga gospodarczego ze strony Zachodu. Ale umiejętna, zakulisowa polityka Denga ułatwiła stworzenie przez Pekin modelu metapolitycznego, który w latach 90. i później stał się poznawczym wyzwaniem także dla wielu polskich komentatorów: zachowując komunistyczny sztafaż ideologiczny i monopartyjną strukturę, Państwo Środka otwarło się na kapitalistyczne, prorynkowe zmiany. Wzięło z nich dokładnie tyle, ile potrzebowało – odrzucając kanon demoliberalnych wartości, który z naszej perspektywy jest warunkiem sine qua non szerzej rozumianego postępu. Budziło to zdumienie jedynie tych, którzy zapomnieli, że choć Mandżurowie w XVII wieku zdobyli Chiny, to równocześnie zostali przez nie cywilizacyjnie pokonani. Wchłonięci. Chiny piszą bowiem własną księgę przemian i cywilizacyjnych metamorfoz, które również dzisiejsze realia każą postrzegać jako jeden z kolejnych ważnych epizodów w ich dziejach. Nawiasem mówiąc, rady Denga dla jego następców intrygują zwięzłością i wiele mówią tym, co znaczy realistyczna filozofia i strategia polityczna, zarówno w wymiarze wewnętrznym, jak zewnętrznym: „1) trzeźwo, spokojnie obserwujcie; 2) umacniajcie swoją pozycję; 3) zachowujcie spokój w obliczu przeciwności losu; 4) ukrywajcie swoje możliwości, zyskujcie na czasie; 5) nauczcie się nie rzucać w oczy; 6) nie unoście głowy; 7) trzymajcie karty tak, by były widoczne tylko dla was".

Chiny w przededniu czasów Xi

Autor „Twierdzy Chiny" zwraca uwagę na stopniowe przejście KPCh od strategii i retoryki rewolucyjnej do koncepcji partii „dobrze zarządzającej". Uwłaszczenie nomenklatury w wersji chińskiej to fakt, otwarcie na Zachód przyniosło plagę korupcji i przestępczości, nielegalnej prostytucji i hazardu. Fabularny „Dotyk grzechu" Jia Zhang-ke z 2013 roku opowiada historię z nieco późniejszego czasu, ale dobrze podsumowuje mroczne strony zachodzących przemian: nędza i niewola jednych, bogactwo i rozpasanie drugich pokazują drapieżność chińskiej kapitalistycznej transformacji, nad którą wciąż powiewał czerwony sztandar. Zdaniem Ślazyka, to właśnie wówczas KPCh znalazła się w największym kryzysie: „Partia straciła swój autorytet, zwłaszcza w wielkich chińskich miastach, gdzie szeregowi członkowie partii zaczęli wprost ukrywać przynależność do organizacji". Wiązało się to nie tylko z poczuciem, że wyczerpuje się model ekonomiczny epoki Deng Xiapoinga, lecz także z dużymi skandalami korupcyjnymi i obyczajowymi w łonie monopartii, której politycy tuczyli się na kapitalizmie państwowym.

W marcu 2012 roku w wypadku samochodowym w Pekinie zginął Ling Gu, syn prominentnego polityka Biura Politycznego KPCh. Dwudziestoczterolatek prowadził luksusowe Ferrari 458 Spider, warte kilkaset tysięcy dolarów. Oficjalnie ojciec młodziana zarabiał 7 tys. dolarów rocznie. Okazało się, że Ling Gu i dwie towarzyszące mu podczas feralnej jazdy kobiety byli nadzy: „Podczas niebezpiecznie szybkiej jazdy ulicami stolicy Chin uprawiali seks". Skorumpowane elity, pełnymi garściami czerpiące ze spotkania Wschodu z Zachodem, i społeczeństwo na dorobku, urabiające sobie ręce po łokcie na tym spotkaniu – refleksje i skojarzenia rodzą się same. Nic zatem dziwnego, że potrzebna była kolejna zmiana: „KPCh musiała stać się partią władzy. Z chińską charakterystyką". Z podbudową ideologiczną bliższą konfucjańskim wartościom. Nadszedł czas Xi Jinpinga.

Jak Ślazyk ocenia epokę nowego chińskiego przywódcy? Zostawiam Państwa z tym pytaniem. I z zagadką dotyczącą samego tytułu książki – choć elementarna znajomość Chin intuicyjnie podsuwa kilka odpowiedzi jeszcze przed lekturą. Drogi ekspansji Państwa Środka wydają się nam wciąż mniej oczywiste niźli w przypadku innych globalnych aktorów. Ale ostrożność podpowiada, by w każdej sprawie ważyć racje. Chiński smok może długo jeszcze próbować trzymać w skrytości swoje najlepsze karty i starannie ukrywać głębokie rany. Ale nie da się wykluczyć, że zechce runąć ogniem na świat. ■

> MUSIMY ZDAWAĆ SOBIE SPRAWĘ, ŻE WIELKIE ŻYWIOŁY, WIELKIE IDEE I WIELKA HISTORIA, NIEKIEDY ZNACZONA NIEPOJĘTĄ LICZBĄ OFIAR, UKSZTAŁTOWAŁY NIE TYLKO CHIŃSKĄ MITOLOGIĘ I KOSMOLOGIĘ. KSZTAŁTUJĄ TEŻ CHIŃSKIE AMBICJE I POLITYCZNOŚĆ.

eprasa.pl 48b912c059

Nowy prezydent Tajwanu będzie kontynuował politykę swojej poprzedniczki i wzmacniał sojusz z USA oraz budował silną armię. Suwerenność jako wartość i podkreślanie roli Tajwanu dla wolnego świata – to ważne akcenty nowej administracji, a Chiny, współpraca Pekinu z Moskwą i polityczne podziały w kraju – to jej główne wyzwania.

Hanna Shen

Taiwan matters. Nowe władze są tego świadome

eprasa.pl 48b912c059

FOT. RITCHIE B. TONGO/PAP/EPA

Przez ostatnie osiem lat na Tajwanie rządziła Tsai Ing-wen z Demokratycznej Partii Postępu (DPP), ugrupowania często określanego jako proniepodległościowe, a w rzeczywistości uważającej, że wyspa jest już niepodległym państwem i że ten *status quo* trzeba utrzymać. Tsai rozumiała, że deklaracje o niepodległości nie tylko wywołują złość Pekinu, lecz także niezadowolenie Waszyngtonu, bo mogą doprowadzić do wojny. Dlatego właśnie zawsze podkreślała, że celem jej rządów jest utrzymanie *status quo*. To stanowisko z zadowoleniem przyjmowano w USA zarówno po stronie demokratów, jak i republikanów.

Sojusz z USA i zbrojenie się

Kilka dni po wygranych wyborach w 2016 roku prezydent, jeszcze elekt, Donald Trump rozmawiał przez telefon z Tsai. Była to pierwsza rozmowa telefoniczna amerykańsko-tajwańska na tak wysokim szczeblu od 1979 roku. To za nią Trumpa spotkała krytyka nie tylko ze strony Pekinu, lecz także niektórych polityków i komentatorów w USA. Amerykański prezydent bronił się, pytając, dlaczego ma nie prowadzić dialogu z państwem, które za miliardy kupuje uzbrojenie od jego kraju. Ekipa Trumpa już wtedy po prostu wiedziała, że Tajwan pod rządami nowej prezydent – Tsai wygrała wybory kilka miesięcy przed rozmową z Trumpem – będzie zwiększał wydatki na obronę i będzie bardzo proamerykański. Poprzednik Tsai, prezydent Ma Ying-jeou z Kuomintangu, optował za zbliżeniem z Pekinem.

Tajwan często określany jest jako jedno z najbardziej niebezpiecznych miejsc na Ziemi. Komunistyczne Chiny, mimo że nigdy nie rządziły wyspą, uważają ją za swoją zbuntowaną prowincję. Tsai Ing-wen rozumiała, że Tajwan tylko wtedy może stawić czoła zagrożeniu ze strony Pekinu, gdy będzie miał silne wsparcie USA. I ona o to wsparcie zabiegała. Podstawą stosunków Waszyngtonu z Tajpej jest Ustawa o relacjach z Taiwanem (Taiwan Relations Act), która weszła w życie w 1979 roku, gdy Waszyngton nawiązał stosunki z ChRL i tym samym wycofał formalne uznanie dla Republiki Chińskiej na Tajwanie. Dokument ten m.in. zobowiązuje USA do sprzedaży Tajwanowi defensywnej broni i utrzymywania zdolności do pomocy wyspie w jej obronie bez jednoczesnego zobowiązania Waszyngtonu do tej obrony, co nazywane jest strategiczną dwuznacznością. Tsai uważała, że jeśli Tajwan chce mieć gwarancje, iż Amerykanie przyjdą na pomoc, gdy wyspa zostanie zaatakowana przez

eprasa.pl 4b912c059

ChRL, to musi przede wszystkim pokazać, że sam gotowy jest do obrony. Pod rządami Tsai obowiązkowa służba wojskowa dla mężczyzn została przedłużony z czterech miesięcy do roku i wzrosły wydatki na obronę. Kiedy Tsai przejmowała władzę, Tajwan wydawał 1,8 proc. PKB na obronność. Dziś jest to 2,5 proc. Jej rząd zainwestował także w krajową produkcję dronów, odrzutowców, rakiet i łodzi podwodnych. Podniósł płace żołnierzy, aby poprawić morale, i zwiększył szkolenia we współpracy ze Stanami Zjednoczonymi.

Stawić czoła chińskiej sile

Nowy prezydent Lai Ching-te, który także jest z DPP i w latach 2020–2022 był wiceprezydentem, będzie kontynuował politykę Tsai Ing-wen. Nie mógłby tego nie robić. Po drugiej stronie Cieśniny Tajwańskiej są Chiny, których budżet obronny w latach 2000–2016 rósł co rok o około 10 proc. Teraz oficjalne wydatki na armię rosną o około 7 proc., ale American Enterprise Institute (AEI), prawicowy think tank ze Stanów Zjednoczonych, twierdzi, że w rzeczywistości Chiny na obronność wydadzą w tym roku ponad 700 mld dolarów. To już niewiele mniej od amerykańskiego budżetu obronnego. W tym roku Pentagon planuje wydać 842 mld dolarów. Należy też pamiętać, że dziś ChRL już ma największą marynarkę wojenną na świecie. W jej flocie znajduje się 370 okrętów, a według Biura Wywiadu Morskiego USA, do 2035 roku Chiny będą miały o 50 proc. więcej okrętów wojennych niż USA. Chiny mają także największą na świecie straż przybrzeżną. Jej flota to około 150 dużych okrętów patrolowych o wyporności co najmniej 1000 ton. Dla porównania Japonia ma ich około 70, a USA 60. Pekin jest też na drodze, by mieć największe siły powietrzne świata. Raport Pentagonu z 2023 roku dotyczący chińskiej armii, stwierdza, że siły powietrzne i marynarka wojenna ChRL łącznie dysponują ponad 3150 samolotami, z wyłączeniem maszyn szkolno-treningowych i bezzałogowych systemów powietrznych (UAS). Dla porównania Stany Zjednoczone to około 4 tys. samolotów bojowych, z wyłączeniem maszyn szkoleniowych i dronów. Pekin ma także bardzo ambitne plany co do rozbudowy swojego arsenału jądrowego. Chiny posiadają obecnie ponad 500 głowic atomowych, ale, jak szacuje Pentagon, do 2030 roku będą miały 1 tys. głowic, zaś do 2035 roku – 1,5 tys. USA posiadają obecnie ponad 5 tys. głowic, podobnie jak Rosja.

Lai Ching-te tak jak jego poprzedniczka rozumie, że Tajwan musi się zbroić, oraz to, że obronić się może tylko przy wsparciu USA. Symulacja możliwej chińskiej inwazji na Tajwan w 2026 roku przeprowadzona przez amerykański think tank Center for International Strategic Studies (CSIS) pokazuje, że konflikt ten przyniesie ogromne straty sił USA, Tajwanu i Japonii, ale zwycięstwo Chin jest możliwe w tylko jednym przypadku – gdy Tajwan zostanie pozostawiony sam sobie.

Tajwan jest ważny

Pekin widzi 64-letniego Lai Ching-te jako separatystę i wichrzyciela. 20 maja bieżącego roku podczas swojego zaprzysiężenia na stanowisko prezydenta, Lai zwrócił się do Chin, by uszanowały wybór Tajwańczyków, oraz podkreślił, że „Republika Chińska (na Tajwanie) i Chińska Republika Ludowa nie są sobie podporządkowane". Nowy prezydent dodał, że „nikt nie powinien rozważać rezygnacji z suwerenności narodowej w zamian za władzę polityczną". Gdy w Europie, m.in. w Polsce, są liberalni politycy gotowi poświęcić suwerenność własnego kraju na rzecz europejskich stanowisk, nowy tajwański przywódca mówi do swoich rodaków, że nie ma większej wartości niż suwerenność. Lai obiecał też, że będzie budował „Tajwan należący do świata bardziej niż Tajwan należący do Chin".

W momencie rosyjskiej pełnoskalowej inwazji na Ukrainę, świat zaczął rozumieć, że kolejnym miejscem, w którym wybuchnie konflikt, może być Tajwan, a konsekwencje tej wojny będą dużo większe. Tajwańczycy często mówią, że „Taiwan matters" – Tajwan jest ważny. Jest ważny gospodarczo, bo to gigant, jeśli chodzi o produkcję półprzewodników. To z wyspy pochodzi ponad 60 proc. światowej produkcji wszystkich chipów i około 90 proc. tych najbardziej zaawansowanych. Gadżety, które są podstawowymi narzędziami w naszym współczesnym życiu, od telefonów po samochody i maszyny przemysłowe, są napędzane tajwańskimi chipami. Ale fabryki, które je produkują, mogą zostać zniszczone przez inwazję. Jeśli nawet w wyniku konfliktu zakłady te przetrwają, to będą pod nadzorem komunistycznych Chin. A to oznacza kontrolę Pekinu nad światową gospodarką.

Tajwan ma również ważne strategicznie położenie. To przez Cieśninę Tajwańską, oddzielającą ChRL i Tajwan, z Japonii, Korei Południowej, Chin i Tajwanu płyną statki do portów zachodnich, przewożąc towary z azjatyckich centrów produkcji na rynki w Europie, USA i do wszystkich miejsc pomiędzy nimi. Według danych zebranych przez Bloomberg, prawie połowa światowej floty kontenerowej i aż 88 proc. największych na świecie statków pod względem tonażu prze-

eprasa.pl 48b912c059

płynęła w ubiegłym roku właśnie tą drogą wodną. Wojna w Cieśninie Tajwańskiej byłaby więc potężnym uderzeniem w łańcuchy dostaw na Zachód. Dodatkowo to, co stanie się z Tajwanem, to prawdziwy sprawdzian dla światowego przywództwa USA. Mówił o tym, odwiedzając Tajwan podczas inauguracji Lai Ching-te, były sekretarz stanu USA Mike Pompeo. Gdyby Chiny zmiażdżyły autonomię Tajwanu, dokonując inwazji lub zmuszając wyspę do niechcianej unii politycznej, byłby to jasny sygnał dla sojuszników Waszyngtonu, m.in. dla Japonii, Korei Płd. czy Filipin, że potęga USA w regionie Indo-Pacyfiku się skończyła.

Konserwatyzm zbudował dzisiejszy Tajwan

Mike Pompeo w swoim wystąpieniu na Tajwanie zwrócił uwagę na jeszcze jeden aspekt, który sprawia, że wyspa jest ważna, zwłaszcza dla środowisk konserwatywnych. Były sekretarz stanu w administracji Trumpa stwierdził, że u źródeł sukcesu Tajwanu i tajwańskiej demokracji leży konserwatywne dziedzictwo. Tajwan pod rządami Tsai Ing-wen przyjął pewne aspekty liberalnej agendy, m.in. jako pierwszy kraj w Azji zaakceptował małżeństwa homoseksualne, ale jednocześnie dla większości Tajwańczyków jedną z najważniejszych wartości jest rodzina. To wokół niej wszystko się skupia. To dla niej Tajwańczycy ciężko pracują i inwestują w edukację. Mieszkańcy wyspy szanują własność prywatną i uważają, że każdy powinien być traktowany z godnością. Wyspa słynie z wolności religijnej – Mike Pompeo nazwał ją tu wzorem godnym do naśladowania. Gdy na Zachodzie usuwa się krzyże z różnych instytucji (choć jeszcze nie z kościołów jak w Chinach), na Tajwanie widok krzyża na przykład w szpitalu nikogo nie bulwersuje. Pompeo ma rację, gdy mówi, że Tajwan jest latarnią, pokazującą jak tradycja i nowoczesność mogą współistnieć.

Chińsko-rosyjskie zagrożenie

Nowa administracja na Tajwanie musi stawić czoła zagrożeniu ze strony Chin, ale alarmuje też świat, że rośnie współpraca Pekinu i Moskwy. „Rosja i Chiny pomagają sobie nawzajem w poszerzaniu swojego zasięgu terytorialnego, a demokracje muszą przeciwstawić się państwom autorytarnym, które zagrażają ich prawom i suwerenności" – powiedział w wywiadzie dla agencji AP Joseph Wu, który w rządzie Tsai Ing-wen pełnik rolę ministra spraw zagranicznych, a w administracji Lai Ching-te jest sekretarzem generalnym Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Inauguracja Laia miała miejsce kilka dni po wizycie Władimira Putina w Chinach, podczas której Moskwa i Pekin potwierdziły pogłębienie współpracy obu krajów w wielu dziedziach, m.in. wojskowej. Pekin i Moskwa zobowiazały się „rozszerzyć zakres wspólnych ćwiczeń i szkoleń bojowych, regularnie przeprowadzać wspólne patrole morskie i powietrzne, zwiększać koordynację i współpracę na płaszczyźnie dwustronnej i w formatach wielostronnych oraz stale podnosić zdolności oraz poziom wspólnej reakcji na wyzwania i zagrożenia". Chiny ponownie przedstawiły swoje wsparcie dla Rosji, dzięki któremu może funkcjonować maszyna wojenna Kremla, jako „normalne relacje gospodarcze", a Putin powiedział, że „Tajwan jest integralną częścią Chin, sprzeciwia się niepodległości Tajwanu w jakiejkolwiek formie i zdecydowanie wspiera działania strony chińskiej na rzecz ochrony własnej suwerenności i terytorialnej integralności, a także zjednoczenia kraju".

Po tej wizycie Joseph Wu zaapelował do Zachodu, by nie ustawał w pomocy dla Ukrainy. „Jeśli Ukraina zostanie ostatecznie pokonana, myślę, że to zachęci Chiny i mogą one podjąć jeszcze bardziej ambitne kroki w celu rozszerzenia swojej władzy w regionie Indo-Pacyfiku, co będzie katastrofalne dla społeczności międzynarodowej". Od nowej administracji na Tajwanie można oczekiwać kontynuacji wsparcia dla Ukrainy. Prezydent Tsai Ing-wen zawsze podkreślała, że bardzo ważna jest tu współpraca z Polską i Lai Ching-te z pewnością tę kooperację będzie chciał rozszerzać.

Wewnętrzne problemy

Ale poza zagrożeniem ze strony Chin i rosnącą współpracą Moskwy z Pekinem, dużym wyzwaniem dla Lai Ching-te będzie sytuacja polityczna w kraju. W styczniowych wyborach jego partia, DPP, utraciła większość parlamentarną, jaką cieszyła się przez całą kadencję Tsai Ing-wen. Na dwa dni przed inauguracją Laia sześciu parlamentarzystów trafiło do szpitala po bójce w sejmie w związku z próbami przeforsowania przez partie opozycji ustawy z pominięciem standardowej procedury. W dniu inauguracji pod parlamentem przeciwko tej ustawie, w rzeczywistości łamiącej konstytucję i blokującej prace prezydenta i rządu, rozpoczęli protesty młodzi Tajwańczycy. W kwietniu główna partia opozycyjna, Kuomintang, wysłała delegację posłów do Chin na rozmowy z tamtejszymi wyższymi urzędnikami. W swoim przemówieniu inauguracyjnym Lai wezwał wszystkie partie, by „wierzyły we współpracę" i „przestrzegały sprawiedliwości proceduralnej" w parlamencie. Mówił o potrzebie unikania konfliktów i budowie stabilnego i harmonijnego społeczeństwo. Wydarzenia tuż przed jego prezydenturą i na jej początku pokazują, że nie będzie to łatwe. ■

eprasa.pl 48b912c059

Wojna jest zbyt poważną rzeczą, by powierzyć ją wojskowym

Georges Clemenceau, premier Francji

Antoni Rybczyński

Figury Putina

Już przed laty na demonstracjach antyreżimowych w Rosji – to było dawno temu, gdy jeszcze przychodziły na nie tysiące ludzi – uwagę zwracał portret zagadkowej postaci noszony przez protestujących. W mundurze obwieszonym orderami, o twarzy dziwnej. Bo trochę Breżniew, ale może nawet bardziej Putin? „Putniew" – tak nazwali pana z portretu. Już wtedy nie było wątpliwości, w jakim kierunku idzie rosyjski reżim.

eprasa.pl 48b912c059

FOT. ALEXANDER KAZAKOV / SPUTNIK / KREMLIN POOL/PAP/EPA

Ostatnie zmiany na szczytach władzy, w związku z rozpoczęciem nowej kadencji prezydenckiej Władimira Władimirowicza, jedynie to potwierdziły. 71-letni dyktator nie odważył się (może nie mógł, może nie chciał) na poważniejszą wymianę. Tak naprawdę mamy dziś w Rosji gerontokrację. Jak za późnego Breżniewa. Minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow (74 lata), dyrektor Federalnej Służby Bezpieczeństwa Aleksandr Bortnikow (72 lata), dyrektor Rosgwardii Wiktor Zołotow (70 lat), dyrektor Służby Wywiadu Zagranicznego Siergiej Naryszkin (69 lat) zachowali swoje stanowiska na starcie nowej kadencji prezydenckiej. Były minister obrony, a teraz nowy sekretarz Rady Bezpieczeństwa Siergiej Szojgu ma 68 lat, a jego następca na stanowisku szefa resortu obrony Andriej Biełousow ma lat 65. To właśnie ta zmiana wywołała najwięcej szumu. I nie ma się co dziwić. Zmiana ministra obrony w środku wojny? I do tego zastąpienie go makroekonomistą?

Głowa Szojgu

Źródła Faridy Rustamowej, dziennikarki od lat pozyskującej rzetelne informacje z wewnętrznego kręgu Putina, sugerują, że były co najmniej dwa powody, dla których Putin zdecydował się zwolnić Szojgu. Po pierwsze, minister obrony chciał być zaangażowany w bezpośrednie dowodzenie wojskami. Było to irytujące dla Putina, który sam jest zaangażowany w decyzje wojskowe i pozostaje w bliskim kontakcie ze Sztabem Generalnym. Po drugie, Szojgu politycznie odpowiada za korupcję w wojsku i poważne problemy z zaopatrzeniem armii. Prowojenni propagandyści i nacjonalistyczni komentatorzy nieustannie narzekają na braki i niską jakość sprzętu i środków medycznych. Był też przecież pucz Prigożyna. Nawet Putin przyznał, że armia nie ma wystarczającej liczby dronów i sprzętu komunikacyjnego. Głównym problemem z Szojgu było jednak to, że on i jego zaufani wiceministrowie zaczęli ufać generałom. I to jest prawdziwy powód czystki w resorcie, nie korupcja. W Rosji skorumpowani są niemal wszyscy. Nie trzeba nawet fabrykować dowodów. Wystarczy decyzja polityczna, a szuflada pełna kompromatów otwiera się w gabinetach szefów paru służb. Wiceminister Timur Iwanow przyszedł do resortu obrony wraz z Szojgu i był odpowiedzialny za wielomiliardowe budowy wojskowe i wojskowy program hipoteczny. Jurij Kuzniecow, szef Głównego Zarządu Kadr od maja 2023 roku, wcześniej odpowiadał za ochronę informacji niejawnych w resorcie. Ich aresztowania

eprasa.pl 4ab912c059

pokazały nie tylko skalę korupcji wewnątrz resortu obrony, lecz także bezsilność Szojgu, który nie może obronić swych towarzyszy.

Z Szojgu Putin jeździł na wakacje, Szojgu od momentu objęcia stanowiska ministra obrony utrwalał wszystkich w przekonaniu, że armia rosyjska jest coraz potężniejsza. Miały to potwierdzać aneksja Krymu, zwycięska rebelia w Donbasie czy operacja wojskowa w Syrii. Sytuacja zmieniła się wraz z wybuchem pełnoskalowej wojny z Ukrainą, kiedy okazało się, że jedną z genialnych umiejętności Szojgu był PR, a kiedy przyszło do operacji wojskowych, okazało się, że ten PR wprowadził w błąd nie tylko obywateli, lecz także Putina. Słynne zdanie Prigożyna: „Szojgu! Gierasimow! Gdzie amunicja?", stało się symbolem niekompetencji i korupcji rosyjskiego dowództwa wojskowego. Zajęcie Bachmutu i Awdijiwki nie zmieniło negatywnego nastawienia turbo-patriotów do byłego już ministra. Przetrwawszy niepowodzenia kampanii wojskowej 2022 roku i bunt Prigożyna, być może Szojgu nadal jednak kierowałby ministerstwem obrony: Putin ceni lojalność ponad profesjonalizm, zwłaszcza że sytuacja na froncie dla Rosjan od lata ubiegłego roku jest pomyślna. Ale Putin zdecydował, że pozostanie Szojgu na stanowisku ministra obrony będzie dla niego bardziej szkodliwe niż dymisja lojalnego ministra. Dymisja, która zadowoli szeroką część rosyjskiego społeczeństwa.

Jeśli w ogóle dopuszczano możliwość dymisji Szojgu, to raczej następcę widziano w Aleksieju Diuminie, gubernatorze Tuły, byłym zaufanym oficerze ochrony Putina, w międzyczasie wiceministrem obrony zaangażowanym w błyskotliwą operację zajęcia Krymu. Takie rozwiązanie od dawna promował Wiktor Zołotow, szef Rosgwardii, wróg Szojgu. Wielokrotnie próbował awansować na szefa resortu swojego byłego podwładnego (Zołotow był wcześniej szefem Federalnej Służby Ochrony). Nic więc dziwnego, że oferta Putina dotycząca kierowania ministerstwem obrony była podobno szokiem dla Biełousowa. Wiadomo, że Biełousow ma trudne relacje z premierem Michaiłem Miszustinem, a w ostatnich tygodniach pojawiły się pogłoski, że może zostać przeniesiony ze stanowiska pierwszego wicepremiera i mianowany rektorem uniwersytetu lub szefem organu takiego jak państwowa korporacja deweloperska VEB.RF. Putin zdecydował się jednak na awans. Dlaczego? Po pierwsze, całkowita lojalność Biełousowa wobec Putina. Po drugie, Biełousow nie należy do żadnego z wpływowych klanów. Obawiając się zamachu stanu, Putin zawsze stara się unikać uczynienia jednego klanu zbyt potężnym. Wielką zaletą Biełousowa jest to, że nie ma on własnego dużego zespołu, jak Szojgu, który przenosił się ze swoją ekipą z jednego miejsca służby do drugiego. Po trzecie, Biełousow ma reputację osoby nieprzekupnej. Po czwarte, przypisuje mu się duże zasługi z tytułu obecnego – całkiem dobrego, mimo wojny i sankcji – stanu gospodarki rosyjskiej. Czy słusznie się przypisuje? Podczas gdy Elwira Nabiullina, szefowa Banku Centralnego, czy minister finansów Anton Siłuanow byli naprawdę skuteczni w rozwiązywaniu problemów finansowych i gospodarczych (spowodowanych głównie polityką samego Putina) jeszcze przed wojną na pełną skalę, trudno jest określić mocne strony i zasługi Biełousowa oraz miarę jego skuteczności. Sam Biełousow pełnił funkcję szefa Ministerstwa Rozwoju Gospodarczego przez nieco ponad rok i był wieloletnim doradcą prezydenta. Trudno powiedzieć, jaki dokładnie wkład Biełousow wniósł w rozwój i wzmocnienie rosyjskiej gospodarki.

Od 2004 roku kolejni rosyjscy ministrowie obrony – Siergiej Iwanow, Anatolij Sierdiukow i Siergiej Szojgu – nie mieli żadnego doświadczenia w siłach zbrojnych przed nominacją. Biełousow kontynuuje ten trend. Taka praktyka jest powszechna w krajach demokratycznych, ale w Rosji chodzi o coś innego. Kreml nie ufa przywódcom wojskowym. Biełousow pełnił funkcję pierwszego wicepremiera Rosji od stycznia 2020 do maja 2024 roku. Oprócz oczywistej konieczności poprawy finansowania wojny z Ukrainą, Biełousow musi sprawować lepszą kontrolę nad rosyjskimi generałami i ich działaniami niż Szojgu. Co więcej, nominacja Biełousowa wskazuje, że produkcja broni, dostawy, logistyka i rekrutacja żołnierzy w rosyjskich siłach zbrojnych są w znacznie gorszym stanie, niż wcześniej twierdzili rosyjscy urzędnicy.

▶ Stajnia Augiasza

Ministerstwo obrony pod rządami Biełousowa czeka audyt i kontrola ogromnych wydatków wojskowych, walka z korupcją i czystki kadrowe. Jednak mianowanie ekonomisty na stanowisko ministra obrony w czasie wojny oznacza również przygotowanie do długotrwałej wojny z Ukrainą. Biełousow jest znany ze swojej lojalności wobec Putina, zaangażowania w dostosowanie rosyjskiej gospodarki do sankcji oraz promowania gospodarki mobilizacyjnej w duchu „wszystko dla frontu, wszystko dla zwycięstwa". Komentując posunięcie Biełousowa, rosyjski ekspert Aleksander Baunow pisze: „Zwycięską strategią w tym przypadku nie będą mobilizacje i przełomy, ale powolna presja na Ukrainę z przewagą rosyjskiego kompleksu wojskowo-przemysłowego i gospodarki jako całości, która

eprasa.pl 48b912c059

najwyraźniej ma być zmuszona do bardziej efektywnej pracy na froncie i na tyłach". Wojna i zachodnie sankcje pomogły przekształcić rosyjską gospodarkę w zamknięty ekosystem. Rosja nadal otrzymuje dochody z eksportu energii. Ale odpływ kapitału się załamał. W rezultacie Rosja ma dużo pieniędzy. Obecnie rosyjska gospodarka rozwija się w najszybszym tempie od ponad dekady i nie ma wątpliwości, że duża część pracy Biełousowa będzie polegała na zapewnieniu efektywnego wydawania generowanych przez nią pieniędzy. Kreml ma mnóstwo gotówki na kontynuowanie wojny na Ukrainie i chce jak najlepszego zwrotu ze swojej „inwestycji". Zgodnie z budżetem na ten rok, na armię i inne agencje bezpieczeństwa przeznaczono 14,2 biliona rubli (154 mld dolarów). To około 8 proc. PKB (rekord dla współczesnej Rosji). Na spotkaniu z generałami Putin przyznał nawet, że obawia się powtórzenia losu Związku Sowieckiego, kiedy to wysokie wydatki na obronę przyczyniły się do załamania gospodarczego. Jednak zanim Rosja osiągnie ten punkt, musi przejść jeszcze długą drogę (w późnym okresie sowieckim roczne wydatki na obronę wynosiły około 13 proc. PKB). Sam Putin powiedział, że Biełousow ma zapewnić lepsze zarządzanie pieniędzmi, które Kreml wydaje na wojnę.

Pytanie, jak Biełousow poradzi sobie ze skutecznym zarządzaniem ogromną biurokracją ministerstwa obrony. Nie ma on żadnego doświadczenia w kierowaniu tak ogromną organizacją. Jeden z byłych współpracowników powiedział, że czas Biełousowa jako ministra rządu (2012–2013) pokazał, iż nie nadaje się on do tego zadania. Jest on co prawda mniej skorumpowany niż jego poprzednik, ale korupcja w resorcie sięga głęboko. Aresztowania zastępców Szojgu i kilka rezygnacji po mianowaniu Biełousowa, w tym Tatiany Szewcowej, która kontrolowała ogromne przepływy finansowe Ministerstwa Obrony od 2010 roku, oznaczają, że przed Biełousowem trudne zadanie, żeby oczyścić ministerstwo. Jego doświadczenie na stanowiskach kierowniczych jest ograniczone, a wiedza z zakresu makroekonomii będzie mało pomocna w lobbowaniu na rzecz wojska, aby otrzymało więcej broni i dostaw, czego oczekuje od niego generalicja. Logistyka to pięta Achillesowa rosyjskiej machiny wojennej – od początku pełnoskalowej wojny aż trzy razy zmieniał się wiceminister za to odpowiedzialny. Dopiero dwa tygodnie przed dymisją Szojgu przyznał, że pojawiły się problemy z ilością i jakością produkowanego uzbrojenia, w przeciwieństwie do jego wypowiedzi w 2023 roku i pierwszych czterech miesiącach 2024 roku.

Biełousow nie może też ingerować w kierowanie operacjami bojowymi, co pozostawiono szefowi sztabu generalnego Waleremu Gierasimowowi (68 lat). Pytanie, na jak długo? Wydaje się, że Putin będzie konsekwentny i pozbędzie się też drugiej połowy tandemu, do której Prigożyn (pucz z czerwca 2023 roku wciąż budzi w dyktatorze strach pomieszany z wściekłością) krzyczał na oczach całej Rosji: „Szojgu! Gierasimow! Gdzie amunicja?". Przecież te wszystkie zmiany na stanowiskach dowódczych w czasie wojny, nieudolność generałów, fiasko obietnicy „zajmiemy Kijów w trzy dni" – to obciąża nie tylko Szojgu. W przypadku konkretnych decyzji operacyjnych, bardziej Gierasimowa. Przejście na emeryturę 68-letniego szefa rosyjskiego Sztabu Generalnego i pierwszego zastępcy ministra obrony, jest więc wysoce prawdopodobne jeszcze w tym roku, pomimo oficjalnych zapewnień, że nie ma takiej opcji. Zdaje się to potwierdzać aresztowanie jednego z jego zastępców, gen. Wadima Szamarina, szefa Głównego Zarządu Łączności Sił Zbrojnych.

Biełousow nie ma też władzy nad kompleksem obronno-przemysłowym. Kieruje nim nowo awansowany pierwszy wicepremier Denis Manturow, a nadzorują go Szojgu – ze stanowiska sekretarza Rady Bezpieczeństwa (poprzez pracę Federalnej Służby Współpracy Wojskowo-Technicznej, wcześniej wyprowadzonej spod nadzoru Ministerstwa Obrony) i nowo mianowany doradca Putina, wspomniany już wcześniej Aleksiej Diumin. Próby uporządkowania przez Biełousowa bałaganu w wydatkach wojskowych sprawią, że stanie się on dość niepopularny we własnym ministerstwie. Rostech, z Siergiejem Czemiezowem na czele, zaopatruje ministerstwo obrony w sprzęt wojskowy i jeśli Biełousow będzie miał jakiekolwiek zastrzeżenia do pracy tej państwowej korporacji, sprowokuje poważny konflikt. A warto pamiętać, że jak głoszą plotki, konflikt Szojgu z Czemiezowem walnie przyczynił się do skreślenia ministra obrony przez Kreml.

▶ Gra klanami

Największą niespodzianką ostatnich roszad personalnych nie jest jednak wcale dymisja Szojgu, lecz dotychczasowego sekretarza Rady Bezpieczeństwa Nikołaja Patruszewa (72 lata). Nominacja na doradcę prezydenta nadzorującego przemysł stoczniowy to degradacja. To stanowisko, które zostało dla niego wymyślone, tak samo było kiedyś z Siergiejem Iwanowem, który w 2016 roku opuścił fotel szefa administracji prezydenckiej, aby zostać specjalnym wysłannikiem prezydenta ds. ochrony środowiska. Wiele wskazuje na to, że to polityczna emerytura Patruszewa, który w 2008 roku przestał być szefem FSB i objął pozornie mało znaczącą funkcję sekretarza

eprasa.pl 48b912c059

Rady Bezpieczeństwa, przekształcił ją w kluczową instytucję reżimu z potężnym personelem i priorytetowym dostępem do prezydenta. Być może to właśnie zbyt silna pozycja sprawiła, że Putin postanowił ukarać swego wiernego bojara. Szojgu nie ma szans, by stać się tak silnym politycznym graczem jak jego poprzednik na stanowisku sekretarza Rady Bezpieczeństwa. Jak pisze Paweł Baev w analizie dla Jamestown Foundation: „Szojgu prawdopodobnie czuje się niekomfortowo na swoim nowym stanowisku, które wymaga umiejętnego manewrowania i równoważenia interesów kluczowych osób i służb bezpieczeństwa w rosyjskich władzach. Były minister obrony zawsze polegał na własnym zespole oddanych zwolenników i prawdopodobnie będzie miał trudności ze współpracą z pracownikami wybranymi przez jego poprzednika. Głównym problemem jest jednak to, że obowiązki sekretarza Rady Bezpieczeństwa polegają głównie na koordynacji. Patruszew, były dyrektor FSB, wykonywał to zadanie opierając się na swoich sieciach w służbach specjalnych. W swojej długiej karierze politycznej Szojgu zawsze zajmował stanowiska wykonawcze, kontrolując zasoby materialne i wydając rozkazy, a nie zalecenia. Podczas gdy intrygi na kremlowskich korytarzach są mu dobrze znane, godzenie sprzecznych interesów potężnych podmiotów rządowych nie jest jego mocną stroną".

Syn byłego sekretarza Rady Bezpieczeństwa, Dmitrij Patruszew, który do niedawna kierował ministerstwem rolnictwa, został wicepremierem. Całkiem możliwe, że to rekompensata za dymisję Patruszewa seniora. Jak zauważa Tatiana Stanowaja z Centrum Studiów Rosji i Eurazji Carnegie w Berlinie, „wszystkie nowe nominacje jednocześnie niosą ze sobą elementy wzmocnienia i osłabienia" grup wpływów. Choć jest w nich wspólny mianownik: osłabienie premiera Miszustina. Zamiast Biełousowa, pierwszym wicepremierem został Denis Manturow, który wcześniej kierował Ministerstwem Przemysłu i Handlu. Zarówno on, jak i jego następca na stanowisku szefa Ministerstwa Przemysłu i Handlu Anton Alichanow (wcześniej gubernator obwodu królewieckiego), uważani są za polityków bliskich szefowi Rostechu Siergiejowi Czemiezowowi. Były minister energetyki Aleksandr Nowak został wicepremierem odpowiedzialnym za blok energetyczny, gospodarczy, budżetowy i finansowy. Wcześniej tymi kwestiami zajmował się Andriej Biełousow. Do rządu powołano czterech gubernatorów: Siergieja Cywiliowa (obwód kemerowski), Antona Alichanowa (obwód królewiecki), Michaiła Diegtiarewa (obwód chabarowski) i Romana Starowojta (obwód kurski). Cywiliow, nowy minister energetyki, to człowiek Giennadija Timczenki, natomiast Starowojt, minister transportu, uważany jest za twór Arkadija Rotenberga. Borys, syn przyjaciela oligarchy Putina, Jurija Kowalczuka, został mianowany szefem Izby Obrachunkowej. Widać jednocześnie chyba już zmierzch wpływów Igora Sieczina, jeszcze przed wybuchem wojną określanego jako numer dwa lub trzy w reżimie. Żaden z ludzi szefa Rosnieftu nie pojawił się w nowym rozdaniu. Ale podobnie już przegrani są Aleksiej Miller, szef podupadającego Gazpromu czy Dmitrij Miedwiediew, któremu pozostało błaznowanie w mediach społecznościowych.

Rosyjscy eksperci zauważają, że nowy gabinet Miszustina stał się bardziej konfliktowy, a wpływy premiera zmniejszyły się: podczas gdy wcześniej mógł sprzeciwiać mu się pierwszy wicepremier Biełousow, teraz są też Manturow i Patruszew junior. „Dla Putina ważne jest, aby potężne korporacje nie były zbyt niezależne. Kiedy na czele dużej korporacji wojskowej stoi osoba z zewnątrz – Szojgu lub Biełousow – oznacza to, że korporacja słabnie i nie może wyrażać swoich interesów politycznych poprzez swojego szefa. Jednocześnie ten, kto stoi na czele tej korporacji, nie może wykorzystywać jej zasobów do niezależnej gry politycznej" – mówił politolog Nikołaj Pietrow na łamach „Nowej Gazety Europa". „System nominacji Putina działał dobrze, gdy miał współpracowników. Nigdy nie mianuje ludzi, których nie zna osobiście od wielu lat. Kiedyś byli to współpracownicy z KGB lub biura mera Petersburga. Potem przyszli ochroniarze: ludzie, którzy byli z nim od kilkunastu lat. A dzieci współpracowników – to już chyba krok wymuszony. A potem nie ma nikogo do mianowania, po prostu przenosi ludzi z jednego stanowiska na drugie, tasuje tę samą talię. Ludzie już zaczynają umierać na stanowiskach, na przykład prezes Sądu Najwyższego". To wpływa na sprawę sukcesji. Po ostatnich nominacjach mówi się, jako o kandydatach na następcę Putina, o Manturowie, Diuminie, młodym Kowalczuku, młodym Patruszewie. Tylko czy nie jest to jedynie gra dyktatora? Putin wie, że gdyby już wskazał następcę, wyłoniłby się alternatywny ośrodek władzy, a on zostałby znacznie osłabiony i prawdopodobnie obalony. Sparzył się na Dmitriju Miedwiediewie dekadę temu i nie zaryzykuje ponownie. Według znanego politycznego blogera El Murida, „bizantyjski model rządów, który ukształtował się w Rosji jako autokratyczny despotyzm jednej osoby, całkowicie wyklucza przekazanie jakiejkolwiek realnej władzy, gdy despota wciąż żyje". Dzieje się tak dlatego, że jeśli zacznie tracić władzę, „nikt nie da nawet kopiejki za jego życie i pozycję" – i wie o tym „lepiej niż ktokolwiek inny". ■

eprasa.pl 48b912c059

Ryszard Czarnecki

Polskość vs zapach siarki

Obecny premier w bardzo dawnych czasach, w autoryzowanej ankiecie dla jednego z miesięczników stwierdził, że „polskość to nienormalność". Dla mnie i milionów rodaków wręcz przeciwnie: polskość to absolutna normalność. I oczywistość. To coś, czego nie tylko nie chcemy zmieniać, lecz wręcz jesteśmy gotowi walczyć, aby owa narodowa identyfikacja trwała. Ciekawe, jakby ową wypowiedź szefa rządu skomentował były prezydent RP na uchodźstwie Edward hrabia Raczyński? To on zapytany pod koniec lat 80. przez jednego z dziennikarzy: „Co to jest patriotyzm?", odpowiedział, że to tak, jakby jaskółkę zapytać, co to jest powietrze. Piękne słowa. A jednocześnie po wielkopolsku – prezydent, były szef MSZ i ambasador RP w Londynie, był dumny ze swoich rogalińskich korzeni – racjonalne.

A może jednak warto pokusić się o definicję polskości Anno Domini 2024? Jest czas globalizacji, przyspieszającej integracji europejskiej i w różnych elitach biznesowych, artystycznych i dziennikarskich moda na kosmopolityzm. Czy w związku z tym polskość stała się passé? Nie. Przeżyliśmy co prawda jako kraj żenujący okres lat 90., gdy po upadku komunizmu rzeczywiście dla wielu to, co własne, swojskie, polskie, nasze, narodowe stało się (także dla idiotów nawet z tytułami profesorskimi i na wysokich stanowiskach) – synonimem obciachu i czymś z czasu przeszłego dokonanego. Na szczęście milcząca polska większość nigdy się z Polski nie śmiała, choć łże-elity często z upodobaniem. Ten czas minął. Czy bezpowrotnie? Życie pokaże.

Dziś współcześni internacjonaliści nad Wisłą, Wartą i Odrą zrozumieli, że jeśli chcą być skuteczni i Polacy mają ich wybierać, to muszą mieć jakiś patriotyczny sztafaż i werbalnie czy symbolicznie odwoływać się do barw narodowych oraz pojęć takich jak „interes Polski". Można to nawet uznać za swoiste ideowe zwycięstwo obozu patriotycznego nad obozem internacjonalistycznym w naszym kraju. Jednak sytuacja jest bardziej skomplikowana. Trzy dekady wstecz była ona prosta. Tu byliśmy my, a tam byli oni z ich programową niechęcią do polskości, do polskiej racji stanu, polskich obyczajów. Po drugiej stronie my, dla których polskość nie była muzealnym artefaktem.

Dziś jednak mamy u nas do czynienia z czymś trudniejszym do przezwyciężenia. Chodzi bowiem o zatarcie dotychczasowego podziału na „swoich" i „obcych" oraz tych, którzy służą obcym, a przedstawiają się jako patrioci (taka swoista operacja „pod fałszywą flagą"). Na naszych oczach diabeł ubiera się w biało-czerwony ornat i na mszę dzwoni, a publika nie widzi, że to „czarna msza". Niby wszystko jest takie samo czy podobne, ale co bardziej doświadczeni czują smród siarki. I bynajmniej nie chodzi tu o naszego poczciwego polskiego diabła Borutę.

Polska się zmienia. To jasne. Ale czy zmienia się treść takich słów jak „patriotyzm" czy „służba ojczyźnie"? Nie chodzimy już w szlacheckich kontuszach, nie walczymy z wrogiem za pomocą kos stawianych na sztorc, jak pod Racławicami, gdy po raz pierwszy tak powszechnie stało się jasne, że naród to nie tylko „panowie szlachta". Zmieniły się kostiumy i uwarunkowania historyczne, ale dalej, może poza sprzedajną częścią elit, Polacy nie znoszą Rosjan, nie przepadają za Niemcami i nie ufają, pomni doświadczeniom historycznym, kilku innym nacjom. Wiele się zmienia, ale nie to.

Nie zmienia się także fakt, że mimo formalnie galopującej eurointegracji wszystkie narody skupione w UE walczą o swoje, czyli pilnują własnych interesów i korzyści. Gdy opadnie unijny pył, zostają narodowe interesy Niemców, Polaków, Francuzów itp. itd., często ze sobą sprzeczne, a czasem – współgrające.

Czy polskość coraz bardziej będzie zamykać się w sferze kultury? I tak, i nie. I tak, bo jak mówił w siedzibie UNESCO polski papież Jan Paweł II: „Narody wyrażają się poprzez swoją kulturę". I nie, bo jeśli nie będzie własnych i do tego jeszcze silnych struktur państwowych, to polskość stanie się łatwym celem dla wrogów, tarczą strzelniczą dla kosmopolitów, pochyłym drzewem, na które skacze internacjonalistyczna koza… ■

eprasa.pl 48b912c059

Paraíso, paraíso. Eu prefiro o paraíso! Raj, raj... Ja wolę raj!

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Są w życiu takie decyzje, o których konsekwencjach dowiadujemy się dopiero po kilku latach. Których owoce stają się zaskakujące nawet dla nas samych. Tak też było z pewną historią, która wydarzyła się w obdarzonej bardzo złą sławą faweli w Manaus. Mieście zlokalizowanym w samym środku amazońskiej puszczy. Do której to faweli zawitał swego czasu pewien Polak.

FOT. SILENCIO

Prąd bardzo często poprowadzony jest do faweli nielegalnie

Kilka chwil temu w pobliskim śmietniku znaleziono poćwiartowane zwłoki dwójki ludzi. Biegli wciąż badają, jak długo tu leżą. Czy ktoś tu je podrzucił? Czy morderstwo wydarzyło się właśnie tutaj, pod szkolnymi murami starego Manaus? Zresztą nie byłby to pierwszy napad w sąsiedztwie katolickiej uczelni, nad którą pieczę trzymają salezjańscy misjonarze. Napady z bronią w ręku, rabunki, grabieże czy zabójstwa stały się dla mieszkańców największego miasta Amazonii rzeczą tak naturalną i codzienną, jak to samo palące słońce, które każdego dnia wstaje, wyłaniając się zza koron największej puszczy świata.

Bo dziś stolica brazylijskiego stanu Amazonas nie jest najłatwiejszym miejscem do życia. W klasyfikacji na najbardziej niebezpieczne miasta Brazylii amazońska metropolia, zamieszkana przez przeszło 2 mln ludzi, prześcignęła już takie słynne z niebezpiecznych ulic, jak: Salvador, Recife czy Macapa. Zajmując tym samym mało zaszczytne drugie miejsce w rankingu uwzględniającym liczbę zabójstw w przeliczeniu na 100 tys. mieszkańców. Dzisiaj ten współczynnik dla Manaus wynosi aż 47,16. Wyższy (58,69) ma w Brazylii jedynie Feira de Santana.

– Wśród 560 uczniów, którzy uczęszczają do naszej szkoły, nie ma ani jednego, który nie doświadczyłby przemocy bądź napadu. W starej części Manaus, gdzie mieszkamy, takie zdarzenia to norma – tłumaczy ksiądz Sławomir Drapiewski SDB, oprowadzając po szerokich korytarzach szkoły, którą swego czasu zarządzał. Szkoły, która znajduje się nieopodal miejsca, gdzie nie dalej jak kilka lat temu spotkało go coś, co zupełnie zmieniło jego postrzeganie Manaus jako miasta idealnego do misjonarskiej posługi. Pamięta tamto wydarzenie ze wszystkimi szczegółami. Jakby wydarzyło się wczoraj.

Najważniejsza decyzja

Jednokierunkowa dwupasmówka imienia Luiza Antony'ego nie jest póki co zapchana samochodami. Najwidoczniej ludzie nie skończyli jeszcze pracy. Można swobodnie przebiec przez ulicę. Ksiądz Sławomir prędko zmienia stronę na tę mniej osłonecznioną. Marsz ocienionym zaułkiem powinien nieco ulżyć strudzonemu ciału. Naraz między dwoma odrapanymi domami salezjanin dostrzega niewielką dziurę. Sam nie rozumie, jak to możliwe, że

FOT. FERNANDO AVRILU

eprasa.pl 48b912c059

Rzeka Rio Negro stanowi dla mieszkańców Manaus okno na świat. Tą drogą przewozi się zarówno towary, jak i ludzi

przechodząc tędy już tyle razy, nigdy dotąd nie zauważył tego miejsca. Gdy podchodzi kilka metrów bliżej, dostrzega, że ciemna dziura to zejście w dół. Puste wilgotne schody nie zachęcają do zejścia. Coś jednak nakazuje księdzu Sławomirowi przeciwstawić się lękowi i podążyć w tym kierunku. Po kilku chwilach salezjanin jest już na dole. W zupełnie nowej rzeczywistości.

Widzi skromne chaty na drewnianych wysokich palach. Drągi wspinają się na wysokość pięciu-sześciu metrów, tworząc platformy, na których wznoszą się kolejne werandy i ganki. Poniżej znajduje się wyschnięte dno jakiegoś zbiornika. Jakby osuszonego bagna. Widać nawet dwie łodzie, które osiadły na gliniastym podłożu. Wszędzie walają się śmieci. Po chaotycznie skonstruowanym miasteczku prowadzą drewniane pomosty. Póki co nie widać, żeby ktoś miał po nich przechodzić. Jedynie jakiś malec wstydliwie wygląda przez drzwi pobliskiej chaty. Nigdy nie widział tu jeszcze księdza Sławomira. A on nigdy jeszcze nie widział tego chłopca.

– Oi! [Cześć! – przyp. aut.] – W tej sytuacji duchowny zdaje się na przyjacielskie pozdrowienie. Uśmiech i otwarta postawa. Od lat w ten właśnie sposób zjednuje sobie ludzi na latynoskim kontynencie. Za chwilę do tego grona dołączy także ten nieśmiały mieszkaniec faweli na palach. Faweli o nazwie Bairro do Céu. Tłumaczonej na polski jako faweli „Niebo".

– Oi… Cześć… – szepcze malec w odpowiedzi, by za moment zniknąć za futryną drzwi.

Ksiądz Sławomir pozna go nieco lepiej dopiero za kilka tygodni. Gdy wróci do faweli „Niebo" razem z jednym z tutejszych mieszkańców. Przewodnikiem, który niejako uwiarygodni jego wizytę. Bez takiego towarzysza podobna wizyta mogłaby się bardzo źle skończyć. Żyjący już kilkanaście lat w Brazylii misjonarz doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Wizytacja na Bairro do Céu przyniesie owoce. Już wkrótce w centrum faweli zostanie uruchomiona kaplica. Od tej pory budzący zaufanie wśród mieszkańców uśmiechnięty polski kapłan będzie tu przychodził przynajmniej raz w miesiącu. Będzie przynosić tutejszym ludziom Jezusa. Zbite z białych desek niewielkie pomieszczenie będzie na Bairro do Céu azylem spokoju i pokoju. Miejscem, które zaakceptuje nawet lokalny, dzierżący na faweli władzę gang. W środku kaplicy zostanie umieszczonych kilka pomalowanych na czerwono ławek, ustawionych po obu

FOT. DENNIS JARVIS

eprasa.pl 48b912c059

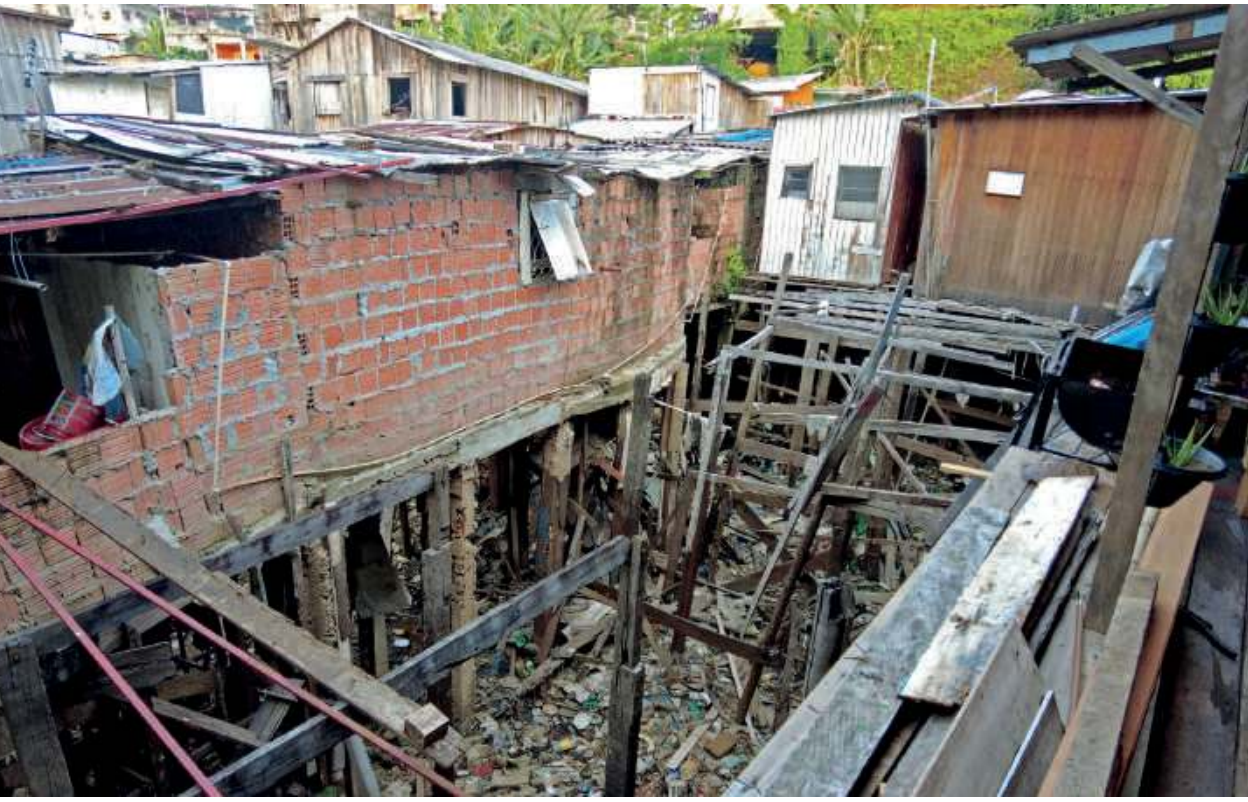

Ze względu na podmokłości domy faweli „Niebo" ulokowane zostały ma wysokich palach

stronach. Za niewielkim ołtarzem będzie widać wiszący na ścianie brązowy krzyż z krucyfiksem. I czerwony napis nad nim: „Da me vida pela Tua palavra" – „Przymnóż mi życia poprzez Twoje Słowo".

Salezjanin ma świadomość, że tamta decyzja o skręceniu w prawo w dół po schodach, pomimo lęku i oporów, okazała się jedną z najważniejszych, jakie podjął w swoim kapłańskim życiu. – Stało się dla mnie wtedy jasne, że jestem posłany także do tych ludzi tam. Wyjętych odrzuconych, niezatroszczonych – wspomina tamten dzień zakonnik.

Obiecany basen

– Lucas, jesteś już gotowy?! – Zza plastikowej kotary odgradzającej niewielkie pomieszczenie z aneksem kuchennym od głównej izby domu słychać zachrypnięty głos kobiety.

– Tak, mamo! Nie mogę tylko znaleźć moich kąpielówek… – odkrzykuje jedenastoletni chłopiec. Od kilku chwil krząta się po pomieszczeniu, kompletując rzeczy do małego plecaczka.

– Sprawdź na schodach pod wejściem do domu. Ostatnio tam je widziałam. Pewnie wiatr zwiał ze sznurka.

– Są! – słychać triumfalny okrzyk chłopca.

– To umyj jeszcze zęby przed wyjściem. Tylko szybko. Zaraz będzie ciocia.

Niedzielny poranek nad Manaus zwiastuje upalny dzień. Od wczesnych godzin na niebie nie widać żadnych większych chmur. Słońce zdążyło już wzbić się wysoko na nieboskłon, oświetlając budzące się do życia miasto. Schłodzone nocą wody okolicznych Rio Negro i Solimoes, które tworzą hydrologiczny fenomen na skalę światową (rzeki – jedna czarna, druga o kolorze jasnego kakao – płyną przez kilka kilometrów, nie mieszając się ze sobą), płyną dziś jakby szybciej niż zazwyczaj. Wszystko przez wczorajsze krótkie, lecz obfite ulewy. I choć chodniki miasta są dziś suche, obie wielkie rzeki, współtworzące sławną Amazonkę, płyną tak, jakby gdzieś im się bardzo spieszyło.

– Lucas, jestem! – przed jednym z odrapanych budynków faweli „Niebo" słychać kobiecy głos.

– Synku, ciocia przyszła! – matka chłopca odzywa się pierwsza.

eprasa.pl 48b912c059

Niegdyś fawele rozciągały się pod większymi aglomeracjami, niejako do nich się przyklejając. Dziś część z nich powstaje w historycznych centrach

– Już idę! – Chłopiec pospiesznie zakłada plastikowe klapki. Chwyta plecak i biegnie ku drzwiom.

– A zęby umyłeś? – W połowie drogi dogania go mama, trzymając w ręku wycierany kuchennym ręcznikiem talerz.

– Ale mamo… – chłopiec wykrzywia się grymaśnie.

– Marsz…

Chłopiec prędko zrzuca na ziemię niesiony przez siebie plecak i posłusznie wraca do łazienki. Za kilka chwil znów staje przed wejściem.

– Buziak na pożegnanie – mama próbuje rozchmurzyć malca, uśmiechając się czule. Po chwili zwraca się w stronę oczekującej przed domem cioci. – Kiedy mam się was spodziewać z powrotem?

– A to już zależy od twojego synka… – uśmiecha się szeroko opalona na ciemno kobieta. – Przed szesnastą powinniśmy już być.

– No dobrze, to będę czekać na was z obiadem.

Dla chłopca niedzielne wyjście na basen to atrakcja, na którą czekał cały tydzień. Ciocia obiecała mu to już dawno, ale ostatnio ciągle jej coś wypadało i musiała przekładać obiecany wypad. Dziś już jest. Chętna, aby wreszcie spełnić młodzieńcze marzenie siostrzeńca.

▶ Chwila

Ponieważ pogoda dopisuje, na miejskim basenie już od rana jest mnóstwo ludzi. Gwar, krzyki, piski, śmiech… Ktoś przebiega wzdłuż brzegu, ktoś bierze rozbieg, żeby móc skoczyć na główkę do wody, a inny chlapie wodą koleżankę. Jest naprawdę głośno. Ciocia Lucasa zajmuje jeden wspólny leżak dla ich obojga. Więcej wolnych miejsc nie widać.

– Pamiętaj tylko, żeby cały czas być w zasięgu mojego wzroku – udziela ostatnich wskazówek siostrzeńcowi.

Przy takim tłumie kąpiących się to jednak niemożliwe. Kobieta próbuje obserwować poczynania nastolatka, jednak co rusz ktoś przysłania jej widok. Tymczasem sam Lucas co chwilę odwraca się w stronę cioci, unosząc kciuk. Widać, że bawi się dobrze.

– Luciana! I ty tutaj?! – uszu cioci Lucasa dobiega jakiś głos.

– Ojej, Alice! Cześć! Nie zauważyłam cię…

FOT. STEFAN CZERNIECKI(2)

eprasa.pl 48b912c059

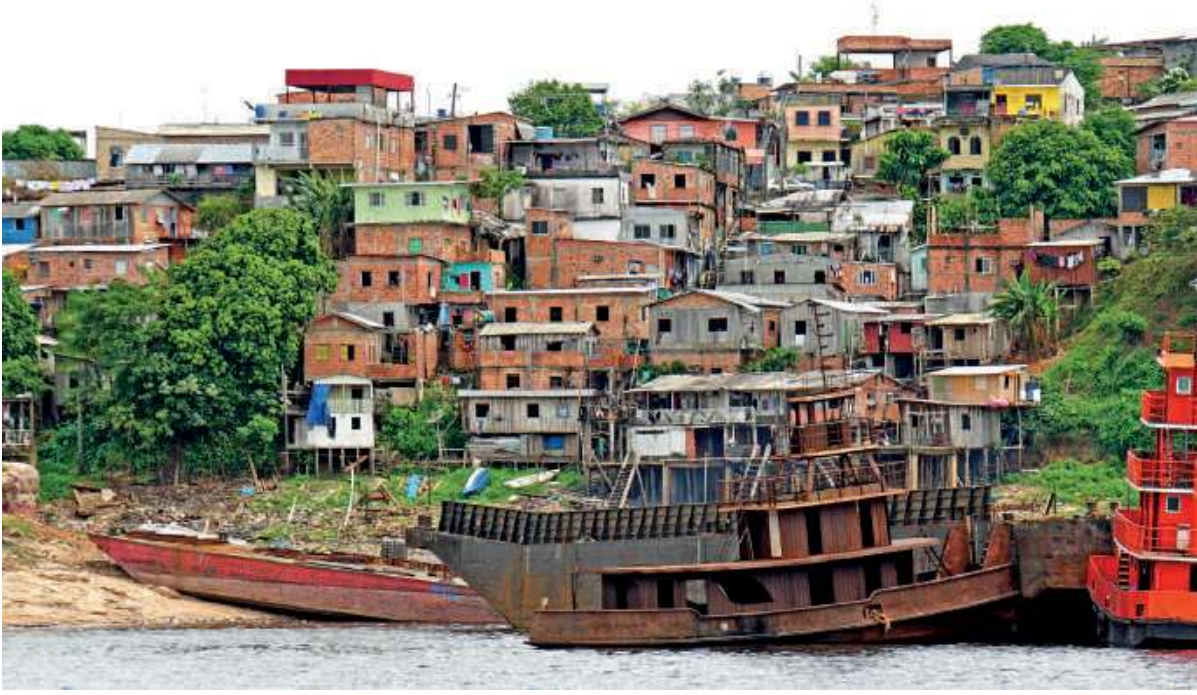

Fawela Bairro do Céu graniczy z wybrzeżem Rio Negro

– Wcale się nie dziwię. Przy takim tłumie… – uśmiecha się koleżanka. – Sama jesteś?

– Nie, wzięłam siostrzeńca. Obiecywałam mu ten wypad już dawno. Dziś wreszcie nadarzyła się okazja. A ty?

– Z Eduardo. Postanowiliśmy przyjechać, bo dawno oboje tu nie byliśmy.

– To trafiłyśmy dzień… Nie wiem, czy tu zawsze są takie tłumy…

– Podejrzewam, że tak. Ważne, że dzieci się dobrze bawią.

– À propos… – Pani Luciana momentalnie przypomina sobie, że już jakiś czas nie widziała machającego do niej Lucasa. Prędko odwraca się, żeby sprawdzić, gdzie aktualnie pluska się nastolatek.

Krzyki i głosy zlewają się ze sobą. Lucianie zdaje się, że ktoś gardłowo krzyczy. Że w basenie dzieje się coś niepokojącego. A może to tylko jej wrażenie? Mimo to fala niepokoju wzrasta. Czuje nieprzyjemny ucisk na żołądku.

– Lucas! – wśród kąpiących się rozchodzi się paniczny głos kobiety.

Walka i oczekiwanie

Ktoś z przebywających w basenie macha do kobiety. Krzyczy. Wśród wrzawy nie słychać, co dokładnie chce jej przekazać. Luciana obchodzi prędko basen, żeby zbliżyć się do wołającego. Widzi, że wokół niego gromadzi się coraz więcej ludzi. Paniczne myśli zaczynają kłębić się w głowie, mieszając się z racjonalnymi wytłumaczeniami. Strach, lęk, niepewność.

Po chwili Luciana już wie. Na tafli wody unosi się bezładnie ciało Lucasa. Chłopczyk zanurzony jest głową w dół. Jeden z pływających obok mężczyzn – ten sam, który machał w kierunku wołającej siostrzeńca Luciany – sprawnym ruchem wyjmuje dziecko z wody. Ktoś woła ratownika. Inny wzywa lekarza. Jakaś kobieta zaczyna płakać.

Akcja ratunkowa wydaje się iść sprawnie. Po kilkunastu minutach przy nieruchomym ciele Lucasa pojawiają się dwaj ratownicy medyczni. Usiłują przywrócić chłopcu funkcje życiowe. Odbywa się szybka resuscytacja krążeniowo-oddechowa. Póki co bezskuteczna. Obserwująca wszystko z bliska Luciana chowa twarz w dłoniach.

Chłopiec w stanie krytycznym zostaje zawieziony do szpitala. Teraz to lekarze z bloku operacyjnego podejmą próbę ratowania życia jedenastolatkowi. Luciana także wchodzi do ambulansu. W trakcie prób reanimacji dziecka będzie stać pod salą i czekać. Już wkrótce obok niej ma pojawić się matka. Z oddziału co rusz dochodzą sprzeczne informacje. Po godzinie ktoś z obsługi informuje, że chłopczyk umarł. Po kolejnej godzinie pada sprostowanie, że Lucas nadal żyje. Że wciąż trwa walka o jego uratowanie.

eprasa.pl 48b912c059

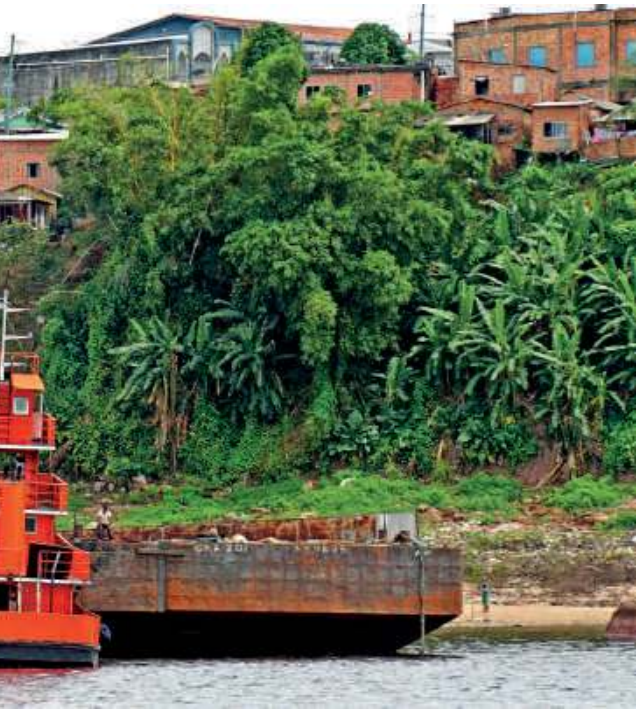

FOT. DENNIS JARVIS

Rozmowa, śpiączka i chrzest

Informacja o tragicznym wypadku zastaje księdza Sławka w jego zakonnym domu przy parafii św. Jana Bosco. Niedawno skończył odprawiać Mszę świętą. Salezjanin zna Lucasa. To jeden z tych chłopców z faweli Bairro do Céu, którego matkę udało się namówić na uczęszczanie dziecka do Colégio Dom Bosco. Jego ojciec od dawna nie mieszka już z nimi. Jest alkoholikiem uzależnionym dodatkowo od narkotyków. To jednak właśnie z nim duchowny decyduje się pojechać do szpitala. Będzie chciał namaścić Lucasa.

– Paulo… – przerywa panującą w samochodzie ciszę duchowny. – Mogę cię o coś zapytać?

– Niech ojciec pyta… – odpowiada markotnie mężczyzna.

– Chciałbym wiedzieć, czy Lucas był ochrzczony?

Mężczyzna tylko schyla głowę. Nic nie mówi. Trwa to kilka chwil. Wreszcie spoglądając w widok za oknem samochodu odpowiada:

– Nie, nie miał chrztu.

– To teraz kolejne pytanie, Paulo… – twarz salezjanina poważnieje jeszcze bardziej, a oczy szukają kontaktu z milczącym rozmówcą.

– Tak?... – mężczyzna wyczuwając atmosferę rozmowy, spogląda wreszcie na księdza Sławomira.

– Czy chcesz, żebym ochrzcił Lucasa?

To pytanie wbija mężczyznę w fotel. Nie spodziewał się, że jadąc do szpitala, ksiądz poruszy ten temat. Nawet o tym nie myślał. Dopiero teraz wszystko składa się w logiczny ciąg. Po policzku Paulo zaczyna spływać duża łza.

– Tak, ojcze. Bardzo bym chciał – odpowiada szeptem. Przełykając ślinę, ze ściśniętym gardłem od płaczu, zaraz się poprawia. – Bardzo chciałbym cię o to prosić.

Gdy przyjeżdżają do szpitala, Lucas jest już odłączony od aparatury. Leży w śpiączce.

Ksiądz Sławek, nie czekając na pozwolenie, prędko namaszcza chłopca. Po chwili następuje chrzest święty. Przejęci rodzicie chłopca obserwują wszystko w milczeniu i skupieniu.

Dwa dni później ze szpitala przychodzi wiadomość, że chłopiec właśnie zmarł.

Najpiękniejszy dzień na faweli

Zakonnik jedzie do domu pogrzebowego. Widok maleńkiej białej trumienki na środku pomieszczenia sprawia, że niemal pęka mu serce. Tutaj dowie się, że Msza pogrzebowa Lucasa ma się odbyć za tydzień. W kaplicy na faweli. Tej samej, do której regularnie przychodzi modlić się salezjanin. Tym razem prócz niego oraz kilku kobiet i starców gromadzących się zwykle na niedzielnej Eucharystii, będzie na niego czekać zupełnie inny widok.

Nadchodzi ten dzień. Tłum mieszkańców faweli jest nie do ogarnięcia wzrokiem. W samej kaplicy od chwili, gdy kapłan zaczął dzwonić na Mszę, zdążyło zgromadzić się już blisko siedemdziesięcioro dzieci. Ci, którzy nie mieszczą się w środku, stoją na zewnątrz. Zebrane w chórek dzieci zaczynają intonować pieśń.

– Paraíso, paraíso… Eu prefiro o paraíso! Raj, raj… Ja wolę raj! – pomimo braku nagłośnienia słowa pieśni z łatwością wydostają się poza kaplicę. Po chwili pieśń nieśmiało intonują także dorośli mieszkańcy faweli stojący na zewnątrz. Zaraz za nimi kolejni. Większość z nich nie śpiewała od dziesiątek lat.

Bijąca na co dzień grozą i niebezpieczeństwem fawela z minuty na minutę przemienia swoje oblicze. Nie jest już mroczna i biedna. Pozbawiona godności i pełna zaklętego kręgu beznadziei. Zamiast tego raczej jasna i radosna. Bogata w chwałę Boga. Zjednoczona w jakimś niewymownym procesie chęci bycia bliżej siebie. Pomocy drugiemu.

Ksiądz Sławomir nie potrafi powstrzymać łez. Ma świadomość, że uczestniczy w czymś niezwykle ważnym. Że być może w dziejach tej faweli nie było jeszcze takiego momentu. Że wszystko dzieje się właśnie teraz. Po pamiętnej decyzji o zejściu na dół po mrocznych schodach z Luiza Antony'ego. Tamtego dnia w życiu nie przewidziałby takiego scenariusza.

PS W styczniu tego roku fawela Bairro do Céu uległa całkowitemu zniszczeniu wskutek pożaru. ■

eprasa.pl 48b912c059

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny–USA

W połowie maja prezydent USA Joe Biden podniósł cła na dużą część chińskich produktów – w tym na pojazdy elektryczne, półprzewodniki, baterie, ogniwa słoneczne i surowce krytyczne. „Ze względu na rozległe dotacje i nierynkowe praktyki prowadzące do znacznej nadwyżki mocy produkcyjnych, chiński eksport pojazdów elektrycznych wzrósł o 70 proc. od 2022 do 2023 roku, zagrażając inwestycjom produkcyjnym w innych miejscach. Dlatego też stawka celna na pojazdy elektryczne wzrośnie z 25 proc. do 100 proc., i to jeszcze w 2024 roku" – poinformował Biały Dom. Od 2025 roku stawki celne na półprzewodniki wzrosną z 25 proc. do 50 proc., a cła na baterie litowo-jonowe do pojazdów elektrycznych, a także części do baterii, jeszcze w tym roku wzrosną z 7,5 proc. do 25 proc.

Heritage Foundation, największy konserwatywny think tank w USA, ostrzega, że te działania nie wystarczą, by stawić czoła nieuczciwym praktykom Chin. Zachód musi przestać forsować różnego rodzaju zielone agendy, czyli pakiety dotyczące czystej energii i zmian klimatycznych, których beneficjentem jest Pekin. W USA taki pakiet przygotowany przez administrację Bidena przyniósł, jak piszą Erin Walsh i Andrew Harding z Heritage Foundation, „drogi gaz, problematyczne przepisy i arbitralne normy środowiskowe; to wszystko daje korzyści Komunistycznej Partii Chin (KPCh), a jednocześnie szkodzi dobrobytowi USA i bezpieczeństwu narodowemu".

Pekin od lat jest beneficjentem działań amerykańskiego ruchu ekologicznego. Już w 1992 roku ówczesny premier Chin Li Peng postulował, aby w ramach walki o czyste środowisko, kraje rozwinięte wspierały kraje rozwijające się także poprzez transfer technologii. Na arenie międzynarodowej Chiny pozycjonują się jako orędownik programu klimatycznego, a w tym samym czasie u siebie podnoszą wydobycie węgla. Co tydzień w Państwie Środka powstają dwie elektrownie węglowe. W 2023 roku w Chinach funkcjonowały aż 3092 takie obiekty, z czego największa Datang Tuoketue, to zarazem największa pod względem mocy (6,7 GW) elektrownia węglowa na świecie.

Tymczasem, jak zauważa Heritage Foundation, „prominentni amerykańscy politycy, tacy jak Al Gore i John Kerry, niestrudzenie pracowali nad międzynarodowymi porozumieniami mającymi na celu redukcję emisji gazów cieplarnianych, które ograniczały możliwości produkcji energii w USA". KPCh z zadowoleniem przyjęła stanowisko administracji Bidena, że głównym zagrożeniem dla USA są zmiany klimatyczne, a nie ChRL i Rosja. Pekin bardzo często też wykorzystuje slogany o widmie katastrofy klimatycznej czy hasła o palącej się planecie, aby nakłonić Waszyngton do poświęcenia amerykańskich interesów na rzecz porozumień klimatycznych.

W tej chwili Państwo Środka jest już głównym dostawcą nie tylko samochodów elektrycznych, lecz także wielu innych produktów zielonej energii, takich jak panele słoneczne i turbiny wiatrowe. Autorzy publikacji dla Heritage Foundation zauważają, że przyjmowanie przez państwa zachodnie „zielonych ładów" sprawi, że Chiny będą miały zagwarantowany eksport swoich wysoko dotowanych towarów. Amerykański think tank jako przykład podaje panele słoneczne: „Antykonkurencyjne praktyki Chin oznaczają, że amerykańscy producenci paneli słonecznych nie mogą konkurować z tanimi chińskimi panelami słonecznymi dotowanymi przez KPCh i często budowanymi przy użyciu niewolniczej siły roboczej z Autonomicznego Regionu Xinjiang, gdzie Chiny dopuszczają się ludobójstwa na ujgurskich muzułmanach". W tej

eprasa.pl 48b912c059

chwili Chiny wytwarzają 75 proc. wszystkich paneli słonecznych na całym świecie, a w USA jest tylko 16 firm z taką produkcją.

Autorzy artykułu stwierdzają, że zielona polityka Bidena pozwala Chinom „kontrolować ogromne obszary naszej infrastruktury energetycznej, pozbawia miliony Amerykanów dobrze płatnych miejsc pracy i niewiele robi, aby pomóc środowisku". Apelują też, by Waszyngton zacząć traktować priorytetowo niezależność energetyczną Ameryki poprzez wycofywanie się z kosztownych umów, które „ograniczają produkcję energii i dają KPCh przewagę konkurencyjną".

Japonia–Chiny–Rosja

Dziennikarze japońskiej stacji telewizyjnej NHK przeanalizowali dane opublikowane przez chińskie organy celne dotyczące eksportu z Chin do Rosji nitrocelulozy, materiału wybuchowego używanego w produkcji amunicji artyleryjskiej. W wyniku tego śledztwa odkryto, że eksport ten gwałtownie wzrósł od czasu rozpoczęcia przez Kreml pełnoskalowej inwazji na Ukrainę.

W latach 2015–2021 eksport nitrocelulozy do Rosji był prawie żaden, a wzrósł od maja 2022 roku, trzy miesiące po inwazji Rosji na Ukrainę. W 2022 roku Chiny wyeksportowały do Rosji ponad 700 ton nitrocelulozy. W 2023 roku ilość ta wzrosła niemal dwukrotnie, do ponad 1300 ton. Od stycznia do marca tego roku wyeksportowano około 110 ton.

Podczas kwietniowej wizyty w Chinach sekretarz stanu USA Antony Blinken przekazał swoje obawy dotyczące eksportu produktów i technologii podwójnego zastosowania prezydentowi Xi Jinpingowi. „Strona chińska jednak twierdzi, że ściśle kontroluje eksport materiałów podwójnego zastosowania i że niedopuszczalne jest, aby Stany Zjednoczone próbowały w tej kwestii zrzucać winę na Chiny", powiedział Yamamoto Katsuya. Ten ekspert w dziedzinie spraw wojskowych Chin i pracownik z japońskiej Fundacji Pokoju w wypowiedzi dla stacji NKH stwierdził, że skoro eksport nitrocelulowy znacznie wzrósł od początku agresji, to nie ma wątpliwości, że Chiny udzielają pomocy wojskowej Rosji.

Kilka tygodni po wizycie Blinkena w Pekinie, Xi Jinping przyjął u siebie Władimira Putina i oba kraje zadeklarowały kontynuację współpracy w wielu dziedzinach, m.in. wojskowej. Pekin i Moskwa zobowiązały się „rozszerzyć zakres wspólnych ćwiczeń i szkoleń bojowych, regularnie przeprowadzać wspólne patrole morskie i powietrzne, zwiększać koordynację i współpracę na płaszczyźnie dwustronnej i w formatach wielostronnych oraz stale podnosić zdolności oraz poziom wspólnej reakcji na wyzwania i zagrożenia".

Hongkong

8 maja sąd apelacyjny w Hongkongu zakazał wykonywania i odtwarzania utworu „Glory to Hong Kong" („Chwała Hongkongowi"), który stał się nieformalnym hymnem masowych prodemokratycznych protestów w 2019 roku.

Gdy w ubiegłym roku hongkońskie ministerstwo sprawiedliwości złożyło wniosek o zakazanie piosenki, argumentowało to tym, że utwór „może być mylony z hymnem narodowym", bo jest omyłkowo odtwarzany podczas wielu międzynarodowych wydarzeń sportowych z udziałem drużyn z Hongkongu. Resort dodał także, że odtwarzanie „Glory to Hong Kong" w przestrzeni publicznej zachęca do popełniania aktów secesji. Oficjalnym hymnem Hongkongu jest hymn ChRL.

Zakazany już utwór „Chwała Hongkongowi" powstał w 2019 roku, podczas protestów po ogłoszeniu przez władze projektu ustawy o ekstradycji obywateli Hongkongu do Chin. Tekst piosenki zawiera wersety takie jak: „Wyzwolić Hongkong" czy „Niech ludzie królują dumni i wolni, teraz i na wieki. Chwała Tobie, Hongkongu". Choć władze twierdzą, że piosenka jest wezwaniem do niepodległości Hongkongu, w tekście nie ma o tym wzmianki, a niepodległość nie była oficjalnym żądaniem protestów w 2019 roku.

W uzasadnieniu wyroku zakazującego odtwarzanie utworu sędzia Jeremy Poon stwierdził, że piosenka stała się „bronią" w rękach protestujących, o czym świadczyć mają silne emocje, jakie wywoływała wśród mieszkańców Hongkongu. Poon uznał, że zakazanie utworu jest konieczne, aby przekonać operatorów platform internetowych do usunięcia „problematycznych nagrań wideo z tym utworem". Zakaz obejmuje odtwarzanie i rozpowszechnianie piosenki, a także wykorzystanie jej w charakterze hymnu. Zgodnie z wyrokiem utwór może być wykorzystywany w drodze wyjątku przez dziennikarzy i pracowników uniwersytetów.

Zakazanie „Glory to Hong Kong" to kolejny dowód na to, jak Hongkong, kiedyś Perła Orientu i bastion wolności słowa w Azji, teraz pod rządami Pekinu coraz bardziej przypomina więzienie. W marcu parlament Hongkongu przyjął nową ustawę o bezpieczeństwie narodowym, tzw. Artykuł 23, mówiący o pięciu rodzajach przestępstw: zdradzie stanu, działalności wywrotowej, sabotażu, ingerencji zewnętrznej oraz kradzieży tajemnic państwowych i szpiegostwa, zagrożonych karą dożywotniego więzienia. Od 2019 roku aresztowano prawie 11 tys. osób, a ponad 3 tys. postawiono zarzuty. Spośród nich co najmniej 285 zostało aresztowanych na mocy narzuconej Hongkongowi przez Pekin w 2020 roku ustawy o bezpieczeństwie narodowym. ■

eprasa.pl 48b912c059

oprac. Antoni Rybczyński

Śmierć prezydenta Iranu wstrząśnie reżimem ajatollahów?

eprasa.pl 48b912

W katastrofie powietrznej 19 maja zginęli prezydent i szef MSZ Iranu. Jak wpłynie to na stabilność islamskiej republiki i na prowadzoną przez Teheran agresywną politykę zagraniczną? Zdaniem większości ekspertów, większym wyzwaniem jest dla ajatollahów zachowanie wewnętrznej stabilności reżimu. W działaniach zewnętrznych zmian nie będzie, co najwyżej zmniejszenie aktywności w najbliższych dwóch miesiącach do przedterminowych wyborów prezydenckich.

63-letni Raisi, wraz z kilkoma innymi wysokimi rangą urzędnikami, w tym ministrem spraw zagranicznych Hosseinem Amirem-Abdollahianem, wracali z regionu Khoda Afarin po inauguracji tamy na wspólnej granicy Iranu z Azerbejdżanem, kiedy ich helikopter rozbił się w niedzielę wśród gęstej mgły i deszczu, podały irańskie media państwowe. Dwa inne śmigłowce w konwoju przewożącym urzędników wylądowały bezpiecznie" (Beatrice Farhat, „Kim był Ebrahim Raisi, ósmy prezydent Iranu, zabity w katastrofie śmigłowca?", Al-Monitor, 20 maja 2024). „W poniedziałek rano 20 maja ciała prezydenta Ebrahima Raisiego i ośmiu innych osób znajdujących się na pokładzie helikoptera zostały wydobyte z górzystego obszaru na północnym zachodzie Iranu, po długiej akcji ratunkowej utrudnionej przez trudne warunki pogodowe. Zaledwie dwie godziny później Najwyższy Przywódca ajatollah Ali Chamenei, człowiek mający ostatnie słowo w polityce wewnętrznej i zagranicznej Iranu, powołał się na artykuł 131 irańskiej konstytucji, zgodnie z którym pierwszy zastępca Raisiego, Mohammad Mokhber, przejął stery na tymczasowy okres 50 dni. Mokhber, bliski sojusznik najwyższego przywódcy, przewodniczył również poniedziałkowemu posiedzeniu rządu, na którym wyznaczono następcę zmarłego ministra spraw zagranicznych. Ultrakonserwatywny zastępca Amira-Abdollahiana i główny negocjator ds. nuklearnych, Ali Bagheri Kani, został zatwierdzony jako pełniący obowiązki ministra spraw zagranicznych" („Iran zmierza do wyborów po śmierci Raisiego, a twardogłowi stoją w obliczu kryzysu legitymizacyjnego", Al-Monitor, 20 maja 2024).

Zmiana czy nie?

„W irańskim systemie politycznym urząd prezydenta nie jest szczególnie potężny. Nic więc dziwnego, że obserwatorzy byli niemal jednomyślni, że śmierć Ebrahima Raisiego w wypadku helikoptera 19 maja raczej nie zmieni natychmiast polityki zagranicznej Teheranu, zwłaszcza w odniesieniu do głównych mocarstw. Ponieważ jednak zmarły prezydent był znacznie bardziej zainteresowany normalizacją stosunków z innymi krajami i przez wielu był postrzegany jako faworyt do zostania najwyższym przywódcą Iranu, wielu analityków sugeruje, że jego śmierć wywróci do góry nogami irańską politykę wewnętrzną. To z kolei, jak twierdzą, otworzy drogę do fundamentalnej reorientacji polityki zagranicznej Teheranu, być może prowadząc do nowej fali radykalizacji" – uważa Paul Goble („Śmierć

FOT. AA/PAP/ABACA

eprasa.pl 4b912c059

prezydenta Iranu rzuca cień na przyszłość Południowego Kaukazu", Eurasia Daily Monitor, 21 maja 2024). Jednak większość innych ekspertów nie sądzi, by miało dojść do poważnej zmiany w polityce Teheranu. „Katastrofa helikoptera, w której zginął prezydent Iranu Ebrahim Raisi, wywołała fale szoku w Islamskiej Republice i regionie. Analitycy twierdzą jednak, że śmierć Raisiego nie przyniesie większych zmian w polityce wewnętrznej i zagranicznej Teheranu. Najwyższy Przywódca Ajatollah Ali Chamenei, który ma ostatnie słowo we wszystkich najważniejszych sprawach państwowych, oraz potężny Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej są kluczowymi ośrodkami władzy w Iranie, gdzie władza prezydenta jest ograniczona" – uważa Kian Shariffi („Czy śmierć Raisiego przyniesie poważne zmiany w polityce Iranu? Krótka odpowiedź brzmi »nie«", RFE/RL, 20 maja 2024). „Śmierć 63-letniego prezydenta Iranu Ibrahima Raisiego w katastrofie lotniczej nie zmieni tego kraju ani rządzącego tam reżimu w najbliższej przyszłości. Prezydent nie ma żadnej zauważalnej władzy w Iranie, który od 1989 roku jest kierowany przez Najwyższego Przywódcę, Wielkiego Ajatollaha Alego Chamenei. Jednak to właśnie Raisi był uważany za głównego kandydata na nowego Najwyższego Przywódcę, potencjalnego następcę bardzo starego i bardzo chorego Chamenei" (Aleksandr Dubrowskij, Mark Krutow, „Koniec »rzeźnika Teheranu«. Co przyniesie śmierć prezydenta Iranu", Radio Swoboda, 20 maja 2024).

Rzeźnik z Teheranu

„Ebrahim Raisi, uczony teolog i prawnik, był również znany jako bardzo brutalny człowiek. Przez całe życie zajmował się egzekwowaniem prawa. Był głównym prokuratorem Teheranu, a następnie głównym prokuratorem Iranu. Jego krytycy w Iranie i za granicą nieustannie podnoszą jego odpowiedzialność za bardzo poważne przestępstwa, w szczególności masowe egzekucje przeciwników reżimu w 1988 roku (za co Raisi został nazwany »rzeźnikiem z Teheranu«)" – czytamy w artykule Dubrowskiego i Krutowa. „Ebrahim Raisi urodził się 14 grudnia 1960 roku w dzielnicy Noghan w północno-wschodnim mieście Meszhed. Otrzymał wykształcenie religijne, uczęszczając do seminarium w Qom, centrum nauki szyickiej. Przyszły prezydent był podobno zaangażowany w wydarzenia z lat 1978–1979, które doprowadziły do rewolucji islamskiej, która obaliła wspieranego przez Zachód szacha. W 1985 roku Raisi został mianowany zastępcą prokuratora w Teheranie. Później, w 1988 roku, zasiadał w komitecie, który nadzorował masową egzekucję tysięcy więźniów politycznych oskarżonych o współpracę z Irakiem podczas wojny irańsko-irackiej (1980–1988)" (Beatrice Farhat, „Kim był Ebrahim Raisi, ósmy prezydent Iranu, zabity w katastrofie śmigłowca?", Al-Monitor, 20 maja 2024).

Raisi był również odpowiedzialny, jak przypominają międzynarodowe organizacje praw człowieka, za wyroki śmierci wydane na kilka tysięcy protestujących w 2009 roku, po wygranych wówczas przez Mahmuda Ahmadineżada wyborach prezydenckich. Został ósmym prezydentem Iranu po wygraniu wyborów w czerwcu 2021 roku, które charakteryzowały się najniższą frekwencją wyborczą od czasu powstania Republiki Islamskiej w 1979 roku. Zawsze widywany publicznie w czarnym turbanie oznaczającym pochodzenie od proroka Mahometa, był twardym duchownym, często postrzeganym w Iranie jako przeciwnik Zachodu i silnie przywiązanym do konserwatywnych zasad. Krytykował on przełomowe porozumienie nuklearne z 2015 roku, które Rowhani zawarł z głównymi światowymi potęgami, w tym ze Stanami Zjednoczonymi. Za kadencji Raisiego Iran przyspieszył wzbogacanie uranu do poziomu bliskiego broni jądrowej. „Kadencja Raisiego upłynęła pod znakiem masowych protestów, które wybuchły we wrześniu 2022 roku po śmierci w areszcie Mahsy Amini, 22-letniej kobiety aresztowanej przez policję ds. moralności za rzekome naruszenie islamskiego kodeksu ubioru. Protesty początkowo koncentrowały się na prawach kobiet, ale później rozszerzyły się na wezwania do upadku islamskiego rządu" – pisze Beatrice Farhat („Kim był Ebrahim Raisi, ósmy prezydent Iranu, zabity w katastrofie śmigłowca?", Al-Monitor, 20 maja 2024).

Szukając następcy

Islamska Republika Iranu to „velayet-e faqih", czyli „Państwo Najwyższego Prawnika Teologa" (co nie jest dokładnie tłumaczone na języki obce jako „Republika Islamska"). Prezydent Iranu jest tylko najwyższym wybieranym urzędnikiem i szefem władzy wykonawczej, ale w rzeczywistości czymś w rodzaju słabego szefa gabinetu pod rządami dyktatora, osobą, która nadzoruje gospodarkę i podpisuje traktaty międzynarodowe w kraju, który od 35 lat jest całkowicie rządzony przez Najwyższego Przywódcę i Wielkiego Ajatollaha, 85-letniego Alego Chameneiego. Chamenei i kierowana przez niego administracja religijna sprawują absolutną władzę we wszystkich dziedzinach życia, od polityki zagranicznej i gospodarki po irańskie sądy, media, służby bezpieczeństwa i inne kluczowe systemy pań-

eprasa.pl 48b912c059

stwowe, a także podejmują ostateczne decyzje w sprawie uznania wyników wszystkich wyborów oraz mianowania i odwoływania wszystkich najwyższych urzędników. Iran jest wyjątkową teokracją, swego rodzaju państwem-kościołem, co, nawiasem mówiąc, jest uważane za herezję z punktu widzenia dużej części szyitów (Aleksandr Dubrowskij, Mark Krutow, „Koniec »rzeźnika Teheranu«. Co przyniesie śmierć prezydenta Iranu", Radio Swoboda, 20 maja 2024).

„Rahbar" Ali Chamenei jest już bardzo stary, podobno umiera na raka prostaty, a jakaś forma przekazania władzy nowemu Najwyższemu Przywódcy jest nieuchronna. Zmarły Raisi, twardogłowy z bloku wojskowego i konserwatywnego duchowieństwa, który został prezydentem w 2021 roku, był z pewnością uważany za ulubieńca Chameneiego i był mu bardzo bliski. W pewnym momencie sam Ali Chamenei został Najwyższym Przywódcą, pełniąc wcześniej funkcję prezydenta w 1989 roku. Ogólny konsensus jest taki, że w obecnym Iranie stanowisko to jest czymś w rodzaju trampoliny do pozycji „rahbara". Ali Afshari, były przywódca studenckich protestów, mieszkający w USA, który był więziony w Iranie za swoją działalność, powiedział radiu Farda RFE/RL, że „może nie być łatwo znaleźć przywódcę takiego jak Raisi, który był całkowicie posłuszny Chameneiemu i establishmentowi". W dłuższej perspektywie śmierć Raisiego pozostawia poważny wakat w staraniach o przygotowanie kolejnego najwyższego przywódcy islamskiej republiki, który podejmuje wszystkie ostateczne decyzje dotyczące irańskiej polityki zagranicznej i wewnętrznej (Michael Scollon, „Śmierć irańskiego prezydenta Raisiego rozpoczyna walkę o znalezienie jego następcy", Radio Free Europe/Radio Liberty, 20 maja 2024).

▶ Strestest dla reżimu

28 czerwca w Iranie odbędą się przedterminowe wybory prezydenckie. Biorąc pod uwagę przeszłość Chameneiego, jest mało prawdopodobne, aby oparł się pokusie trzymania się z dala od procesu wyborczego i ustaleń dotyczących kandydatów. Irańskie media już omawiają nazwiska, z których wszystkie pochodzą z twardego obozu lojalistów Chamenei. Niezależnie od tego, kim będą kandydaci, oczekuje się, że najwyższy przywódca Iranu dołoży wszelkich starań, aby zapewnić, że następca Raisiego będzie równie bezsilny i będzie działał jedynie jako egzekutor jego własnej polityki, w tym w takich obszarach, jak uzbrajanie i finansowanie regionalnych proxy, a także działania nuklearne i rakietowe („Iran zmierza do wyborów po śmierci Raisiego, a twardogłowi stoją w obliczu kryzysu legitymizacyjnego", Al-Monitor, 20 maja 2024). Przed oficjalną rejestracją irańskie media spekulują na temat kilku nazwisk potencjalnych kandydatów: tymczasowy prezydent Mokhber; Mohammad Bagher Ghalibaf, wieloletni faworyt najwyższego przywódcy, który był trzykrotnym kandydatem na prezydenta i utrzymuje bliskie więzi z Korpusem Strażników Rewolucji Islamskiej; Ali Shamkhani, centrysta i były szef potężnej Najwyższej Rady Bezpieczeństwa Narodowego, który podpisał dla Teheranu przełomową umowę o zbliżeniu Iranu i Arabii Saudyjskiej w marcu ubiegłego roku; twardy minister dróg Mehrdad Bazrpash, który jest promowany przez działaczy proestablishmentowych jako młody lojalista zachowujący dziedzictwo Raisiego; weteran polityczny Ali Larijani, najdłużej urzędujący przewodniczący parlamentu Iranu, reprezentujący umiarkowane sektory obozu konserwatywnego; Mohammad Dżawad Zarif, wykształcony w USA doświadczony dyplomata, znany na Zachodzie jako architekt porozumienia nuklearnego Iranu z największymi mocarstwami z 2015 roku. Wszyscy kandydaci zostaną jednak poddani znanemu, rygorystycznemu procesowi weryfikacji prowadzonemu przez kontrolowaną przez Chameneiego Radę Strażników („Iran: Ośmiu kluczowych kandydatów na potencjalnych następców Raisiego", Al-Monitor, 21 maja 2024).

Ali Vaez, dyrektor Iran Project w International Crisis Group z siedzibą w Brukseli, powiedział, że nadchodzące wybory są okazją dla klerykalnego establishmentu do „obrania innego kursu" poprzez umożliwienie stosunkowo konkurencyjnego głosowania. „Podejrzewam jednak, że reżim poświęca wszystkie swoje wysiłki na przygotowanie się do sukcesji po Chameneim, dążąc do stworzenia jednorodnych warunków na szczycie piramidy władzy i nie dopuszczając żadnych rywali do tego kręgu" – powiedział Vaez radiu Farda RFE/RL. (Michael Scollon, „Śmierć irańskiego prezydenta Raisiego rozpoczyna walkę o znalezienie jego następcy", Radio Free Europe/Radio Liberty, 20 maja 2024).

Islamska Republika od dawna zmaga się z kryzysem legitymizacji, w wyniku którego jej społeczeństwo staje się coraz bardziej rozczarowane najwyższymi szczeblami władzy. W ciągu ostatnich kilku lat przepaść ta szybko się pogłębiała, zwłaszcza po ogólnokrajowych zamieszkach w 2022 roku w związku ze śmiercią Mahsy Amini w areszcie policyjnym. Odpowiadając ciężką ręką na największe wyzwanie dla swojego przetrwania, teokratyczny establishment zabił ponad 500 protestujących

eprasa.pl 48b912c059

i uwięził ponad 22 tys. innych. W obliczu zbliżających się nowych wyborów, rządzący Iranem twardogłowi podejmą kolejną próbę odzyskania zaufania społecznego. Jakakolwiek frekwencja wyższa niż w poprzednich sondażach będzie, ich zdaniem, uważana i propagowana jako zwycięstwo establishmentu, który opierał się na uczestnictwie jako kluczowym kryterium swojej popularności („Iran zmierza do wyborów po śmierci Raisiego, a twardogłowi stoją w obliczu kryzysu legitymizacyjnego", Al-Monitor, 20 maja 2024).

Bez zmian w polityce zagranicznej Iranu

Katastrofa helikoptera w irańskiej prowincji Azerbejdżan Wschodni, w której zginął irański prezydent Raisi, nie tylko wprowadza nową niepewność i potencjalną niestabilność do polityki wewnętrznej Teheranu, lecz także wprowadza pytania dotyczące strategii zewnętrznej kraju w czasie nieustannych kryzysów wynikających z wojen w Strefie Gazy i na Ukrainie. Chiny, jeden z niewielu pozostałych partnerów Iranu, uważnie obserwują potencjalne reperkusje śmierci Raisiego i jej implikacje dotyczące wpływu na ich dwustronne stosunki. Podczas gdy bezpośredni wpływ może być ograniczony, pozostają długoterminowe pytania dotyczące przyszłości irańskiej polityki. Prezydent Chin Xi Jinping przesłał kondolencje i pochwalił Raisiego za to, że „wniósł istotny wkład w utrzymanie bezpieczeństwa i stabilności Iranu oraz promowanie rozwoju i dobrobytu kraju; a także poczynił pozytywne wysiłki na rzecz wzmocnienia i pogłębienia kompleksowego partnerstwa strategicznego Chin i Iranu". Za prezydentury Raisiego zaobserwowano ogólną tendencję wzrostową w imporcie irańskiej ropy naftowej przez Chiny. Najważniejszym wydarzeniem w stosunkach chińsko-irańskich pod rządami prezydenta Raisiego była jego wizyta państwowa w Pekinie w lutym 2023 roku oraz porozumienie z Saudyjczykami podpisane w stolicy ChRL w następnym miesiącu. Gdy Chiny spoglądają w przyszłość na Iran po Raisim, Pekin nie jest szczególnie zaniepokojony tym, że następny prezydent Iranu znacząco zmieni kierunek irańskiej strategii zagranicznej. Decyduje o tym najwyższy przywódca Iranu, ajatollah Ali Chamenei, i jest mało prawdopodobne, aby w dającej się przewidzieć przyszłości doszło do zmiany. Istnieją pewne spostrzeżenia, że wraz ze śmiercią Raisiego i nieuniknionym procesem wyłaniania kolejnego przywódcy, priorytetem Iranu pozostanie na razie polityka wewnętrzna. Oznacza to, że Islamska Republika najprawdopodobniej ograniczy energię i zasoby przeznaczane na relacje z Zachodem, a także na kryzys w Strefie Gazy, co może nie być złą wiadomością dla Chin, biorąc pod uwagę, że poszukują one większej pewności i stabilności w regionie (Yun Sun, „Po śmierci Raisiego Chiny szukają odpowiedzi w kwestii irańskiej sukcesji po Chameneim", Al-Monitor, 21 maja 2024).

Śmierć Raisiego prawdopodobnie nie będzie miała żadnego wpływu na pogłębiające się więzi między Iranem a Rosją, które coraz bardziej niepokoją Zachód, twierdzą analitycy. Iran dostarczył Rosji tysiące dronów po jej inwazji na Ukrainę w lutym 2022 roku. Irańskie bezzałogowe statki powietrzne, znane jako Shahed, odegrały kluczową rolę w 27-miesięcznej wojnie, umożliwiając Rosji dewastację ukraińskich miast na odległość, w tym niszczenie krytycznej infrastruktury (Kian Shariffi, „Czy śmierć Raisiego przyniesie poważne zmiany w polityce Iranu? Krótka odpowiedź brzmi »nie«", RFE/RL, 20 maja 2024). Poprawa stosunków między Rosją a Iranem za kadencji Raisiego została upamiętniona w liście, który Putin wysłał do Najwyższego Przywódcy Iranu Alego Chamenei po katastrofie. Putin opisał Raisiego jako „prawdziwego przyjaciela Rosji, który wniósł nieoceniony osobisty wkład w ustanowienie stosunków sąsiedzkich" wraz z „wielkimi wysiłkami na rzecz podniesienia ich do poziomu strategicznego partnerstwa". Na zakończenie Putin oświadczył, że „na zawsze zapamięta Raisiego jako najwspanialszą osobę". Rosja zapewniła również Raisiemu kilka „zwycięstw" w jego polityce zagranicznej, ułatwiając członkostwo Iranu w Szanghajskiej Organizacji Współpracy i chroniąc go przed kontrolą jego programu nuklearnego. Sukcesy te pomogły wzmocnić narrację o rosnących wpływach Iranu i jego odporności na presję Zachodu (Nicole Grajewski, „Przyjaźń irańsko-rosyjska nie osłabnie pod rządami następcy Raisiego", Carnegie Endowment for International Peace, 21 maja 2024).

Jeśli chodzi o stosunki amerykańsko-irańskie, które są napięte od dziesięcioleci, administracja Bidena nie spodziewa się żadnych zmian w związku ze śmiercią Raisiego. Rzecznik Białego Domu ds. bezpieczeństwa narodowego John Kirby powiedział dziennikarzom 20 maja, że jeśli chodzi o politykę Iranu, to Chamenei „rządzi", a nie prezydent. „Nie przewidujemy więc żadnych zmian w irańskim zachowaniu. I dlatego Irańczycy nie powinni oczekiwać żadnych zmian w amerykańskim zachowaniu, jeśli chodzi o pociąganie ich do odpowiedzialności" – powiedział Kirby (Kian Shariffi, „Czy śmierć Raisiego przyniesie poważne zmiany w polityce Iranu? Krótka odpowiedź brzmi »nie«", RFE/RL, 20 maja 2024). ■

eprasa.pl 48b912c059

Tomasz Sakiewicz

W pół roku zatrzymali Polskę

Podsumowanie połowy roku rządów Donalda Tuska jest naprawdę przerażające. Nigdy w takim tempie nie zachodziły negatywne procesy w gospodarce, które nie były wywołane zewnętrznym kryzysem. Na ich czele jest oczywiście wstrzymanie kluczowych inwestycji. Rzecz w tym, że nie chodzi nawet o to, czego nam zabraknie za pięć czy dziesięć lat. Wstrzymanie realizacji na przykład CPK powoduje, że do krwiobiegu gospodarczego co miesiąc nie wpływają setki milionów dolarów, które dostalibyśmy od prywatnych inwestorów przy tworzeniu tej inwestycji. Ci, którzy nastawiali się na rozwój własnych firm, przy okazji tworzenia dużych inwestycji, już wiedzą, że nic z tego nie będzie. Zwijają interes. Ale na biznes wpływają jeszcze dwie istotne sprawy – Zielony Ład i polityka migracyjna.

Zielony Ład i jego ochocza implementacja przez obecną ekipę rządową oznacza gwałtowny wzrost kosztów działalności na polskim rynku. Przy ekipie PiS-u biznes miał wyraźny sygnał, że rząd wprowadzi niszczące konkurencyjność naszej gospodarki rozwiązania jako ostatni albo nie wprowadzi ich wcale. Dzisiaj wiara w to jest żadna, i chyba nie ma co się dziwić.

Ale na biznes wpływa też polityka migracyjna. Napływ nielegalnych migrantów to nie tylko podniesienie kosztów działania państwa, lecz przede wszystkim drastyczne obniżenie bezpieczeństwa. Wielu drobnych przedsiębiorców przenosiło się do Polski ze względu na to, że ich właścicielom czy rodzinom nic nie groziło, czego nie można było powiedzieć o ich rodzimych krajach. Jak na przykład prowadzić mały sklep w sytuacji nieustających kradzieży?

Przez osiem lat do biznesu wysyłany był sygnał, że koszty będą obniżane w stosunku do Europy, a bezpieczeństwo będzie rosło. Od pół roku jest on dokładnie odwrotny. Dochodzi do tego jeszcze powolne rozszczelnienie systemu finansowego.

Ekipa rządząca już wycofała się z kluczowych obietnic, takich jak na przykład 60 tys. zł kwoty wolnej od podatku. Następują już cięcia w dotychczasowych programach socjalnych, jak chociażby 14. emerytura. To dopiero początek lawiny.

Efekt jest taki, że w budżecie zaczyna brakować pieniędzy. Ekipa rządząca, o ile w ogóle zamierzała dotrzymywać słowa, już wycofała się z kluczowych obietnic, takich jak na przykład 60 tys. zł kwoty wolnej od podatku. Ale następują już cięcia w dotychczasowych programach socjalnych, jak chociażby 14. emerytura. To dopiero początek lawiny. Skutki podjętych działań będziemy odczuwać latami.

W dłuższej perspektywie cena będzie jeszcze większa. Zatrzymanie rozwoju komunikacyjnego i logistycznego Polski, brak energii atomowej – uderzą w nas w ciągu dekady z siłą, która może cofnąć Polskę w rozwoju o wiele dekad. To ostatni moment, by to zmienić. Czasu jest już bardzo mało. ■

eprasa.pl 48b912c059

polsat box plus

TV + Światłowód

19 zł /mies.

przez pierwszy rok po rabatach

Od 13. mies. 70 zł/mies. z rabatami, od 25. mies. 99 zł/mies. z rabatem.
Telewizja Pakiet S – 57 kanałów, Światłowód S – do 300 Mb/s.

Pobierz ulotkę

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowód Plusa S** z rabatami (e-faktura, smartDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w Regulaminie „Plus internet stacjonarny – oferta łączona" na plus.pl. **Telewizja Polsat Box Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. „Bez opłat" nie obejmuje pakietów dodatkowych, usług technicznych i opłaty jednorazowej za aktywację dekodera. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkość 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl **Warunkiem skorzystania z rabatu** smartDOM jest zachowanie warunków tego programu i zgoda na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl. Oferta ważna na dzień 10.06.2024 r.

eprasa.pl 48b912c059